

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/572

1995



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

M. WILK: **LIST Z WYSP SOŁOWIECKICH
DO PARYŻA**

A. KORASZEWSKI: **SZCZYT POBOŻNYCH
ŻYCZEŃ**

K. WOLICKI: **PREZYDENCI**

A. POSPIESZALSKI:
NIEOMYŁNOŚĆ CZY NIEZAWODNOŚĆ?

SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	3
Mariusz Wilk:	<i>Z Wysp Sotowieckich do Paryża</i> ..	18
Wacław Szałamow:	<i>Tropa</i>	20
Mieczysław Jackiewicz:	<i>Impresje litewskie (2)</i>	22

WIERSZE

Stanisław Dłuski:	<i>Wacława Iwaniuka strony świata</i> ..	32
Zbigniew Dominiak:	<i>Na działce (II)</i>	33
Bułat Okudźawa:	<i>Mówi pan Olbrychski...</i>	34
Stanisław Urbański:	<i>Ballada o lustrach</i>	34
Waldemar Borzestowski:	<i>Singer</i>	35
Waldemar Borzestowski:	<i>Świątynia</i>	36

ARCHIWUM POLITYCZNE

Andrzej Koraszewski:	<i>Szczyt pobożnych życzeń</i>	38
Robert Kaczmarek	<i>Gaz a sprawa polska</i>	43

KRAJ

Krzysztof Wolicki:	<i>Prezydenci</i>	53
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	62
Tomasz Mianowicz:	<i>Dezinformacja wczoraj, dziś i jutro</i> ..	75

SPRAWY I TROSKI

Bogumiła Berdychowska:	<i>Polska polityka narodowościowa w latach 1989-1994</i>	89
Andrzej Stach	<i>O „Fundacji Krzyżowa/Kreisau”</i> ..	97
—	<i>Komunikat nr 1 Zarządu Fundacji „Polska Katedra w Uniwersytecie Jerozolimskim”</i>	104

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Antoni Pospieszalski:	<i>Nieomyślność czy niezawodność?</i> ...	106
-----------------------	---	-----

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	111
Bohdan Osadczyk:	<i>O Ukrainie i Krymie... w Berlinie</i> ..	116
Andrzej Vincenz	<i>Notatki praskie</i>	122

NOTATKI REDAKTORA		125
-------------------	-------	-----

CI, CO ODESZLI

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Pożegnanie przyjaciela Moskala</i> ...	129
Bohdan Osadczyk:	<i>Pożegnanie z Kedrynem</i>	132
Przyjaciele ze Szwecji:	<i>Wspomnienie o Adamie Heymowskim</i> ..	134

KSIĄŻKI

M. Broński:	<i>Dwa pióra Pelikana</i>	136
Leszek Szaruga:	<i>Określona epoka</i>	140
M. Broński:	<i>„Wenecja ma gondole...”</i>	144
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> ...	147

Wydarzenia miesiąca oraz kroniki australijsko-nowozelandzka i kanadyjska		149
--	-------	-----

M. Howiecki, J. Jóźwicki, F. Kornicki, A. Skupiński:	<i>Listy do Redakcji</i>	157
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj/Mai 1995

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Mikołaj Barakoński, Sherman Oaks, CA (USA) po raz 25-ty dol. 25,00	F. 120,00
Barbara i Krzysztof Boreyko, Easton, Ct. (USA) – zamiast kwiatów na grób śp. dr. Jacka Jędrucha – dol. 100,00	F. 480,00
Dla uczczenia pamięci mojej Mamy, Marii Wasung, w pierwszą rocznicę Jej śmierci, Krystyna Wasung, Genewa – Fr. szwaj. 100,00	F. 400,00
Dla uczczenia pamięci naszego Męża i Ojca, Stefana Strelcyna – w 14-tą rocznicę Jego śmierci – żona i syn Jerzy z rodziną (Manchester, Londyn)	F. 300,00
Dr Jan J. Gólnick, Papillion, NE (USA) po raz 11-ty – dol. 50,00	F. 240,00
Zbigniew Gross, St. Vallier, France – po raz 4-ty	F. 70,00
Karol J. Krótki, Edmonton, ALTA (Canada) – po raz 18-ty	F. 470,00
M.J., Mich., (USA), po raz 12-ty – dol. 1.000,00	F. 4.800,00
Władysław Raczyński, Charme, Francja	F. 1.000,00
Maria i K. Steve Rasiej, Bogota, N.J. – po raz 17-ty – dol. 34,00	F. 163,00
Lila Semkow, Frankfurt, Niemcy – zamiast kwiatów na grób Marysi Topperman, mojej młodej i niezapomnianej przyjaciółki, zmarłej w marcu br. w Toronto	F. 320,00
Michaś Sienko, South River, N.J. (USA) – po raz 19-ty – dol. 10,00	F. 48,00
L.M. Stauber, Niemcy, zamiast kwiatów na grób Marysi Topperman, zmarłej w Toronto 7 marca 1995 r.	F. 200,00
W 14-tą rocznicę śmierci Stefana Strelcyna – Syn z Paryża z rodziną	F. 150,00
●	
Lucy E. Sztachañska i Longin L. Sztachañski, St. Petersburg, FLA:	
– na Fundusz „Kultury” po raz 37-my – dol. 20,00	F. 96,00
– na pomoc dla Polaków w Rosji – dol. 20,00	F. 96,00
●	
Stephen P. i Wanda Boudinet, Columbus, OH, (USA) – na pomoc Polakom w Rosji – dol. 110,00	F. 528,00
Jan Zalewski, Chester (W. Brytania) – na pomoc dla Polaków w Rosji – £ stg. 20,00	F. 155,00

DZIĘKUJEMY

Dziennik pisany nocą

Neapol, 8 lutego 1995

W turyńskiej *La Stampa* ukazała się dzisiaj na pierwszej stronie, w formie jednego z artykułów wstępnych, moja nota *Nie „rehabilitujcie” mnie*. Warto ją przepisać w dzienniku, jest znacząca także dla czytelnika polskiego.

„Nie pamiętam, czy doskonała Barbara Spinelli posłużyła się kilka dni temu słowem „rehabilitacja”, domagając się w *La Stampa* przyznania przez członków PDS (partia demokratyczna lewicy, czyli post-komuniści), że „również antykomunizm jest wartością włoskiej kultury liberalnej; nie cały może antykomunizm, ale z pewnością ten związany z takimi nazwiskami jak Ignazio Silone, Nicola Chiaromonte, Raymond Aron, Hanna Arendt, oraz z nazwiskami licznych innych demokratów, którymi lewica długo pogardzała lub których po prostu ignorowała”. Natomiast słowo „rehabilitacja” pojawia się w tytule wczorajszego artykułu pióra Pierluigi Battista. Jestem mu wdzięczny nie tylko za to, że wpisał dodatkowo moje nazwisko na listę kandydatów do „rehabilitacji”, ale przede wszystkim za to, że wziął w cudzysłów okropne słowo „rehabilitacja”: *Post-komuniści „rehabilitują” antykomunistów liberalnych*. Słowo doprawdy okropne, pochodzenia sowieckiego, prawie *Made in Soviet Union*. Po XX Zjeździe i raporcie Chruszczowa rodziny ofiar Stalina otrzymały rekompensatę w postaci krótkich listów, w których zawiadamiano je, że ich bliski, niesłusznie sądzony i rozstrzelany, został „zrehabilitowany”. Naturalnie chodziło o „rehabilitację pośmiertną”.

„W imię ścisłości należy dodać, że słowo „rehabilitacja” używane jest także przez Kościół. Został „zrehabilitowany” Galileusz, może (nie wiadomo jeszcze) zostanie „zrehabilitowany” Giordano Bruno. W każdym razie, również w wypadku czworga antykomunistów wymienionych przez Barbarę Spinelli chodzi o „rehabilitację pośmiertną”. Jaka szkoda! Nie zaspokojona pozostanie nasza ciekawość, czy „zrehabilitowani” byliby skłonni zrewanżować się za swoją „rehabilitację” aktem „rehabilitacji” wystawionym na nazwisko obecnego przywódcy PDS, bądź w przeszłości powiedzmy na nazwisko Togliattiego. Co do mnie, zważywszy że lista Pierluigi Battista uzupełniona jest o moje nazwisko, ja nie byłbym skłonny.

„Silone powiedział mi raz, ze smutnym wyrazem twarzy, że po zerwaniu z komunizmem czuł się jak zasuspendowany ksiądz (po włosku: *prete spretato*). Po XX Zjeździe i raporcie Chruszczowa, czyli po skandalu wywołanym przez oba te historyczne ewenementy, Giancarlo Pajetta (wybitny przywódca komunistyczny) otrzymał od partii polecenie stawienia się oko w oko z prasą. „Czego chcecie – usiłował uspokoić rozwrzeszczanych i agresywnych dziennikarzy – ostatecznie to nasz towarzysz Silone ujawnił pierwszy zbrodnie Stalina”. Silone, tak z natury nieskory do śmiechu, opowiedział mi to śmiejąc się bez przerwy. I myślę, że gromki wybuch śmiechu jest jedyną stosowną odpowiedzią na „rehabilitację” dzisiejszych post-komunistów”.

12 lutego

Przyjechał wczoraj Karol Modzelewski, urządzono mu tu odczyt w związku z wydaniem po włosku jego książki *Dokąd od komunizmu?* Na sali większość czterdziestolatków, to oni byli kiedyś zapalonymi czytelnikami *Listu otwartego do partii* Kuronia i Modzelewskiego. Zmienił się Modzelewski, zmienili się jego włoscy czytelnicy, ale mimo tych zmian gdzieś głęboko pozostało zaufanie do dawnego mentora ze zbuntowanej lewicy. Nowa książka Modzelewskiego, po wszystkim co się stało, podtrzymuje to zaufanie. Ponieważ mówił między innymi, i to dość szczegółowo, o obecnej sytuacji w Polsce, zgłosiłem projekt uchwały (a raczej apelu)

zebranych o wszczęcie w Polsce procedury *impeachment* wobec Prezydenta.

Modzelewski zostawił mi maszynopis swego artykułu, który za parę dni ma się ukazać w *Gazecie Wyborczej*. Artykuł przeczytałem uważnie po jego wyjeździe (był w Neapolu tylko dobę, przedtem miał podobny odczyt w rzymskim Instytucie Gramsciego).

Artykuł, spokojnie napisany, jest biciem na alarm. Modzelewski obawia się „antyparlamentarnego zamachu” amatora „wojny na górze”. „Traktuję bardzo poważnie to, co o planach Wałęsy powiedział Bogdan Borusewicz i podzielam jego pogląd, a także opinię Jana Nowaka-Jeziorańskiego: demokracja w Polsce może nie przeżyć 1995 roku”. Dla mnie groźnym potwierdzeniem moich wrażeń z zeszłorocznej majowej (drugiej) podróży do Polski jest uwaga: „Zanik obywatelskiego stosunku do państwa i do prawa jest jednym z najtrwalszych okaleczeń kultury politycznej, pozostawionych przez imperium sowieckie”. Moje majowe spotkania i dyskusje dowodziły, że żywa jest świadomość tych okaleczeń i jeszcze żywsza potrzeba ich wygojenia.

Bardzo trudno jest pisać o Wałęsie, nie obrażając majestatu urzędu. Ale jak oprzeć się wrażeniu, że krajem rządzi linoskoczek w błażeńskiej czapeczce, któremu udaje się (według jego własnych słów) „ogrywać prawników” i „wykołegować prawo”. Chwilowo nie grozi mu nic, skoro w dole rozpięta jest siatka ochronna. Wsłuchuje się w trzaskanie bata reżysera numeru cyrkowego, czyli ministra Wachowskiego. Co ich naprawdę łączy, i to tak głęboko? Według mnie „hak” z przeszłości. Widziałem już takie wypadki. Na przykład, Białas z PPS zdawał się być batem dla Zygmunta Zaremby.

W artykule Modzelewskiego uderzyło mnie jedno wielkie skreślenie. Wrócił już dziś rano do Warszawy, więc nie mogę go zapytać o powód skreślenia. Chodzi o innego cyrkowca Falandysza, specjalistę od „wykołegowania prawa”. Okazuje się, że w „okresie minionym” napisał był rozprawkę o wyższości prawa socjalistycznego nad burżuazyjnym. Czyżby Modzelewski, sam albo na czyjaś prośbę, skreślił rzeczony fragment, bo odkrycie jest autorstwa Jerzego Urbana? Tak nie można. Urban czy nie Urban (a uważam go za inteligentną kanalię), musimy wiedzieć kto nami rządzi. Kilka dni temu

odwiedził mnie znajomy z Warszawy, który uchodzi za wtajemniczonego w arkana władzy i władców RP. Rozmawialiśmy o nadchodzących wyborach prezydenckich. Nie jestem zwolennikiem kandydatury Kuronia, przy całym dla niego szacunku. „Może profesor Strzembosz? Może Olechowski?” – powiadam. Mój znajomy uśmiechnął się z politowaniem człowieka, który wszystko wie. „Olechowski niemożliwy – odpalił z miejsca. – Wachowski ma na niego teczkę”. Tak to wygląda. Zostawmy w spokoju lustrację i dekomunizację, rzecz w tym że nie było cezury, zwykłej cezury między PRL i RP. Dzięki „okrągłemu stołowi”, który ja też pochwalam za zagadanie na śmierć nastrojów bojowych po obu stronach barykady, przeszliśmy do niepodległości mostem Jaruzelskiego. Most to nie cezura. Cezurą byłby przerwany most. Niektniety most Jaruzelskiego będzie nas jeszcze drogo kosztował. Kosztuje już teraz, zamazując najprostsze sprawy, o ileż ostrzej zarysowane w Czechach. 9 lipca 1993 parlament czeski uchwalił Prawo o Nielegalności Reżymu Komunistycznego i o Oporze Przeciw Niemu. Zapytano Aleksandra Małachowskiego, wicemarszałka Sejmu, dlaczegośmy przynajmniej nie uchwalili takiego samego Prawa. Odpowiedział: „Widocznie nie mogliśmy go uchwalić”. Wiekopomne słowa, godne zaiste włączenia do aneksów w przygotowywanym podobno do druku drugim (chyba przejrzanym i uzupełnionym) wydaniu *Dziejów głupoty w Polsce* Aleksandra Bocheńskiego.

15 lutego

Znalazłem w antykwariacie poemacik Audena *Good-bye to the Mezzogiorno*. Kupiony natychmiast w roku wydania 1958, zginął niepostrzeżenie w kieszeni któregoś z gości. (Nie dopuszczać gości do półek bibliotecznych!). Zapewniano mnie, że wyczerpany. I oto wyskoczył spod zakurzonych książek jeszcze jeden egzemplarz. Nie wiem nawet, czy Auden włączył ten poemacik do poezji wybranych. Ale i tak chodziło mi o piętnastostronicową edycję z roku 1958 w oryginale i w przekładzie Carlo Izzo, włoskiego tłumacza Audena.

Izzo opowiada w nocie wstępnej, jak Auden wcisnął mu w Wenecji, na Placu Świętego Marka, dwa arkusze maszy-

nopisu, prosząc o pośpiech. Mieli nazajutrz zjeść razem obiad. Izzo przyszedł o oznaczonej godzinie z gotowym przekładem.

Izzo jest małowimny w swojej nocy. Ogranicza się do stwierdzenia (ale z zastrzeżeniem „jak się zdaje”), że Auden postanowił wynieść się do Austrii z domu w Forio d'Ischia; i przeprowadzkę przypieczętował pożegnaniem Południa Włoch. Ale wersja (albo legenda) mieszkańców wyspy w pobliżu Neapolu jest nieco szersza. Prócz ładnego domu w Forio, Auden miał na Ischii bogaty wybór ładnych chłopców. Jego ostatni chłopiec sfalszował otrzymany czek na dziesięć dolarów tak zręcznie, że z konta Audena ubyło dziesięć tysięcy dolarów. To był jakoby kamień obrazy. Prawdziwy? Zmyślony przez plotkarzy na Ischii?

Bardzo ładny poemacik, podobają mi się w nim szczególnie dwie ostatnie strofy.

*Go I must, but I go grateful (even
To a certain Monte) and invoking
My sacred meridian names, Pirandello
Croce, Vico, Verga, Bellini,*

*To bless this region, its vintages and those
Who call it home: though one cannot always
Remember exactly why one has been happy,
There is no forgetting that one was.*

„Chociaż nie zawsze pamięta się dokładnie dlaczego było się szczęśliwym, nie zapomina się nigdy że było się nim”. Doskonała, doskonale utrafiona fraza, oddająca uczucia znakomitej większości zagranicznych podróżników po włoskich wojazach. Zdaje się, że podobne westchnienia słysząc na kartach Stendhala i Henry Jamesa. Jak gdyby sama esencja szczęścia, która odrywa się od swojej przyczyny. Włoskie wojaże, zwłaszcza w zeszłym stuleciu, były świadomym czy podświadomym pościgiem za tym uczuciem.

18 lutego

Współczesny przemysł tanich edycji kieszonkowych klasyków literatury musi już ostatnio polować na teksty, aby

nie stały beczynnie maszyny drukarskie. Wydawać tanio Oscara Wilde'a jest rzeczą naturalną; ale wydawać dzisiaj jego napisany na początku stulecia szkic *The Soul of Man under Socialism* zakrawa na lekką przesadę. Gdyby nie pewne wzruszenie (o którym potem), czytałbym *Duszę człowieka pod panowaniem socjalizmu*, śmiejąc się do rozpuku. „Prawdziwa doskonałość człowieka tkwi nie w tym co on posiada, lecz w tym czym jest. Własność prywatna zdruzgotała prawdziwy indywidualizm, zastąpiwszy go indywidualizmem fałszywym”. Albo: „A zatem po zniesieniu własności prywatnej posiadziemy indywidualizmem prawdziwy, piękny i zdrowy. Nikt nie zmarnotrawi swego życia, gromadząc przedmioty i symbole przedmiotów. Będzie się żyło. Życie jest rzeczą najrzadszą na świecie. Większość ludzi egzystuje, to wszystko”. I tak dalej, nieprzerwane kazanie przeciw własności prywatnej, natchnione wizją socjalizmu. Wilde był podobno anarchista i admiratorem Kropotkina.

Wzruszenie, o którym napomknąłem, związane jest ze słowem *kazanie*. Tom szkicu Wilde'a przypomniał mi nagle moje londyńskie włości. Właściwy Hyde Park, jego odprysk na obrzeżach Hampstead Heath, lokale sekt religijnych i peryferyjnych sekcji *Labour Party*. Nikt poza Anglikami nie mówi o tych sprawach w taki sposób; a może należałoby użyć czasu przeszłego, „mówił”, bo przecież dzisiejsza Anglia nie jest Anglią z tuż powojennych lat mojego pobytu w Londynie. Ten kaznodziejski ton uszczęśliwiania rodzaju ludzkiego, ta powtarzana często „dusza człowieka”, ten głos naładowany inwokacjami ostatecznymi, dramatycznymi alternatywami albo-albo, ta pozorna asceza za którą kryje się Bóg wie co. Nie zawsze, rzecz jasna; ale przeważnie, lub bardzo często. Ten ton, ten ton, nawet u autora *Ballady o więzieniu Reading* i *De profundis*.

20 lutego

Wałęsa opamiętał się, czy też został opamiętany przez swoich wystraszonych doradców. Skoczył na lince w odwrotnym kierunku, ryzykując utratę równowagi, ale jakoś tyczka ekwilibrystyczna w obu rękach pozwoliła mu wykonać

salto bez narażenia się na upadek. Nie zamierzam śledzić w dzienniku dalszych sztuczek cyrkowego Prezydenta, pojawienia się Oleksego w nowym numerze (dopisane później: nadzwyczajna wiadomość o wyznaczeniu Władysława Bartoszewskiego na szefa MSZ, świadcząca o sprycie, nie podwórkowym spryciku Wałęsy, lecz autentycznym sprycie Oleksego), wycofania się Falandysza z cyrkowej areny po starciu z Wachowskim. Cyrk trwa i trwać będzie dalej, aż do gwizdów i tupotu nóg na widowni (co wróżę). Ale jedno Wałęsa powinien zrozumieć, choćby to wymagało z jego strony nadmiernego może wysiłku umysłowego. Takie numery cyrkowe zostawiają ślad, jak słusznie pisze Modzelewski „państwo prawa zostało już podkopane”. Dodając, równie słusznie: „W kraju ugruntowanej demokratycznej kulturze nie byłoby na to (co wyprawia Wałęsa) społecznego przyzwolenia... u nas jest to możliwe, gdyż takie jest dziedzictwo sowietyzacji”. Rzeczą, która mnie szczególnie drażni, jest spotykana czasem opinia (z odcieniem uznania) o „chytrości” Wałęsy. Nie, nie jest chytry, nie jest nawet sprytny, ogrywa kołosiów swoją nieobliczalnością, w której nie ma żadnej wizji przyszłości, żadnej umiejętności skromnego bodaj planowania przyszłości państwa, a nie własnej jedynie kariery (która mu niby to „wisi”). Sztuka zaskakiwania i tak już dostatecznie wykonywanych, otumanionych członków rządu i posłów na Sejm – oto czego się nauczył w Belwederze. Oby wybory prezydenckie położyły wreszcie kres tej głupkowato-ponurej zabawie we Władzę.

27 lutego

Moje opowiadanie *Błogostawiona, święta* wzbudziło wielkie zainteresowanie. Przedrukował je *Plus-Minus*, świetny dodatek cotygodniowy do *Rzeczpospolitej* redagowany przez Elżbietę Sawicką, zamówiono jego tłumaczenie na włoski, angielski, francuski i czeski, zajęli się nim nawet młodzi filmowcy z Łodzi i inscenizator teatralny w Warszawie.

Czytam raport lekarki francuskiej Catherine Bonnet, napisany natychmiast po powrocie z Rwandy do Paryża. Opisuje sumiennie i ze zgrozą to, co było bośniacką inspiracją

mojego opowiadania. Catherine Bonnet nie podaje hipotetycznych cyfr, uważa to za niemożliwe. Twierdzi po prostu, na podstawie zeznań tubylczych lekarzy i ofiar, że „w praktyce każda ocalała i dojrzała płciowo kobieta została zgwałcona” przez żołnierzy *Hutu* i szczutych wieśniaków zarówno *Hutu* jak *Tutsi*. W wypadkach ciąży dziewięćdziesiąt procent zgwałconych kobiet zamierza pozbyć się płodów gwałtu. Raport określa gwałty w Rwandzie jako „czystkę etniczną”. Gwałtów (zbiorowych) dokonywano na kobietach żywych i zabitych. Zgwałcone kobiety, czy raczej dziewczyny, nie zwracały się ze wstydu do lekarzy, usiłowały spędzać płody „metodą chałupniczą”, albo popełniały samobójstwo. „Podobnie jak w Bośni”, komentuje lekarka francuska. Niejednokrotnie gwałciciele zarażali swoje ofiary chorobą Aids. Pozostałe przy życiu kobiety milczą w obawie przed represjami ze strony gwałcicieli. Rada Bezpieczeństwa ONZ, na wiadomość o masowych gwałtach w Bośni w roku 1992, zaliczyła je do kategorii „zbrodni przeciw ludzkości”. Warto przytoczyć ostatnie słowa raportu Catherine Bonnet: „Bardzo nieliczne były wypadki ścigania odpowiedzialnych za masowe gwałty w Bośni. Tak samo będzie w Rwandzie”.

A *propos*. Pewien polski ksiądz z Rzymu, którego dotychczas uważałem za inteligentnego, wytyka mi z oburzeniem błędy w *Błogostawionej*, świętej dotyczące procedury beatyfikacji i kanonizacji. *Toute proportion gardée*, to tak jakby paryski purpurat karmił Gide’a za pomyłki „rzeczowe” w *Lochach Watykańu*.

4 marca

W przedmowie do książki Josepha de Maistre (brata autora *Trędowatego* z *Aosty*) o Papieżu, *Du Pape*, E.M. Cioran twierdzi, że „właśnie cechy odpychające (*odieux*) jego doktryn czynią go żywym i aktualnym; gdyby nas co chwila nie irytował, zabrakłoby nam cierpliwości by go czytać”. Tenże Cioran: „Religie umierają na zanik paradoksów, rozumiał to de Maistre i dosypał do katolicyzmu dwie szczypty, bystrości i okropności”. Na przeciwnym biegunie Baudelaire: „De Maistre i Poe nauczyli mnie rozumować”. O „podziw”

dla de Maistre’a czyta się u Flauberta. Camus postawił go obok Marksa; obaj, według Camusa, usprawiedliwiali los człowieka względami wyższymi, Marks odwoływał się do Historii, de Maistre do Opatrzności. Profesor Laski, mentor labourzystów angielskich, zestawiał de Maistre’a z Bismarckiem w studiach o problemach suwerenności i władzy w nowoczesnym państwie.

Sabaudzki chwalca kata i Inkwizycji, ambasador króla Sardynii w Petersburgu, życzliwie do czasu wysłuchiwany przez cara Aleksandra I, Reakcjonista z dużej litery, twórca obrazu Papieża nieomylnego, monarchy absolutnego, którego „supremacja jest tym, czym system kopernikański dla astronomów”, sługa Kościoła katolickiego, lecz takiego co to „nigdy z natury swojej nie dyskutuje, opiera się na wierze bez dyskusji, albowiem wiara jest wiarą z miłości, a miłość nie potrzebuje argumentów”, nazywany często „prorokiem przeszłości”, niezłomny i nieustępliwy w sławieniu nieograniczonej niczym mocy Papieża, tak wpatrzony w przedstawiciela Boga na ziemi, że Pius VII, obawiając się niekorzystnych reakcji, delikatnie odmówił zgody na dedykowanie mu *Du Pape*, otóż ten papista nad papistami nieustannie wymieniał na kartach swej książki (napisanej w Petersburgu) Boga, ani razu jednak nie wymienił Chrystusa. Chodziło mu o jedno tylko: o poddanie całej Europy (łącznie z Rosją) duchowej władzy Tronu Watykańskiego.

Nie ma racji Cioran, spiżowy pomnik wystawiony Papieżowi przez de Maistre’a wywołuje wrażenie posępnej wielkości, zniewala i oplątuje raczej niż odpycha. Kogo przypomina ten pisarz „uczący rozumowania”, propagator i protektor jezuitów w Rosji, pokonany w końcu i zmuszony z woli Aleksandra I do wyjazdu z Rosji? Jestem przekonany, że *Du Pape* czytał autor *Legandy o Wielkim Inkwizytorze*. A może wyważam otwarte drzwi, może zauważył to już któryś z badaczy Dostojewskiego? W każdym razie nie zdziwiłbym się wcale, gdyby staraniem patriarchatu prawosławnego książka de Maistre’a ukazała się teraz w Moskwie. Jako jezuicka wizja świata i Kościoła.

5 marca

We wznowionym wydaniu włoskim, które w tych dniach przeczytałem, książkę de Maistre'a *Il Papa* poprzedza słowo wstępne Carlo Bo, eseisty katolickiego i rektora uniwersytetu w Urbino. „Co się spełniło ze snu de Maistre'a? Ile z jego papieskiej inwokacji urzeczywistniło się w długim okresie czasu (od roku 1817)? Historia zdementowała go we wszystkich prawie punktach miłosnego wyznania pod adresem Rzymskiego Monarchy, *Sommo Pontefice*. Z wyjątkiem dogmatu nieomyślności, dziś zresztą usuniętego w cień”.

Spośród papieży w naszych czasach jeden tylko przechował odprysk papieskiego wizerunku de Maistre'a: Pius XII. Wegetowała w nim resztką fiksacji „nawrócenia Rosji” w ramach roztoczenia władzy duchowej nad całą Europą; był, jak de Maistre, zdania że „w Kościele się nie dyskutuje”, że prawdziwa wiara, na podobieństwo miłości, odnosi się więcej niż niechętnie do „argumentów”; stąd jego wrogi, a nawet brutalny niekiedy stosunek do kościelnych „innovatorów” o ogromnej często wartości. Po śmierci Piusa XII nastąpiła seria papieży „otwartych”, całkowicie już obcych duchowi autora *Du Pape*. Jan XXIII, Paweł VI, Jan Paweł I, Jan Paweł II. Paweł VI, mimo rozpaczliwych wysiłków nawiązania uczuć bliskości z „ludem Bożym”, nie potrafił przełamać chłodu lub co najmniej obojętności. Natomiast w pełni, w nadmiarze wręcz, udało się to Janowi XXIII. A także, choć na krótko, Janowi Pawłowi I, którego plany na przyszłość miały podobno tak daleko posunąć „otwartość”, że obecnie jeszcze spotyka się ludzi przekonanych święcie o jego „zagadkowym” zgonie. Co do Jana Pawła II, to „owczarnia” wierna pasterzowi lubi go bardzo na zasadzie „swój chłop” (przeciwstawiając go Pawłowi VI), natomiast dystans odczuwa się na ogół u części młodzieży i inteligencji wrażliwej na jego „konserwatyzm obyczajowy”.

8 marca

Na początku maja tygodniowa wyprawa do Pragi, od tak dawna upragniona. Cel: przede wszystkim zobaczyć „Pragę

magiczną”, ale wziąć też udział w promocji dwóch moich książek po czesku (trzecia w przygotowaniu). Więc od jakiegoś czasu wyławiam co się da na tematy czeskie. Ostatnio szkic Timothy Garton Asha *Prague: Intellectuals and Politicians*.

Szkic jest zbyt rozwlekły, co można w końcu usprawiedliwić, zważywszy że sam autor był ważnym uczestnikiem bezpośrednim „praskiego sporu”. Ale w interesie większej przejrzystości lepiej skondensować maksymalnie polemikę w paru najistotniejszych punktach.

Prezydent Vaclav Havel zaproponował raz swemu przyjacielowi, „wspaniałemu człowiekowi i wspaniałemu pisarzowi”, pewne stanowisko polityczne. Przyjaciel odmówił, twierdząc że ktoś musi pozostać niezależny. Havel odpowiedział: „Jeśli wszyscy tak powiecie, może się zdarzyć, że nikt nie pozostanie niezależny, bo nie będzie nikogo gotowego pilnować i bronić owej niezależności”. Paradoks wydaje mi się mało przekonywający. Havel posunął się jeszcze dalej, proponując stworzenie światowego *lobby*, „trochę konspiracyjnej mafii”, z zadaniem nie tylko pisania świetnych książek, lecz wywierania wpływu na politykę. A „politycy, co najmniej ci mądrzejsi, nie odrzucą takiej działalności, lecz przeciwnie powitają ją z zadowoleniem”. Było jasne, że prezydent nie włączał do tych „mądrzejszych polityków” Vaclava Klausea.

Według Klausea „nie ma na świecie nic gorszego, niż intelektualista wygłaszający przemówienia polityczne”. Co nie przeszkadza, że premier ma sam słabość do pióra i lekko snobistyczne ciągoty do tytułu „polityka-pisarza”. Z oburzeniem przyjął uwagę Garton Asha, że rolą intelektualisty jest „poszukiwanie prawdy” („żyć w prawdzie” Havla), gdy politycy działają „w półprawdzie”.

Oxfordzki uczestnik sporu domaga się od intelektualisty, aby był przeciwnikiem (nie wrogiem) zawodowego polityka. Niezależność jest i winna być podstawowym atrybutem intelektualisty. Nie tylko pod rządami dyktatury, lecz właśnie w liberalnych, demokratycznych państwach niezależni intelektualiści są i muszą być solą ziemi.

Znany czeski pisarz Ivan Klima aplikuje szybką kurację otrzeźwiającą. Po pierwsze, wyrzucmy na śmietnik przekonanie o moralnej wyższości intelektualistów nad politykami, o

tym że posiedli Prawdę z dużej litery. Dość takich bezpodstawnych uzurpacji, szczególnie w Europie środkowo-wschodniej. Nie zapominajcie, ile złego zrobili intelektualści u władzy, ile szkód wyrządzili swoimi utopiami. Czytajcie co o nich pisze Paul Johnson w książce *Intellectuals*. Ponoszą dużą część odpowiedzialności jako projektodawcy i wykonawcy wielu najcięższych zbrodni politycznych XX stulecia. O intelektualnych poputczikach mawiał Orwell: „Żaden przeciętny człowiek nie jest i nie będzie nigdy takim durniem”. A Popper? Nazwał ich po prostu „osłami”.

A zatem? Podzielam pogląd Klimy, z jedną poprawką: w momentach rewolucyjnych, w chwilach obrachunków i buntów, intelektualści potrafią wznieść się ponad swoją nędzę, nabytą na dworach władców. Sami często, otrząsnąwszy się z durnowatego i oślego transu, wzywają do buntu i potrafią nim pokierować. Tak było w Polsce, w Czechosłowacji, na Węgrzech, w NRD.

Ale nie daje im to, nie powinno dawać, prawa do odcinania kuponów od swoich zasług. Ledwie upada reżym opresyjny, ledwie społeczeństwo zaczyna swobodnie oddychać, intelektualści (jeśli chcą się na zawsze wyzwolić z cudzysłowu i oprzeć pokusom korupcyjnym władzy) muszą usunąć się na swoje naturalne miejsce. Jest nim *niezależna* pozycja *spectateur engagé*, bezlitosnego nawet krytyka, z *zasady* odmawiającego wpłatania w sieć „stanowisk politycznych”. Tu trzeba przyznać stuprocentową rację historykowi i publicyście z Oxfordu.

A skoro rację ma Garton Ash, to nie ma jej Havel (którego podziwiam)? Ma ją i on, lecz w wypadkach zupełnie wyjątkowych. On sam jest takim wypadkiem, znakomitym prezydentem, którego możemy jedynie zazdrościć Czechom. Być może takim wyjątkiem byłby w Rosji Sołżenicyn, jak był nim na pewno Sacharow. Albo Turowicz w Polsce. Słowem, intelektualści o głębokich i mocnych korzeniach moralnych, intelektualści typu Orwella, Poppera, Arona, Silonego, Hanny Arendt, którzy podejrzliwie odnoszą się do... Do czego? Do własnej inteligencji, galopującej na rumakach efektywnych teorii i abstrakcyjnego samodurstwa, nie powściągananej przez sumienie, uczciwość, miarę moralną i zwykły zdrowy rozsądek.

9 marca

Na listę (chudą) najważniejszych książek z okresu PRL wpisałbym bez wahania *Grypsy i reminiscencje* Zbigniewa Florczaka, wydane ostatnio w Londynie. Florczak to legendarny PELIKAN, który swoje „grypsy” przysyłał przez wiele lat do *Kultury*, pilnując do końca z powodzeniem swej anonimowości (jedyńi zamaskowany całkowicie pisarz wśród krajowych współpracowników *Kultury* w maskach mniej lub więcej obsuniętych na twarzach, śmiałków żądnych natychmiastowego rozgłosu i poklasku). Siłą jego szkiców („siłą bezsilnych”, jak to określił Havel) była kategoriyczna odmowa kręactwa, tak typowego dla literatów podszytych strachem i niepewnych jakie Historia kryje w zanadrzu wyroki. Florczak pisał bez osłonek i rezerw to co widział i myślał, ze wstrętem do formulek połowicznych „jakkolwiek, tym niemniej”. Chwała mu za to, zasługuje na wysokie notowania na liście „rozdartych”, „osaczonych przez historyczne wątpliwości i filozoficzne dylematy”.

Pamiętał zdanie Camusa, jednego z nielicznych mistrzów naszego totalitarnego stulecia. *L'écrivain ne peut se mettre aujourd'hui au service de ceux qui font l'histoire: il est au service de ceux qui la subissent*. W tym zdaniu jest wszystko, także odpowiedź na pytania stawiane w „praskim sporze”. Pisarz prawdziwy, naprawdę niezależny, będzie zawsze po stronie tych, którzy są ofiarami historii. Literaci, nieśmiertelni literaci dworscy, „do usług” wobec każdego panującego władcy, „twórcy historii”, to właśnie owi „intelektualiści” w cudzysłowie, zgraja orwellowskich durniów czy popperowskich osłów. Florczak zrozumiał, że cichy gryps jest najlepszą i najgodniejszą formą pisarską w rozgarzacie „robienia historii”.

18 marca

4 kwietnia 1820 Goya bierze udział, po raz ostatni, w posiedzeniu Akademii w Madrycie. Akademicy zaprzysięgają upragnioną Konstytucję z roku 1812. Zmartwychwstała więc

prawda, wraz z całym narodem. I wraz ze swoim narodem Goya żyje ulotną godziną wolności. Wystarczy spojrzeć na nazwy rysunków z tego roku: *Boska wolność*, *Lux ex tenebris*, *Boski rozum*. W trzy lata później armie Świętego Przymierza cofają koło historii. Ferdynand VII wgniata w ziemię resztki wolności i wprowadza biały terror. Goya ukrywa się przez trzy miesiące. 28 kwietnia 1826 Akademia, na posiedzeniu plenarnym, zaprzysięga: obronę Misterium Niepokalanego Poczęcia, wierność królowi i nowym prawom, wrogi stosunek do tajnych stowarzyszeń i do „absurdalnej zasady, że naród władny jest zmieniać obowiązujące formy rządu”. Goya, otarłszy się przelotnie o Trybunał Inkwizycji, za pozwoleniem króla jedzie na leczenie do wód mineralnych w Plombières, po czym osiedla się w Bordeaux. Zbliża się do osiemdziesiątki, jest całkowicie głuchy, ale rozpiera go siła witalna. Wybiera się na wystawy do Paryża. Towarzyszy mu wszędzie Leocadia Zorilla, przypuszczalna matka jego dziesięcioletniej córeczki. Goya maluje i rysuje jak opętany, historyk sztuki nazywa go „ludzkim wulkanem”. Hiszpania śpiewa i tańczy w jego sercu, z „nieustanną hiszpańską śmiercią na karku”. Goya wyskakuje na krótko do Madrytu, załatwia swoje najpilniejsze sprawy, zabiera wnuka do Bordeaux, licząc także na wizytę syna. „Jeśli przyjedziesz – pisze do syna – moja szczęśliwość będzie pełna”. I jest naprawdę szczęśliwy: jako malarz, który „namalował wszystko”; i jako człowiek, który był kochany, kochał i wciąż jeszcze kocha.

2 kwietnia 1828 upadek ze schodów przykuwa go do łóżka. Jest połowicznie sparaliżowany. Zachowuje przytomność. Wszystkich zgromadzonych wokół jego łóżka zdumiewa niezwykle fakt: oto Goya wpatruje się bez przerwy w swoją rękę, ale nie po to by ocenić czy będzie po chorobie zdolna do malowania; wpatruje się w nią wzrokiem, jakim wierzący w agonii przywierają do krucyfiksu lub do świętego obrazu, a niewierzący do podobizn swoich najbliższych. Wzrokiem rozmodlonym, pełnym weneracji. Boska ręka. Poruszają się jego wargi, szepczą słowa jakich nauczyła go w dzieciństwie matka w Fuendetodos. Goya, poróżniony z Bogiem i Jego kapłanami! Istnieje chyba Bóg, jeśli stworzył taką rękę.

Umiera w nocy z 15 na 16 kwietnia.

23 marca

„Polifoniczność powieści”, którą Bachtin przyswoił badaczom literatury, stała się w pewnym momencie przedmiotem marzeń i aspiracji powieściopisarzy. W każdym niemal wywiadzie Sołżenicyn mówił, z nutą dumy w głosie, o „polifoniczności” swoich powieści. Przesadzał. „Polifoniczność” prawdziwa, a nie narzucana siłą, jest instrumentacją bardzo trudną i dochodzi do głosu (a raczej do głosów) bez świadomego wysiłku, jako przyrodzona cecha Wielkiego Pióra. Powieści Sołżenicyna nie są „polifoniczne”, są nieustannymi próbami „polifoniczności”, wymuszonymi i niezbyt udanymi. Sołżenicyn jest z natury narratorem „monofonicznym”, o czym świadczy jego arcydziełko *Zagroda Matrony*, dla mnie bezsporny szczyt jego twórczości. Chciałoby się powiedzieć, że pisarze rodzą się „monofoniczni”, jak mężczyźni rodzą się „monogamiczni” (ich zdrady kończą się zawsze fiaskiem).

Geniuszów „polifoniczności” jest niewielu, żaden może nie olśniewa tak jak Szekspir (choć dramaturg). Od kilku wieczorów czytam, po raz trzeci w życiu, *Don Kichota* Cervantesa. Z niesłabnącą rozkoszą, po trzy-cztery rozdziały, co wieczór, żeby „spowolnić” i przedłużyć delectację. Dochodzę do wniosku, że geniusz Cervantesa był „bifoniczny”. Kiedy się *Don Kichota* czyta za młodu, w okresie dojrzewania, zachwyca wciąż tylko komizm. A potem, stopniowo, zaczyna przeświecać w scenach komicznych coś tragicznego. Te dwa plany nakładają się na siebie z absolutną precyzją, jakby były świadomie dopasowane. Nie są. Są spontanicznym i organicznym cudem sztuki Cervantesa.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Z Wysp Sołowieckich do Paryża

Sołowki, 13 marca

Szanowny Panie Redaktorze,

serdecznie dziękuję za zaproszenie do współpracy z *Kulturą*. Kto by przypuszczał, że z Wysp Sołowieckich można będzie pisać do Paryża?

Gdy podnoszę wzrok znad stołu, na którym piszę, i przed moimi oczami otwiera się pusta przestrzeń Białego morza za oknem, tylko lód, śnieg i blady тумan, to trudno wprost uwierzyć, że Paryż w ogóle istnieje, bo nawet Moskwa stąd jest nierealna. Sołowki, wedle Pawła Floreńskiego, który tu siedział, leżą na skraju świata, w połowie drogi na tamten. Stąd i Moskwę, i Paryż, jednakowo widać.

Dzisiaj mija równo cztery lata jak przyjechałem do Rosji. Wtedy to był jeszcze Związek Sowiecki i rządził w nim Gorbaczow. Przyjechałem, można rzec, w sam środek „historii spuszczonej z łańcucha” i od razu zacząłem notować. Na brudno. Nie była to reporterka, nie rejestrowałem faktów, raczej próbowałem „przeżyć prozę jak dokument”. Ślady zostawić. W listach do najbliższych, w kajetach dla siebie zapisywałem gesty, słowa, refleksy ludzi i przyrody, własne refleksje, obrazy...

Zamieszkałem w Moskwie, by z bliska oglądać „schwatkę Jelcyna”, a jednocześnie podróżowałem po rozpadającym się Imperium. Byłem na miejscu wybuchu bomby pod niewielkim *osobniakiem*, w jednym z zaułków Zamoskworiecza, i zapamiętałem to, co z niego zostało. To był lokal wyborczy demokratów, wtedy stronników Jelcyna.

Stałem też na balkonie Białego Domu w dniu puczu, kiedy przemawiali zeń, jeszcze razem: Jelcyn, Ruckoj, Chasbulatow i... Szewardnadze.

Podróżowałem wzdłuż „martwej drogi” kolei żelaznej, ostatniej wielkiej budowy Stalina (*strojka-501*), między Obem a Jenisejem, na wysokości Kręgu Polarnego. Płynęliśmy rzeką Jarudej na katamaranach: od zony do zony. Nocowaliśmy w opuszczonych barakach, zarosłych trawą i jagodami. Tundra. Babie lato. W „*wołczej kolonii*” polowałem na głąszce, ale kiedy raniony ptak zaplątał się w *koluczą prowłokę*, poczułem wstyd...

Potem Kazachstan, Ałma-Ata, częściowo śladami Wata, trochę swoją ścieżką. Z *worami* w zakonie jeździłem do Czujskiej doliny na kontrabandę anaszy, a potem do zony w Dzambule, gdzie mi pokazali, jak się gra w sztos.

W grudniu 91 przyjechałem do Polski, by obejrzeć w TV bohaterów *Konspiracy*, na obchodach dziesiątej rocznicy wprowadzenia stanu wojennego. Nowy Rok 92 witałem na Placu Czerwonym. Tej zimy zacząłem *Mojego Szalamowa*, rzecz o Warłamie Tichonowiczu. Z jego życia, jak z kawałków rozbitego zwierciadła, próbuję złożyć lustro, w którym chciałbym zobaczyć lico epoki. Póki co, zbieram okruchy. Jeszcze mnie czeka Kołyma...

Jednocześnie z *Szalamowem* kontynuuję podróże i refleksje, które roboczo nazwałem: *Samopas*. Wołogda, Jercewo, Tajwenga, zony północnego Uralu, wreszcie Kaukaz. W Groznym rozmawiałem z Dudajewem i Gamsachurdia (sierpień 92), a później, *samopas*, gruzińską drogą wojenną na *poputnych* do Tbilisi. I dalej: do Abchazji na wojnę.

Do Suchumi przyleciałem z oddziałem najemników, pozbieranych w większości z *blatnych*. Podróż tę opowiedziałem Floreńskiemu, wnukowi Pawła, a jej zapis ukazał się w *Białej Księdze Abchazji* (wyd. Moskwa, 93).

Późną jesienią 92 trafiłem na Sołowki. Niektórzy z miejscowych do dzisiaj myślą, że mnie tu zesłano. Kupiłem dom nad Zatoką Pomyślności i codziennie patrzę przez okno w Białe morze, kiedy podnoszę wzrok znad stołu, na którym piszę. Piszę na brudno, w kajetach, których rząd rośnie na półce. Piszę, jakbym ślady zostawiał. Ślady swojej *tropy*...

Propozycja współpracy z *Kulturą* mnie zaskoczyła. Nie myślałem publikować już teraz. *Tropa*, o której wspominałem, wciąż jeszcze jest ledwie widoczna, mam więc wątpliwości, czy należy z niej tak szybko robić drogę

publiczną. Z drugiej strony, dzięki *Kulturze*, do Paryża stąd bliżej, niż do Warszawy...

Z poważaniem

Mariusz WILK

PS. Niniejszy list chciałem zaproponować jako początek współpracy z *Kulturą*, coś w rodzaju *Listów z Sołówek*, w których mógłbym, co jakiś czas, rozwijać pewne wątki *Samopasa*. Załączam też przekład opowiadania Szalamowa, które koresponduje w jakimś sensie z moim listem i, o ile wiem, nie było dotychczas po polsku publikowane. Serdecznie dziękuję za grudniowy numer *Kultury*, który na Wyspy Sołowieckie dotarł w połowie stycznia!

Tropa

W tajdze miałem swoją własną cudowną tropę. Sam ją wydeptałem latem, kiedy zbierałem opał na zimę. Posuszu wokół chaty było sporo – stożkowate modrzewie, szare jak z papier *mâché*, tkwiły, niby pale, w błocie. Chata stała na niewielkim wzgórzu, otoczona krzakami cedrowego słańca – kiśćmi zielonych igieł. Jesienią szyszki pęczniały orzechami i nakłaniały gałęzie do ziemi. Przez te zarośla biegła moja tropa ku błotom. Kiedyś, zanim błota stały się błotami, rósł na nich las, a potem korzenie zgniły od wody i drzewa umarły – dawno, dawno. Żywy las odszedł na bok, po podnóżu góry, w kierunku strumienia. Droga, którą jeździły auta i ludzie, legła z drugiej strony góry, wzdłuż zbocza.

W pierwsze dni żał mi było deptać mięsiste czerwone konwalie, irysy, podobne do wielkich liliowych motyli, tak płatkami, jak i deseniem, a ogromne przebiśniegi nieprzyjemnie chrzęściły pod nogami. Kwiaty na Dalekiej Północy nie pachną. Dawniej łapałem się na automatycznym ruchu – zrywasz bukiet i podnosisz go do nosa. Potem odwykłem. Każdego ranka oglądałem, co zaszło w nocy na tropie. Oto wstała konwalia, wczoraj zgnieciona moim butem, co prawda

krzywo, ale ożyła. Druga zaś leży zmiażdżona na zawsze, niczym zwalony słup telegraficzny z porcelanowymi izolatorami, a splątane włókna wiszą jak zerwane przewody.

Potem tropa się udeptała i przestałem zwracać uwagę na gałązki cedracza, które rosły w poprzek drogi; te, co chłastały mnie po twarzy, obłamałem. Po obu stronach stały młode modrzewie, co najwyżej po sto lat. Zieleniły się przy mnie i przy mnie osypywały igły. Tropa z każdym dniem ciemniała, aż stała się zwykłą ciemnoszarą ścieżką górską. Nikt, oprócz mnie, nią nie chodził. Skakały tam tylko popielate wiewiórki, czasami znajdowałem egipskie pismo klinowe kuropatw, albo trójkątny ślad zająca. Ale przecież ptaki i zwierzęta się nie liczą.

Chodziłem po tej tropie trzy lata. Dobrze się na niej wiersze pisały. Bywało, wrócisz z podróży, wyjdiesz na tropę i niezawodnie strofę wychodzisz. Przywykłem do mojej tropy, jak do leśnej pracowni-gabinetu. Zwykle przed zimą mróz chwycił błoto i ono jakby się scukrzało, niczym konfitury. Dwie jesienie przychodziłem przed śniegiem, by zostawić głęboki ślad, który na moich oczach twardniał na całą zimę. A wiosną, kiedy śnieg tajał, odnajdywałem ubiegłoroczne odciski, stąpałem w stare ślady i wiersze znowu pisały się lekko. Zimą, rzecz jasna, mój gabinet był pusty: mróz nie pozwala myśleć, pisać można tylko w cieple. Za to latem wszystko robiło się pstre, każdy szczegół czarodziejskiej tropy znałem na pamięć – cedrowy słańiec, modrzewie, krzewy dzikiej róży przypominały czyjeś wiersze, a jeśli cudzych nie starczało, to swoje wymamrotywałem. Potem, wróciwszy do chaty, zapisywałem je.

Trzeciego roku po mojej tropie przeszedł człowiek. Nie było mnie wtedy w domu, więc nie wiem: może wędrujący geolog, może pieszy listonosz, może myśliwy. Człowiek zostawił ślady ciężkich buciorów. Od tego czasu wiersze przestały się pisać na tropie. Cudzy ślad pojawił się wiosną, a przez całe lato nie napisałem tam ani linijki. Zimą mnie przenieśli na inne miejsce i nie żałowałem, bo tropa była i tak bezpowrotnie stracona.

Wiele razy próbowałem napisać wiersz o tej tropie, ale mi nigdy nie wyszło.

Wartam SZALAMOW
Przełożył Mariusz Wilk

Impresje litewskie (2)

1. Sprawa wileńskich Żydów. Faktycznie pominąłem fakt, iż Wilno przed wojną było światowym ośrodkiem religijnym Żydów. Ośrodek ten mieścił się w Szulhojf-Synagoga Wielka na rogu ulic Niemieckiej i Wileńskiej w Wilnie. Przy Synagodze była ogromna Biblioteka Straszuna, którą założono w drugiej połowie XIX wieku, w bibliotece tej było ponad 35 tysięcy rzadkich ksiąg i rękopisów. Synagoga, wybudowana w 1573 (drewniana), później przebudowana kilka razy, ostatecznie murowana w 1661 r. przetrwała do 1944 roku. Podczas ucieczki Niemców z Wilna została częściowo zniszczona, ale można było świątynię odbudować, jednakże władze sowieckie w 1947 roku wysadziły budynek, nie pozostało po nim nawet śladu. Zachowały się jedynie fotografie sprzed wojny i wcześniejsze.

2. Żydowski Instytut Naukowy (YIVO) został założony w 1925 roku w Wilnie, działał on w latach 1926-1937. Twórcami tego instytutu byli: C. Szabad, Z. Reisen, I. Czernichow, M. Szalit, T. Kowarski i M. Weinreich. Członkami Rady YIVO byli (w 1927 r.): I. Czernichow, A. Gołąb, G. Kowarski, A. Kremer, C. Szabad, J. Szur (lub Schurr); M. Wajnrajch (lub Weinreich). W 1935 roku w Wilnie odbył się Kongres YIVO z okazji 10-lecia założenia tego instytutu. W 1939 roku w YIVO były dwa muzea – teatralne i pedagogiczne, trzecie muzeum – sztuki dopiero organizowano. Kierownikiem YIVO w 1939 roku był D. Kapłan-Kapłański, jednym z członków kierownictwa – E. Zaks (Sacks?). YIVO działał jeszcze w 1940 roku. Z tego okresu występują nazwiska członków kierownictwa: R. Kałmanowicz, Sz. Bastomski, M. Lerer. We wrześniu 1940 roku, już podczas władzy sowieckiej YIVO został zamknięty. NKWD uznało, że instytut ten może szkodzić państwu. W tym czasie Reisena,

I. Czernichowa, E. Zaks NKWD aresztowało i wywieziono ich w głąb ZSSR. Przeżył tylko E. Zaks. W okresie okupacji niemieckiej YIVO zainteresowali się hitlerowcy, zatrudniono tam tłumaczy pod kierunkiem Kałmanowicza. Pracowali oni nad zbiorami YIVO od 18 lutego 1942 do 10 lipca 1943 roku. Zbiory YIVO częściowo zostały rozgrabione w latach 1940-1941. Według ewidencji grupy Rosenberga, która penetrowała zbiory wileńskiego YIVO, w 1943 roku było: 40 tys. tomów z Biblioteki Straszuna, 10 tys. tomów książek chasydzkich, 40 tys. z Biblioteki YIVO, 10 tys. z bibliotek synagog i prywatnych, ponadto były zbiory fotografii, pocztówek, plakatów, wydawnictw reklamowych, zbiory muzeum teatralnego, ogromna ilość rękopisów z XVIII-XX wieku, część archiwum wileńskiej szkoły rabinackiej (1873-1915), 40 kart pacjentów znanego lekarza wileńskiego C. Szabada (1864-1935), listy, zbiór obrazów itp. Wszystkie te zbiory zostały w latach 1942-43 zewidencjonowane i wywiezione do Niemiec. Doktor Pohl, dyrektor Muzeum Małych Narodów we Frankfurcie, był student Uniwersytetu Jerozolimskiego, wysłał z Biblioteki Straszuna ponad 20 tys. książek do Niemiec, także wiele cennych dokumentów przekazał z YIVO do Frankfurtu, ponad 80 tysięcy modlitewników i innych mniej wartościowych druków przekazał do papierni w Nowej Wilejce. Po wojnie szczątki zbiorów YIVO trafiły do Nowego Jorku, gdzie istnieje amerykański YIVO. O działalności wileńskiego YIVO i o jego zagładzie pisze Mark Dworzecki we wspomnieniach, które wydał w języku jidysz w Paryżu (1948). W 1944 roku na miejscu, gdzie był budynek YIVO pozostały tylko ruiny.

W 1945 roku Żydzi wileńscy, którzy wrócili do rodzinnego miasta, próbowali odbudować przynajmniej Muzeum Żydowskie. Byli to Szmerl Koczerginiński, pisarze Sz. Bejlis, Ch. Grade, M. Pups, A. Suckewer, Rachela Margolis. Na początku w mieszkaniu Sz. Koczerginińskiego i A. Suckewera przy ulicy d. Mickiewicza (Gedimino) 15 zebrali szczątki dokumentów, które udało się odnaleźć w ruinach budynku YIVO i Wielkiej Synagogi. Wiele z cennych eksponatów i dokumentów, książek odnaleziono w piwnicy jednego z domów przy ulicy Szawelskiej (dawne getto). Odnaleziono listy I. Pereca, Szolom-Alejchema, Ch. Bialika, dziennik dr. Herzla itp. Wreszcie w 1946 roku udało się wileńskim Żydom zorganizować muzeum w budynku przy ulicy Straszuna 6, obecnie Žemaitijos 4. Dyrektorem został Sz.

Koczergiński, który wkrótce z Wilna wyjechał, dyrektorem został wtedy Jankl Gutkowicz, który na tym stanowisku pracował do 10 czerwca 1948 roku, tj. do zamknięcia Muzeum przez bolszewików. W tym Muzeum, jak pisze, Rachela Margolis, były próby odrodzenia YIVO jako centrum naukowego i religijnego Żydów na Litwie. Niestety, władze sowieckie, jak wspominałem, Muzeum zamknęły a zebrane z wielkim trudem dokumenty, książki, listy, materiały zostały przekazane do Archiwum Państwowego, Muzeum Rewolucji i innych instytucji komunistycznych ówczesnego Wilna.

Obecnie, od 1 października 1989 roku Muzeum Żydowskie w Wilnie zostało reaktywowane. Zaczął się nowy etap jego działalności. Prawdopodobnie już nigdy nie dojdzie do świetności żydowskiej kultury i nauki, religii z lat międzywojennych.

Warto wspomnieć o dwóch zabytkowych cmentarzach żydowskich (kirkutach). Jeden, najstarszy, mieścił się na Pióromoncie na prawym brzegu Wilii. Istniał jeszcze w czasie wojny. Po wojnie bolszewicy zniszczyli go doszczętnie i na jego miejscu wybudowali Pałac Sportu i stadion. Nie ma więc śladu po tym kirkucie, gdzie był pochowany mędrzec żydowski Gaon. Nowy kirkut mieścił się na Antokolu przy ulicy Kirkutowej, w pobliżu Holenderni. Nagrobki z tego kirkutu komuniści przenieśli do Góry Bouffałowej (obecnie Taurokalnas) i z nich ułożyli schody od ulicy Portowej na tę górę, ponieważ na jej szczycie wybudowali Pałac Związków Zawodowych.

Na tle tej narodowościowej mozaiki całkiem dobrze, moim zdaniem, prezentuje się społeczność polska na Litwie. Na Wileńszczyźnie Polacy czują się najlepiej, bo, jak mówią, są u siebie, mieszkają na tych terenach „od zawsze”. Przecież wokół Wilna w promieniu 20-30 km wsie zaludnione są ludnością polską. Mieszkańcy tej ziemi twierdzą, że zawsze byli i są Polakami, chociaż często w niektórych wsiach na południe i wschód od Wilna w domu na co dzień mówią językiem białoruskim.

Według opracowania Severinasa Vaitiekusa „Lietuvos lenkai” („Polacy litewscy”, Vilnius 1994), 1 stycznia 1994 roku w Republice Litewskiej mieszkało 261,5 tys. Polaków, co stanowi 7% mieszkańców Litwy. Z tej liczby w Wilnie

108.239 osób, w Kownie – 2.952, w Druskiennikach – 1.048. Ponadto w rejonach: wileńskim – 59.812, solecznickim – 32.891, trockim – 19.365, święciańskim – 10.934, ignalińskim – 4.473, malackim 2.755, orańskim – 2.642, szyrwinckim 2.402, jezioroskim – 1.912 i janowskim (na d. Kowieńszczyźnie) – 923 osoby.

Polacy biorą dość aktywny udział w życiu politycznym kraju. Do litewskiego sejmiku wybranych zostało 6 Polaków: Medart Czobot, lekarz; Ryszard Maciejkaniec, dawny funkcjonariusz Komunistycznej Partii Litwy, obecnie działacz Związku Polaków na Litwie; Gabriel Jan Mincewicz, muzyk, kierownik zespołu ludowego „Wileńszczyzna”; Artur Płokszt, fizyk i ekonomista; Zbigniew Siemienowicz, lekarz; Karol Śnieżko, inżynier. Czterech z nich (Maciejkaniec, Mincewicz, Płokszt i Siemienowicz) tworzy frakcję polską. Przewodniczącym frakcji jest Z. Siemienowicz. Polacy aktywnie uczestniczą w strukturach samorządowych. Na przykład w radzie rejonu wileńskiego na 37 radnych jest aż 31 Polaków, w rejonie solecznickim – na 28 radnych, Polaków jest 22. Ponadto Polacy mają swoich przedstawicieli w 40 radach apylinkowych, tj. gminnych.

Latem 1994 roku Sejm litewski uchwalił, iż w wyborach samorządowych uczestniczyć mogą jedynie partie polityczne, więc jesienią tego roku powstała polska partia polityczna, która przyjęła nazwę „Akcja Wyborcza Polaków na Litwie”. Partia została zarejestrowana w sądzie i rozpoczęła działalność w końcu listopada ub. roku. Liderem Akcji Wyborczej PL został Jan Sienkiewicz, z zawodu dziennikarz, pierwszy przewodniczący Związku Polaków na Litwie. Jak mi powiedział, Akcja Wyborcza PL już w lutym liczyła około 1 tysiąca członków i miała koła we wszystkich prawie skupiskach Polaków na Wileńszczyźnie. W styczniu 1995 r. ogłoszono deklarację wyborczą, w której m.in. czytamy: „Podstawowym celem programu wyborczego AWPL jest zapewnienie równych praw politycznych, społecznych, socjalnych i ekonomicznych dla wszystkich obywateli Republiki Litewskiej niezależnie od ich narodowości”. Jan Sienkiewicz uważa, że wspólnie z Polakami, pod jednym hasłem, do wyborów mogą pójść Rosjanie, Białorusini i inni. Akcja Wyborcza PL wypowiedziała się też na temat polityki narodowościowej. Deklaracja Wyborcza tej partii głosi: „Zgodnie z proporcjami zamieszkania mniejszości narodowych, ich języki mają być – jako lokalne języki urzędowe – praktycznie respektowane

przez władze administracyjne, organy sądowe, biurowości, w napisach informacyjnych, na równi i równolegle z językiem państwowym, a mianowicie:

- język polski we wszystkich rejonach i gminach Wileńszczyzny, w tym w mieście Wilnie;
- język rosyjski w m. Wilnie, Kłajpedzie oraz Visaginasie (tj. w mieście, gdzie pracuje elektrownia atomowa – M.J.);
- język białoruski w Nowej Wilejce.

Zresztą języki innych mniejszości, jak i wyżej wspomniane, nie mogą być ustawowo eliminowane z życia publicznego poza terenami zwartych skupisk.

Atestacja znajomości języka państwowego przeprowadzana wśród mniejszości narodowych powinna być wydłużona do roku 2000, na Wileńszczyźnie przeprowadzić na domiar należy na warunkach ulgowych, uwzględniając specyfikę regionu. Jej wyniki nie mogą pociągać za sobą utratę pracy przez osoby nie atestowane”.

W kwestii oświaty i kultury AWPL postuluje: „Państwo i samorządy powinny jednakowo wspierać wszystkich nauczycieli oraz pracowników kultury niezależnie od ich narodowości, bądź przedmiotu wykładania. Nie może być żadnego priorytetu językowego przy otwieraniu nowych klas szkolnych oraz grup przedszkolnych. Równocześnie należy udoskonalić tryb nauczania języka państwowego w szkołach nielitewskich. Nauczanie języka państwowego poza szkołami i uczelniami powinno być finansowane przez państwo”.

Dalej Deklaracja głosi: „AWPL opowiada się za stworzeniem warunków, w których każde dziecko miałoby możliwość pobierać nauki w języku ojczystym na wszystkich szczeblach. Będziemy ze wszech miar popierać działalność Uniwersytetu Polskiego w Wilnie i zachowanie grup z rosyjskim, polskim i białoruskim językiem nauczania na innych uczelniach wraz ze zwiększeniem ich liczby, jeżeli o to będą zabiegały mniejszości narodowe...”

Niektórzy Polacy wileńscy uważają, że poszczególne postulaty Deklaracji Wyborczej są nierealne i nie mogą być przyjęte i realizowane przez władze państwowe. W ogóle warto tu podkreślić, że wielu Polaków w Wilnie, zwłaszcza ze sfer inteligenckich, partii AWPL nie poparło. Uważają oni, że przedstawiciele społeczności polskiej powinni wysuwać swoich kandydatów do władz samorządowych poprzez partie polityczne litewskie. Zatem może kilku lub kilkunastu Polaków wystąpi do wyborów w takich partiach jak Chrześci-

jańsko-Demokratyczna, Litewska Demokratyczna Partia Pracy, Socjaldemokratyczna Partia i w innych.

W końcu lutego br. rozwinęła się już prawdziwa walka polityczna. Im bliżej do wyborów, tym więcej zacieklności i wzajemnego zwalczania się. Bezkompromisowy w wypowiedziach prasowych Jan Sienkiewicz na łamach *Naszej Gazety* (1995, nr 8) napisał: „A że w innych partiach, startujących w wyborach na Wileńszczyźnie znaleźli się Polacy – żaden to argument. Są to generalnie ludzie nie wolni, uzależnieni od swojej przeszłości, presji niezyczliwych nam ludzi. Władze struktury poprzez prokuraturę naciskają na jednych, Sabienė (kierownik Wydziału Oświaty rejonu wileńskiego – M.J.) poprzez Błaszkiewicza (dyrektor Średniej Szkoły im. Jana Pawła II z polskim językiem nauczania – M.J.) urabia nauczycieli (...) Stąd też pojawiły się u nas raptem DPPL, Valstieciu (chłopska partia – M.J.) oraz Socjaldemokratyczna partia. I jedni, i drudzy, i naciskający, i ci zgadzający się, wyglądają żałośnie. Powstaje fałszywa, niesamorządna, uzależniona reprezentacja, która nigdy i nikomu nie służyła i służyć nie może. Litwie – także. Niestety, znaleźli się w tym gronie też działacze, którzy ukształtowali własny autorytet i byt moralny właśnie z racji zajmowanych funkcji w Związku Polaków na Litwie i którzy to wbrew decyzjom Zjazdu oraz Zarządu Oddziału dali się wciągnąć na listę zwalczających nas partii, dbając o swoje i tylko swoje bezpieczeństwo, a nie o nasz zbiorowy byt narodowy. Dziś jasne, że byli to związkowcy malowani, nieuczciwi ludzie, przez co utracili moralne prawo pełnić dotychczasowe funkcje”.

Jak się dalej rozwinie działalność polityczna Polaków na Litwie, przekonamy się w najbliższym czasie. Wydaje się, że będzie to zależało od samych Polaków i zwłaszcza od ich rozsądku i realnego postrzegania państwowości litewskiej i właściwego pojmowania racji stanu.

Szkolnictwo polskie państwo litewskie wspiera szczerze. Już od 1988 roku wprowadzono język polski do przedszkoli państwowych. W 1994 r. działało na Wileńszczyźnie 8 przedszkoli polskich, zaś w 53 przedszkolach były grupy z językiem polskim. Ostatnio dało się zauważyć, że część rodziców Polaków zaczęła wysyłać swoje dzieci do przedszkoli litewskich. Chodzi im bowiem o to, by dzieci już w wieku przedszkolnym nauczyły się języka państwowego.

Ogólnie szkół z polskim językiem nauczania w roku

szkolnym 1987/1988 było na Litwie 92 i uczyło się w nich 10.133 uczniów. W roku szkolnym 1993/1994 szkół ogólnokształcących było już 127 a uczniów 15.312. Ponadto w Wileńskiej Średniej Szkole Artystycznej istniała grupa polska. Uzdolniona młodzież uczyła się tu malarstwa i muzyki w języku ojczystym. Istnieją na Litwie szkoły ogólnokształcące mieszane: litewsko-polskie (6), rosyjsko-polskie (53) i litewsko-rosyjsko-polskie (14). Oprócz szkół ogólnokształcących z wykładowym językiem polskim istnieją na Litwie szkoły zawodowe, w których młodzież kształci się również w języku ojczystym, tj. polskim. W Wileńskiej Szkole Technicznej – 37 osób, w Szkole Kolejowej – 13, w Rolniczej w Dziawieniskach – 30 osób.

Severinas Vaitiekus podaje, iż w roku akademickim 1993/1994 w wyższych uczelniach Litwy studiowało 1.314 Polaków i Polek, z tego 1.161 na studiach stacjonarnych, 1 osoba na wieczorowych i 152 osoby na zaocznych. Liczba ta – 1.314 – stanowi 5,4% wszystkich studentów na Litwie. Studiują Polacy w roku akademickim 1994/1995 na następujących uczelniach litewskich: na Uniwersytecie Wileńskim 262 osoby, w Wileńskim Uniwersytecie Technicznym – 287, w Wileńskim Uniwersytecie Pedagogicznym – 337, w Litewskiej Akademii Policji – 74, w Litewskiej Akademii Muzycznej – 13, w Akademii Sztuk Pięknych – 1, w Wileńskim Wyższym Seminarium Duchownym – 7, w Kowieńskim Uniwersytecie Technologicznym – 18, w Uniwersytecie im. Witolda Wielkiego w Kownie – 8, w Kowieńskiej Akademii Medycznej – 41, Litewskiej Akademii Weterynaryjnej – 20, w Litewskiej Akademii Rolniczej – 26, w Instytucie Kultury Fizycznej – 14, w Kowieńskim Wyższym Seminarium Duchownym – 8, w Uniwersytecie Kłajpedzkim – 5, w Instytucie Pedagogicznym w Szawlach – 25 osób narodowości polskiej.

Ponadto na Wileńszczyźnie działają trzy wyższe państwowe szkoły z polskim językiem wykładowym: Wyższa Szkoła Rolnicza w Białej Wacie pod Wilnem – 301 studentów, Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Nowej Wilejce – 24, Wyższa Szkoła Medyczna w Wilnie – 71 osób. Vaitiekus w swoim opracowaniu stwierdza, iż w roku akademickim 1993/1994 w uczelniach RP studiowało około 400 Polaków z Wileńszczyzny.

Vaitiekus nie wymienia Uniwersytetu Polskiego w Wilnie, który działa w ramach Stowarzyszenia Naukowców Polaków na Litwie. Oficjalnie uniwersytet ten nie jest zare-

jestrowany, chociaż prawie od czterech lat pracuje, przyjmuje młodzież i kształci w różnych specjalnościach. Jest to na pewno uczelnia kontrowersyjna. Władze Związku Polaków na Litwie Uniwersytet Polski popierają, natomiast Ambasada RP nie widzi potrzeby istnienia takiej uczelni na Litwie. Pośród społeczności polskiej na Wileńszczyźnie też można usłyszeć różne opinie, ale raczej w wypowiedziach ludzie są powściągliwi. Obecnie działa już trzeci rok studiów. Podobno na dwa ostatnie lata studenci tej uczelni mają wyjechać do uniwersytetów w Polsce. Podobno, ale czy na pewno? Organizator i rektor Uniwersytetu Polskiego w Wilnie, prof. Romuald Brazis stara się, by szkołę tę utrzymać i zarejestrować jako uczelnię prywatną.

Życie społeczne i kulturalne Polaków na Litwie jest bogate i różnorodne. Najbardziej popularnym jest Związek Polaków na Litwie, który wiosną 1990 roku liczył prawie 15.000 członków, zaś latem 1994 r. (według danych *Kuriera Wileńskiego* z 17.8.94), należy przypuszczać, że na skutek wewnętrznych walk i nieporozumień, liczba członków ZPL spadła do 5-6 tys. osób. Jednakże ZPL posiada oddziały miejskie w Wilnie, Kownie, Druskiennikach oraz w rejonach wileńskim, solecznickim, trockim, święciańskim, szyrwincim, jezioroskim, janowskim. W lutym br. powstało Koło ZPL w Datnowie (Dotnuva) koło Kiejdan (Kėdainiai). Mają powstać oddziały w Szawlach, Turmontach, Jeziorosach (Zarasai) i w mieście Visaginas. Przewodniczącym Zarządu Głównego Związku Polaków na Litwie jest Ryszard Maciejkaniec. Siedziba ZG ZPL mieści się przy ulicy Didžioji 40.

Przy Zarządzie Głównym ZPL istnieje Stowarzyszenie Żołnierzy AK i Września. Organizacja ta ma być wkrótce zarejestrowana jako Związek Weteranów Polaków Drugiej Wojny Światowej.

Aktywnie działa Oddział Miejski ZPL w Wilnie, który ma własną siedzibę przy ulicy Pylimo (d. Zawalna). Prezesem oddziału jest Stanisław Korczyński. Znajduje się tam dość bogata biblioteka, ponadto przy oddziale działają: Centrum Naukowo-Badawcze Zespołu Ludowego „Wilia”, Klub „Przyjaciółki”, Klub Włóczęgów, Klub Bilardowy, Klub Przewodników po Wilnie, Klub Dziennikarzy Polaków i Klub Dyskusyjny, który w Wilnie cieszy się dużym powodzeniem.

Obok Związku Polaków na Litwie istnieją następujące organizacje społeczne i kulturalne:

Wspólnota „Dom Polski”. Organizacja ta dąży do zbudowania Domu Polskiego, który miałby skupiać życie kulturalne, społeczne i naukowe Polaków na Litwie.

Fundacja Kultury Polskiej na Litwie im. Józefa Montwiłła. Założona została w 1989 roku przez Henryka Sosnowskiego, który mimo różnych burzliwych przeżyć nadal jest prezesem tej organizacji. Powołano tu Społeczny Komitet Pamięci Adama Mickiewicza, który miałby za zadanie przygotować obchody 200-nej rocznicy urodzin wieszcz. Zdaje się, że Komitet nie przejawia żadnej działalności. Fundacja miała się opiekować zabytkami kultury polskiej na Litwie, jednakże nie widać, na razie, wyników w tej dziedzinie. Przy Fundacji jest Biuro Heraldyczne, którym kieruje dr Jan Ciechanowicz. Fundacja wydaje kwartalnik „naukowy i literacki” *W kręgu kultury*, ukazał się właśnie nr 2-3 z 1994 r. Redaktorem naczelnym jest dr J. Ciechanowicz.

Stowarzyszenie Naukowców Polaków na Litwie. Prezesem jest prof. dr hab. Romuald Brazis, fizyk. Stowarzyszenie skupia naukowców różnych dyscyplin. Przy Stowarzyszeniu od czterech lat, jak wspominałem, działa Uniwersytet Polski w Wilnie.

Szeroką działalność wśród nauczycieli i w szkołach wiejskich prowadzi „Polska Macierz Szkolna”. Prezesem tej organizacji jest długoletni działacz oświatowy na Wileńszczyźnie Józef Kwiatkowski.

Stowarzyszenie Katolików Polaków na Litwie (przewodniczący Władysław Mackiewicz) organizuje pielgrzymki do Częstochowy i do Rzymu, zajmuje się też działalnością charytatywną. Przy kościele parafialnym św. Ducha w Wilnie (proboszcz ks. Jan Kasiukiewicz) istnieje Klub Młodzieży Katolickiej.

Stowarzyszenie Dobroczynności (prezes Zbigniew Maciejewski) zajmuje się pomocą materialną dla ubogich, samotnych, kalekich i starych ludzi.

Stowarzyszenie Medyków Polaków na Litwie (prezes Bronisława Siwicka) zorganizowało grupy polskie w Średniej Szkole Medycznej, gdzie kształcą się pielęgniarki i położne. Stowarzyszenie Medyków organizuje tzw. „białe soboty”, kiedy to lekarze-Polacy w różnych miejscowościach Wileńszczyzny nieodpłatnie przyjmują chorych, udzielają porad, rozdają potrzebne lekarstwa.

Stowarzyszenie Kobiet Polek na Litwie, którego prezeską jest Apolonia Skakowska, zajmuje się działalnością wśród kobiet.

Przy Litewskim Związku Więźniów Politycznych i Zesłańców działa Sekcja Polska, której przewodniczy Romuald Gieczewski. Sekcja udziela pomocy byłym więźniom Łukiszek, łagrów sowieckich i zesłańcom politycznym. Tych na Wileńszczyźnie nie brakuje. Jak zdołałem się dowiedzieć, Romuald Gieczewski bardzo dobrze współpracuje z kolegami Litwinami. Jego działalność może być wzorem dla innych działaczy polskich na Litwie.

Niedawno powstała w Wilnie Wspólnota Inwalidów Polaków na Litwie „LitPolinwa”. Towarzystwo to opiekuje się też osobami niepełnosprawnymi.

Dokończenie nastąpi

Mieczysław JACKIEWICZ

Wiersze

Stanisław DŁUSKI

WACŁAWA IWANIUKA STRONY ŚWIATA

Na białych stronach świata
gorzkie słowa jak czarne ptaki
krążą nad obolałym sercem,
chorym na tęsknotę do
fiolków i lip z Chełmszczyzny,
do bezdomnych psów z ulicy
dobrej jak Ojcie nasz, do
ciszy wschodzącej w ogrodzie
Norwida. Gdzie mieszka prawda?
Pytanie niczym obsesja
nawiedza strony świata,
jak niespokojna gwiazda,
która prowadzi w tej wędrówce
na kresy wyobraźni. Słowo
jest ojczyzną poety,
jego przestrzenie pełne
śmierci, zapachów traw
i snów, tajemnic ludzkich
twarzy, niedopłakanych
listów i Gór Skalistych
wieczności. W słowie powracają
zmarli, śpiewają syreny znad
Montevideo, kwitnie Polska,
kłócą się paryskie przekupki
i Czapski schodzi po tęczę
do galerii w Laffitte.
Piękno przewycięża ciemności.

Rzeszów, 11.10.94 r.

(wiersz inspirowany nowym tomem Iwaniuka „Moje strony świata”)

Stanisław DŁUSKI

Zbigniew DOMINIAK

NA DZIAŁCE (II)

Wczorajszej dusznej nocy przyszedł ojciec
Usiadł na skraju łóżka tuż przy śpiącej matce
I coś jej długo opowiadał Obiecywał Namawiał
A każde słowo – nowa kropla potu na jej twarzy

Dzisiaj ciemna chmura zwiastuje odmianę pogody
Wiatr rozpoczął rozkuwanie stężałego powietrza
Róża siedzi w domu i wgapia się w ekran Mamo
Zaraz go zabiją On ma tylko dwa życia przed sobą

Na ścianie lasu strugi deszczu zawieszają szary całun
Nie widać nieba za lasem A nad głowami muzyka konkretna
Wspomaga ognisty neon reklamujący błogą ciszę potem
Wystarczy tylko odczytać niepojęte znaki kreślone na górze

Nic złego stać się nam nie może Niebo nie jest groźne
Póki z ciemną chmurą nad nami łączą nas wysmukłe brzozy
Wie o tym matka Z niedotlenionym sercem krząta się w milczeniu
Jakby Bóg jej zawiązał na szyi słowo i miłość w bolesny węzeł

Na betonowej drodze rozbryzgują się białe widma grzybów
Potrzeba nocy aby jutro w lesie przyoblekły mięsiste ciała
Kurek borowików koźlarów... Wyszukane formy które robaki
Przeistoczą znów w bezkształtną materię i wtopią w poszycie

Nie zamierza szybko przestać – mówi żona która nie ufa naturze
Po chwili jednak chłód powietrza przywraca naszym płuciom oddech
Pierwsze z lasu wychodzą upadłe krzyże zielonej bramy A potem
Światło dnia Eteryzny motyl I śpiew czyżyka na suchej gałęzi

VIII 1993

Zbigniew DOMINIAK

Bułat OKUDŻAWA

MÓWI PAN OLBRYCHSKI

„Nie chcę mówić po rosyjsku,
Rosjanie wyrządzili Polsce dużo
krzywd...”

(karteczka z widowni)

„Nie język tu zawinił – tłumaczy pan Olbrychski –
w nim wszystko mieści się, pojemne ma granice:
mowa straganów, jej obierki i ogryzki,
sztubacki żart i wiecznych ksiąg stronice.

Po groszu dokładają profesje, stany, kasty...
Czy Moskwa, czy Warszawa – cóż warto są wyrzuty?
Nie język winowajcą – lecz stary duch lokajski –
moskiewski czy sarmacki – co przeżarł mózg zatruty.

Kiedy wrogości płomień fatalny rozgorzeje
i krwią nabiegnie oko, i mściwe grzmi orędzie,
cóż ma do tego język, co ludzkie zawarł dzieje,
i miłość, i nadzieję, co było i co będzie?”

Bułat OKUDŻAWA
przełożył Wiktor Woroszyński

Stanisław URBAŃSKI

BALLADA O LUSTRACH

smutne są moje lustra
śmieją się złośliwie
szydzą przy każdej okazji
śledzą podejrzliwie

moje lustra obdzierają z zalet
których nie mam
odstaniają starannie ukrywane myśli
i pośpiesznie zamykają drzwi
przed radością przedwczesną

mściwe są moje lustra
nie znają tajemnicy
niczego nie ukrywają
mają jedną twarz
na święto i dzień powszedni

w moich lustrach
spalam wszystkie cienie i chłody
by następny wschód słońca
był cieplejszy

Stanisław URBAŃSKI

Waldemar BORZESTOWSKI

Singer

Niczego już prawie nie pamiętam Izaaku, a przecież
przeczytałem niemal wszystko, powieść po powieści, opowia-
danie po opowiadaniu. Dlaczego Hadasza uciekła z domu ro-
dziców, co się stało z Cypkinem w Ameryce, gdzie Jochanan
i Miriam Liba. W mojej głowie pozostał lot Jaszy Mazura z
balkonu jak w głąb studni, śmierć Klary, którą z żoną
pożegnaliśmy czule. Starąłem się, ale niewiele więcej, mimo
tyłu dni spędzonych na Krochmalnej, zapomniałem. Czasami
we śnie Szosza wyciąga do mnie smukłą dłoń dziecka, a ja,
dzieckiem, biegnę za nią, bawimy się w berka. Żyjemy,
żyjemy – cieszą się nasze przedwojenne ranki. Na wieczność

unieśliśmy się wszyscy wysoko w górę, uciekliśmy, gdy było puk, puk i śmierć nasze dusze chciała pochwycić w chustę. Ranki z Biłgoraja, z Goraja, z Warszawy, są także pory roku, wiosna w Saskim Ogrodzie albo jesień w Alejach, wszystkie święta i mnóstwo, mnóstwo modlitw. – Ocaleliśmy – mogła nas do cadyka z Ger zawieźć podmiejska kolejka, były przecież kolejki i ogień na drogę w sercu malutkiego parowozu. Przyglądam się tobie, Ichoku, Ajzyku, Icku, gdy tam, na pięterku, stoisz, przez pręty balkonu wyglądasz na ulicę, mały, rudopejsy chasydek, ciekawski nad ciekawskimi, idę i patrzę, czasem puszczam oko, ja– ostrzący noże i nożyczki po podwórzach, reperujący garnki, ja– złodziej, ja– kupiec z dalekiej drogi, ja– szwaczka, praczka, albo ta, ta, o tam, chyba zebrząca starowinka. To Warszawa przecież, to Europa, tyle tutaj rozmaitych ludzi, oprócz ludzi ptaki, psy, koty, konie i karaluchy. Świat jest pełen życia. W snach domy poruszają się na wietrze niczym drzewa, nie skrzypią lecz szeleszczą, z bruku ulic podnosi się żydowska mowa, wiadomo, bruk kwadratowy jak hebrajskie litery. Gołębie, jak chasydzi w szabat, przepychają się po kęs chleba z ręki swojego rabiego cudotwórcy, wszędzie jest tak samo. Kohelet miał rację, wszystko jest cudownością, powtórzył to dwadzieścia cztery razy, a może powtórzył, ale co innego. Niczego już prawie nie pamiętam Izaaku, wystarczyło, że raz zasnąłem, a obudziłem się już w innym świecie, jak Choni Kóleczo, ten co prosił o deszcz. Pomyśleć, znów pada.

Świątynia

Nasza synagoga jest stara, tak stara jak świat. Ma strzeliste sklepienia sięgające wyżyn nieba. Las białych kolumn zimą pokrywa szron. Na posadzce ślady stóp omiata wiatr i deszcz splukuje. Stada gołębi pośród rusztowań poruszają skrzydłami, gubiąc szare pióra. Są stosy cegieł zamieniające się

w piach. W klepsydrze pokoi jest miejsce na wieczność. Ostatniego rabina nikt już nie pamięta, mówią, że odszedł, gdy odeszli zniechęceni robotnicy. W synagodze do dziś pozostał tylko Bóg. Gdzie jest? Mówią – wszędzie, ale nikt go nie widział. Na ścianach, wśród wyblakłych napisów i Dawidowych gwiazd, zapadłe w tynk, wtopione w barwę, żyją wciąż jeszcze spojrzenia umarłych, słowa modlitwy zagubione w pośpiechu. To święte miejsce, srebrna pajęczyna nocą, przy księżycu, błyszczy jak zjawy. Tallit delikatny, królewski, tutaj tkany, czuwa nad głowami wchodzących przypadkiem. Szema Izrael – szepcze mur do muru, aby nie zapomnieć, aby na nowo zapamiętać. Pojękują drzwi otwarte na oścież, dziś jedyny kantor naszej synagogi. W czerwcu wbiegają do środka myszy z pól na tysiącu nóżkach, wróbelki i szpaki wspólnie wystawiają minjan, a trawa przez posadzkę pcha się, oj, pcha, uparta jak dobry chasyd, każdą szparką. Będziemy stali na gołej ziemi, nie na kamieniu, gdy kiedyś wrócimy, wśród macierzanki i żółto kwitnących mleczy. Wieczorami zapachnie maciejka albo bez, zależnie od pory roku. Zimą przyjdziemy przytuleni do własnego serca, jesienią niesieni wiatrem albo z góry spadniemy jak kasztany, wiosną lotem jaskółki, nie mogąc się zatrzymać, latem niosąc słońce z targu na targ bez chęci sprzedania. Od ostatniego słowa naszej modlitwy zapalać będziemy księżyc.

Waldemar BORZESTOWSKI

Archiwum polityczne

Szczyt pobożnych życzeń

Helsingör, w którym znajduje się zamek Hamleta, leży zaledwie o pół godziny drogi od Kopenhagi, ale przedstawienie z udziałem 118 pretendentów do roli głównej odbywało się tym razem w dzisiejszej stolicy Danii. Mowa oczywiście o gigantycznym spektaklu, jakim była niedawna konferencja ONZ na temat walki z nędzą, bezrobociem i innymi plagami ludzkości. Do Kopenhagi nie przyjechał generał Aidid z Somalii, był natomiast Fidel Castro, nie było generała Mengistu z Etiopii (który odszedł na przymusowy wypoczynek), był jednak premier Kenii Daniel Arap Moi. Premier Indii, Narasimha Rao zgadzał się całkowicie z panią prezydent Nikaragui, że nędzę trzeba zwalczać. Pan Rao doszedł do wiekopomnego wniosku, że „dopiero teraz, w końcu naszego stulecia, światowi przywódcy zaczęli się zastanawiać nad tym jak współżyć, a nie nad tym jak zabijać”. Przywódca społeczeństwa mogącego się pochwalić największą ilością nędzarzy na świecie pił zapewne do tego, że teraz, kiedy skończyła się zimna wojna i wyścig zbrojeń, kraje zamożne powinny wyłożyć zaoszczędzone pieniądze na stół. Stanowcze żądania zwiększenia finansowego wysiłku ze strony krajów zamożnych powtarzały się w Kopenhadze często i stanowczo, przeplatając się z równie stanowczymi stwierdzeniami, że pomocy nie powinny towarzyszyć żadne warunki. O tym, że za nędzę odpowiedzialne są głównie narodowe elity, nikt właściwie nie wspominał. Jedni mężowie stanu przypominali grzechy kolonializmu, inni grzmieli przeciw bezlitosnemu kapitalizmowi, jeszcze inni winili sąsiadów. O zjawiskach takich jak korupcja i nepotyzm elit politycznych mówiono mało i wstydliwie, bo ostatecznie było to spotkanie towarzyskie, a nie trybunał.

Ta konferencja nie mogła odpowiedzieć na pytanie

dlaczego miliardy dolarów pomocy krajom zacofanym, sumy wielokrotnie przekraczające finansowe zaplecze Planu Marshalla, w efekcie przyniosły więcej szkody niż pożytku? Zadłużenie krajów rozwijających się przedstawiane było i jest jako jeden z głównych dylematów współczesności i oczywiście winą za to zadłużenie obarczano Zachód. Zachód nie powinien był pożyczać politykom odsuniętym już od władzy, natomiast ma obowiązek udzielić dużych i dogodnych kredytów politykom dzisiejszym.

Jeśli idzie o polityków zachodnich, to po pięćdziesięciu latach doświadczeń wydają się być przekonani, że wszystkie metody pomocy zawiodły, ale że coś powinno być zrobione, chociaż tak naprawdę nie wiadomo co by można było zrobić. W tej sytuacji konferencja zakończyła się deklaracją, z której wynika, że trzeba koniecznie zwiększyć nakłady na kształcenie dziewczynek oraz, że warto pieniądze przekazywać raczej przez organizacje pozarządowe niż rządowe.

Czytając literaturę piękną, publicystykę i raporty opisujące sytuację w krajach Trzeciego Świata odnosi się wrażenie, że mamy do czynienia z mechanizmami składającymi się z niezliczonej ilości idealnie zalegających się błędnych kół. Czy oznacza to, że walka z nędzą skazana jest na niepowodzenie? Czy rzeczywiście ostatnie pół wieku przyniosło w tym zakresie wyłącznie klęski? Zakładając, że nędzę łączyć będziemy z chronicznym niedożywieniem, w liczbach bezwzględnych ilość ludzi żyjących w nędzy wzrosła. Zmieniły się proporcje, we współczesnym świecie radykalnie wzrosła również ilość ludzi żyjących w dostatku. Po części zmieniła się geografia obszarów nędzy. Historia tych zmian wydaje się być dzisiaj bardziej interesująca niż kiedykolwiek, z tego chociażby względu, że wiele krajów podejmuje kolejny wysiłek reform i ponownego startu.

W maju 1943 roku przedstawiciele krajów alianckich z inicjatywy Stanów Zjednoczonych zebrał się na międzynarodowej konferencji w sprawie produkcji i handlu żywnością po zakończeniu wojny. Wyrównanie poziomu produkcji żywności – twierdzili organizatorzy tej konferencji – jest warunkiem koniecznym dla zapewnienia pokoju na świecie. Otwierając tę konferencję prezydent Roosevelt powiedział: „Narody Zjednoczone są połączone w wojnie przeciw niepewności i niedostatkowi. Ta jedność jest równie skuteczna jak jedność na polach bitewnych w tej światowej wojnie o wolność”.

Trudno powiedzieć na ile konsekwencją ówczesnych postaw polityków amerykańskich był późniejszy Plan Marshalla dla Europy Zachodniej, ale z pewnością naszkicowany w Hot Springs plan działania w kilka lat później zrealizowany został dokładnie przez amerykańskie władze okupacyjne w Japonii. Władze amerykańskie narzuciły przeprowadzenie reformy rolnej, a w szczególności uwłaszczenie najmniej zarabiających chłopów-dzierżawców, wymusiły legalizację związków zawodowych, wymuszając tym samym wzrost płac w opartym na głodowych wynagrodzeniach za pracę przemyśle wiejskim, narzuciły zmiany prawne ograniczające najbardziej barbarzyńskie formy wyzysku. Japońscy autorzy tacy jak Shintaro Ishihara czy Akio Morita uważają, że reformy te były kamieniem węgielnym japońskiego sukcesu.

„Uważamy nędzę za jeszcze jedną tyranie, tyranie której musimy wypowiedzieć moralny odpowiednik wojny” – mówił w Kopenhadze prezydent Fidel Ramos z Filipin. Shintaro Ishihara przytacza w swojej książce rozmowę, jaką odbył kilka lat temu z ówczesnym przewodniczącym podkomisji amerykańskiego Kongresu do spraw rozwoju państw azjatyckich – Stefanem Solarzem. Solarz wystąpił wówczas z propozycją wspólnej, amerykańsko-japońskiej akcji pomocy Filipinom.

Rząd poprzedniczki prezydenta Ramosa, pani Aquino, zwrócił się do Waszyngtonu z prośbą o pomoc, między innymi na sfinansowanie reformy rolnej, czyli na kompensaty dla właścicieli ziemskich. Stefan Solarz zaproponował, aby Waszyngton i Tokio podzieliły się ciężarem tej pomocy. Ishihara w tym miejscu pisze:

„Kiepski żart. (Rozbrajają mnie wręcz ludzie chcący zasypywać pieniądze kraj, w którym istnieją takie dysproporcje biedy i bogactwa i w którym najniższe warstwy urzędników są dziś równie skorumpowane jak były za czasów Marcosa). Tylko ludzie nie mający pojęcia o sytuacji na Filipinach mogą sądzić, że dawanie pieniędzy rządowi w Manili może cokolwiek zmienić w tym kraju. Solarz najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy z tego, gdzie te pieniądze wylądują. Filipińczycy muszą najpierw rozwiązać swoje problemy społeczne. Dawanie im pieniędzy niczego nie zmieni”.

Ishihara uważa, że takie reformy musi się rozpocząć od wskazania warstwy okradającej społeczeństwo. Bez reformy rolnej – stwierdza – takiej, jaką Japonia przeprowadziła po zakończeniu II wojny światowej, desperacja wiejskiej ludności będzie motorem nieustających niepokojów.

W Kopenhadze politykiem, którego wystąpienie w zasadniczy sposób różniło się od innych wystąpień, nie był bynajmniej Fidel Castro, ale premier Malezji, Mahathir Bin Mohammed. Pan Mohammed wystąpił z ostrym zarzutem, że kraje rozwinięte traktują rozwój państw południowo-wschodniej Azji jako zagrożenie. Twierdził on, że kraje tego regionu uniknęły oczywistych błędów Zachodu. Twierdził, że kraje zachodnie próbują zmusić państwa rozwijające się do przyjęcia własnych koncepcji ekonomicznych i społecznych. „Mimo słabości kapitalizmu i wolnego rynku – mówił Mahathir Mohammed – dopuszcza się tylko jeden, zachodni model”.

Można się zastanawiać, czy był to tylko wybryk, czy może opinia podzielana przez całą grupę państw? Co właściwie oznaczało to wystąpienie? Azjatyckie tygrysy i tygrysiątka nie prosiły w Kopenhadze o pieniądze na walkę z nędzą w swoich krajach. Dziennikarze zwracali uwagę na dwustronne spotkanie, na ich inicjatywy i odmienny ton ich wystąpień. Nie zwrócono natomiast uwagi na fakt, który w kontekście dyskusowania o problemach nędzy jest dość istotny – przez dziesięciolecia przyzwyczajeni byliśmy do tego, że istnieje bogaty świat kapitalistyczny, konkurujący z nim świat komunistyczny, który choć nie zdołał osiągnąć dobrobytu, ale uporał się jednak z nędzą, i tonący w ubóstwie Trzeci Świat. W miarę jak świat komunistyczny tracił pole i upodabniał się do Trzeciego Świata, jego miejsce jako konkurent Zachodu zajmował Daleki Wschód. Moskwa już dawno przestała być stolicą Drugiego Świata i dziś kiedy ktoś pyta, czy Polska może być tygrysem Europy, wszyscy doskonale rozumieją o co chodzi – a więc przejście do grupy państw zdolnych do skutecznej konkurencji handlowej na międzynarodowych rynkach.

Jeśli Daleki Wschód jest współczesnym Drugim Światem pojawia się zasadne pytanie, czym się on właściwie różni od Pierwszego? Zadając to pytanie na marginesie spotkania w Kopenhadze i w odniesieniu do wystąpienia polityka z Malezji, wydaje się, że mamy tu do czynienia z konkurencją między tzw. trzecią a czwartą drogą. Zachód uporał się z

nędzą w swoich krajach decydując się na solidaryzm, na rozbudowę systemu świadczeń społecznych i stworzenie państwa dobrobytu. Nie ulega wątpliwości, że droga ta była przez dziesięciolecia skuteczna, ale dawno już przekroczyła granice racjonalności. Ani thatcheryzm w Wielkiej Brytanii ani polityka prezydenta Reagana nie zdołały zawrócić Zachodu z owej trzeciej drogi. W Stanach Zjednoczonych a nawet w Wielkiej Brytanii nie jest ona oczywiście tak daleko posunięta jak w modelu skandynawskim, ale wystarczająco mocna, aby państwo musiało nieustannie więcej płacić, aniżeli może ściągnąć w formie podatków. Od wielu lat gospodarkę krajów zachodnich charakteryzuje chroniczny deficyt budżetowy, któremu w przypadku Stanów Zjednoczonych towarzyszył ujemny bilans w handlu zagranicznym. Deficyt budżetowy jest efektem nazbyt rozbudowanego i źle funkcjonującego państwa opiekuńczego, deficyt w handlu zagranicznym spowodowany był głównie przez konkurencję azjatycką.

Czy istnieje coś co moglibyśmy nazwać modelem daleko-wschodnim lub czwartą drogą? Wszystkie te kraje postawiły na politykę tworzenia miejsc pracy i pełnego zatrudnienia. W dążeniu do tego celu we wszystkich krajach tego regionu szczególną rolę pełni polityka rolna i stawka na miniaturowe gospodarstwo rolne. Polityce pełnego zatrudnienia towarzyszy założenie, że państwo dostarcza tylko minimum świadczeń socjalnych, główny ciężar kosztów opieki społecznej przeniesiony jest na rodzinę i zakład pracy. (Inną wspólną cechą polityki w tych krajach jest drastyczna polityka populacyjna). W wydatkach z budżetu państwa absolutnym priorytetem jest oświata.

Wszyscy zgodnie zwracają uwagę na niebywałą prężność i skuteczność reform w tamtym regionie. Przyczyn sukcesów specjaliści dopatrują się w stawce na rozwój przemysłu eksportowego, w pracowitości społeczeństw tych krajów, w taniej sile roboczej. (Mało kto analizuje sposoby, przy pomocy których kraje te uniknęły pułapki trzeciej drogi). W rozwoju tych krajów do dziś niemałą rolę odgrywa piractwo techniczne, czyli nagminna kradzież zachodnich patentów. Wielu zwraca uwagę na fakt, że demokratyczne instytucje nie są mocną stroną tego regionu. Reformy przeprowadzane były pod osłoną dyktatur i towarzyszył im terror wobec opozycji. Pan Mohammed ma rację – Zachód często ma powody do tego, aby zwracać uwagę na łamanie praw człowieka w tych krajach. Wydaje się mieć również rację stwierdzając, że

ochrona środowiska i prawa człowieka mogą być w pewnych sytuacjach wybiegiem pozwalającym na dobranie się do skóry nazbyt skutecznej konkurencji. Jeżeli Stany Zjednoczone przymykają oczy na jaskrawe przypadki łamania praw człowieka w sąsiednim Meksyku i stanowczo reagują na analogiczne przypadki w krajach, z którymi mają ujemny bilans handlowy, wniosek o instrumentalnym traktowaniu tych praw narzuca się sam. W Kopenhadze aluzje do tego instrumentalnego traktowania praw człowieka i problemów ochrony środowiska powtarzały się kilkakrotnie, nikt inny nie powiedział tego jednak tak brutalnie jak pan Mohammed.

Obsługujący konferencję dziennikarze w swoich doniesieniach serwowali przede wszystkim górnolotne frazesy i ogólnie słuszne postulaty. Gdyby nie wyczuwalne napięcie w stosunkach między przedstawicielami Pierwszego i Drugiego Świata, można by powiedzieć, że spotkanie w Kopenhadze było udanym koncertem pobożnych życzeń, który jednak jako zbiórka na cele dobroczynne przyniósł rezultaty więcej niż skromne, zaś jako próba analizy skuteczności metod walki z nędzą okazał się wyłącznie mydleniem oczu. Tymczasem rzeczywista walka z nędzą wymaga w pierwszym rzędzie przede wszystkim analizy. O rozmiarach nędzy w świecie wiemy całkiem sporo, o metodach walki z nędzą mówi się z reguły w oderwaniu od nagromadzonych już doświadczeń.

Andrzej KORASZEWSKI

Gaz a sprawa polska

Gaz naturalny określić można jako jeden z czynników umiarkowanego optymizmu na planecie. Jeszcze do końca II wojny uchodził on za uboczny, bezwartościowy produkt złóż roponośnych, a do tego zlokalizowany głównie w Ameryce Północnej. Postęp techniczny w transporcie morskim i gazociagowym wraz z odkryciem nowych, często niezależnych od ropy złóż w Kanadzie, Meksyku, Rumunii, Francji, Wło-

szech, Austrii, Holandii, na Morzu Północnym, w Niemczech, w Związku Sowieckim, Algierii i kilku innych krajach afrykańskich, na Bliskim Wschodzie, w Malezji, Tajlandii, Chinach, Argentynie, Wenezueli i Boliwii wywołały nowe więzi pomiędzy krajami uprzemysłowionymi i surowcowymi, przyczyniając się zarazem do racjonalizacji spożycia energii.

Podkreślić należy inspirującą rolę gazu w równoważeniu gospodarki światowej: obfite wydobywanie w krajach uprzemysłowionych rozwija tam infrastrukturę spożycia, która przeżyć może własne zasoby surowca, na dłuższą metę uzależniając Zachód od dostaw z krajów ubogich. Jak wykazemy na przykładzie Rosji, prowadzi to do delikatnej sytuacji po obu stronach bariery dobrobytu, której dwuznaczność może stać się źródłem długotrwałych konfliktów, jeśli kontrakty gazowe nie staną się nośnikiem stosunków gospodarczych o szerszym zasięgu.

Sytuacja gazu na świecie

Ocenia się, że zapasy gazu ziemnego starczą na dłużej, niż ropa. Ponad połowa rozpoznanych rezerw znajduje się w Rosji, ale reszta rozłożona jest w sposób równomierny w skali planety, co zapewnia temu surowcowi skuteczną rolę w różnicowaniu energetycznym i geopolitycznym. Pod względem technicznym, politycznym i kulturowym gaz znalazł się dziś w centrum projektów energetycznych na globalną skalę.

Według oceny amerykańskiego biura DRI/McGraw Hill, jego zużycie na świecie wzrośnie w ciągu najbliższych 20 lat, notując największy przyrost wśród wszystkich nośników energii. W tym okresie udział gazu w europejskiej produkcji elektryczności wzrośnie trzykrotnie – z 7% na 20% – przy wyraźnym spadku ropy (z 10% na 6%) i węgla (z 31% na 29%). Dzisiaj gaz zapewnia już jedną czwartą światowego zapotrzebowania na energię. Główna jego rola to produkcja elektryczności i grzejnictwo. Na przekór ocenie niektórych polskich specjalistów¹, spożywcza koniunktura gazowa oparta

1. „(Gaz) jest również bardzo poszukiwanym paliwem dla elektrowni, chociaż tutaj jego zużycie należy maksymalnie ograniczyć” – Jan Danielewski w *Eurazji* nr 3-4, 1994.

jest o szybki rozwój elektrociepłowni o cyklu kombinowanym, gdzie gaz wykorzystuje się najpierw do wytworzenia prądu, a potem do grzania, co pozwala na racjonalne wykorzystanie jego wysokiej sprawności termicznej.

Spalanie gazu odbywa się z mniejszym zanieczyszczeniem atmosfery niż węgla i ropy, ponadto jest on łatwy w transporcie i stabilny w użyciu. Zapotrzebowanie nań rośnie i rozwijają się nowe formy użytkowania: coraz większa jest jego rola w wielkich syntezach chemicznych, Amerykanie i Włosi (Bugatti) intensywnie pracują nad wydajnym samochodem na gaz, a w Europie klimatyzacja i oświetlenie znajdują licznych zwolenników. Odesłane przedwcześnie do muzeum lampy gazowe w nowej, bezpiecznej i wydajnej wersji świecą już na nowo w pałacu Buckingham i francuskim Chantilly, parlamencie brytyjskim, centrum Berlina, Florencji, Strasburga i Grenoble. W Czechach plan „Praga-miasto czyste” zmierza do zastąpienia gazem węgla zarówno przez użytkowników indywidualnych, jak przemysł. Kto zimowym zmierzchem widział kłęby dymu węglowego nad dachami krakowskiego Starego Miasta, ten łatwo oceni konieczność przedstawienia polskiego systemu ogrzewczego: plan zamiany węgla na gaz w 52 naszych miastach został już zatwierdzony i otrzymał obietnicę finansowania przez Bank Światowy i fundusz środowiskowy ONZ. Zauważmy tutaj atrakcyjną możliwość gazowego oświetlenia Rynku Krakowskiego, który po gruntownej przebudowie odzyskać ma swój dawny wystrój; tym niemniej w Krakowie myśli się o utrzymaniu światła elektrycznego.

O ile aspekty środowiskowe, geopolityczne i techniczne gazu napawają optymizmem, to strona rynkowa przyciemnia nieco ten obraz. Problem polega tu na zapewnieniu rentowności kolosalnych inwestycji gazowych wobec konkurencji taniej ropy i łatwo dostępnego węgla, które obniżają cenę gazu.

Podaż taniego węgla powinna utrzymać się przez wiele lat, ponieważ w ostrej walce zaangażowane są bogate złoża amerykańskie, australijskie i południowoafrykańskie. Cena sprowadzanego przez oceany węgla jest w europejskich składach dwukrotnie niższa, niż surowca lokalnego, co stopniowo wykańcza przemysł węglowy na starym kontynencie. Jeszcze bardziej napięta jest sytuacja ropy, której cena lokuje się

niemal na poziomie sprzed dwudziestu lat, tyle że wówczas to były zupełnie inne dolary. Dalszej obniżki ceny ropy oczekiwać można w chwili, gdy zostanie cofnięte embargo Iraku. W tej sytuacji inwestorzy przemysłu gazowego stawiają na dwa pewniki: z jednej strony postęp techniczny, który w ostatnim dwudziestolecu obniżył koszty instalacji i transportu w rytmie mniej więcej jednego procentu na rok², a z drugiej – koncentrowanie się na stabilnych rynkach. Stąd oczywiście parcie Gazpromu na Zachód Europy. W związku z tym położenie naszego kraju – na najbliższej drodze do Niemiec – wyrosło do rangi strategicznego atutu. Integrująca regiony technologia gazu rozwija przy tym psychologiczny impuls współpracy najbardziej nawet skłóconych sąsiadów.

W istocie ruch inwestycyjny w Europie Zachodniej, która nie cierpi przecież na brak połączeń rurowych, jest intensywny, jak nigdy. Obok studiowanych projektów gazociągów z Kataru do Włoch, z Norwegii do Francji i z Austrii do Węgier zatwierdzono już nowe magistrale gazowe z Wielkiej Brytanii do Belgii, z Norwegii do Niemiec, z Rosji do Niemiec przez Polskę, z Algierii i Maroka do Hiszpanii i Portugalii, z Turkmenistanu do Europy przez Iran i z bułgarskiego terminalu gazociągu rosyjskiego do Grecji. W Europie Środkowej kraje wyszehradzkie podłączają się do europejskiej sieci w latach 1997-98, a wkrótce potem przyjdzie kolej na Rumunię, Bułgarię i Turcję.

Wszystkie te połączenia gotowe będą przed końcem stulecia, co w szczególności stanowić powinno szansę energetycznego bezpieczeństwa dla naszego kraju: gazociąg rosyjski tylko wówczas będzie strategicznie pewną inwestycją, jeśli towarzyszyć mu będą również inne połączenia, realizacji których sprzyja rozwinięta już sieć w naszym sąsiedztwie. Chodzi tu nie tylko o aspekt polityczny, ale i rynkowy, deregulacja bowiem zachodnich dostaw, sygnalizowana już przez Brytyjczyków, może obniżyć cenę gazu i wówczas bez dostępu do konkurencyjnego źródła trudno będzie domagać się tańszych dostaw z Rosji. Nie ma przy tym obawy o nasycenie krajowego rynku w wypadku przystąpienia do

2. *Revue de l'Energie*, październik 1994.

innych połączeń, nawet jeśli węgiel pozostanie u nas głównym paliwem gospodarki; zauważmy przy tym, że wysoka cena polskiego węgla silnie ograniczy jego wydobycie. Dla porównania podajmy gęstość sieci gazowej w Niemczech, gdzie obok już dostępnych terminali z Danii, Holandii, Norwegii i z pól własnych otwiera się budowę dwóch nowych połączeń. Francja, która pod względem udziału w produkcji narodowej dysponuje najsilniej w świecie rozwiniętym parkiem elektrowni atomowych, uzupełnia swe spożycie gazem sprowadzanym z Wielkiej Brytanii, Algierii, Holandii, Norwegii i Rosji. Węgry, uzależnione od Rosji w 50% swego spożycia energetycznego, już w 1992 roku zdecydowały zbudować gazociąg prowadzący na Zachód, podobny cel mają Czesi, rozwijając współpracę z *Gaz de France*.

Sytuacja rosyjskiego gazu

Surowce energetyczne pełnią szczególną rolę w bieżących rachunkach Kremla, co staje się bardziej zrozumiałe, gdy wziąć pod uwagę stan rządowej kasy. W ubiegłym roku bilans handlowy Rosji okazał się silnie dodatni, jej eksport przewyższył import o 20 miliardów dolarów, to jest o 13% więcej, niż w roku poprzednim. Informacja ta, pozornie korzystna, wyraża cały dramat gospodarczego niedowładu imperium. Jeśli Rosjanie od kilku już lat utrzymują dodatni bilans handlowy to czynią to z nożem na gardle, ponieważ eksport dostarcza trzon wpływów budżetowych, ciężko poszkodowanych brakiem innych źródeł. Głównie chodzi tu o niesprawny system podatkowy: w Rosji nie płacą indywidualni odbiorcy, ponieważ zarabiają głodowe stawki, nie płacą także przedsiębiorcy, często wykorzystujący luki prawne i administracyjne w systemie podatkowym, a wreszcie całe prowincje nie odprowadzają pieniędzy do centrali, ponieważ jej słabość zapewnia im realną autonomię gospodarczą. Za dziewięć pierwszych miesięcy 1994 roku państwo zainkasowało tylko 39% przewidzianych dochodów³.

3. *Les Echos*, 10/11 luty 1995.

Rosyjska nadwyżka handlowa oznacza w gruncie rzeczy rezygnację z koniecznych inwestycji importowych. Jest to sytuacja zamkniętego koła, ponieważ brak pieniędzy na unowocześnienie środków wytwarzania utrwała niekorzystną strukturę eksportu, gdzie głównych dochodów dostarcza sprzedaż surowców, przede wszystkim ropy i gazu – przy czym czterdziestu ośmiu miliardom dolarów ubiegłorocznej sprzedaży poza strefą Wspólnoty Niepodległych Państw odpowiada zaledwie 8 miliardów w obrębie Wspólnoty. Nic więc dziwnego, że Moskwa niechętnie przystępuje do pełnej liberalizacji handlu energetycznego, z czego Międzynarodowy Fundusz Walutowy uczynił jeden z warunków przyznania zapomogi. 6 lutego br. MFW odsunął w nieokreśloną przyszłość realizację obiecanego kredytu w wysokości 6 miliardów dolarów; dla potrzeb środków przekazu sformułowano wówczas troskę o Czeczenów, lecz w istocie chodziło o przestrożę pod adresem Moskwy wahającej się przed uwolnieniem wspomnianego handlu, rozważającej kontrolę Banku Centralnego nad inwestycjami zagranicznymi i nieskorej do przyspieszenia prywatyzacji.

Tymczasem owe niemile w MFW widziane tendencje rosyjskiej polityki gospodarczej noszą wszelkie znamiona narodowej racji stanu. W ostatnich latach sprywatyzowano 15 tysięcy firm⁴ i wysokie koszty społeczne prywatyzacyjnej gorączki niekoniecznie nakłaniają do przyspieszenia procesu. Również wartość inwestycji zagranicznych dla Rosji bywa dwuznaczna: jak już pisaliśmy w numerze październikowym ub. roku strategia zagranicznych firm niejednokrotnie zmierza przede wszystkim do ochrony interesów światowych giełd surowcowych, których wskaźniki okazują się wrażliwe na wahania podaży z Rosji. Powściągliwość prywatyzacyjna Moskwy świadczyłaby o pewnej rozwadze polityków także z tego powodu, że sprzedaż przedsiębiorstw stanowi źródło doraźnych dochodów znajdującego się w opałach skarbu,

4. Na 25 tys. państwowych na początku przemian. Wg *Problèmes économiques* z 1 lutego 1995 jest to liczbowo jeden z najwyższych wskaźników wśród krajów byłego obozu; dla porównania to samo źródło podaje, że w Polsce było 8200 przedsiębiorstw, z czego sprywatyzowano 2098. Liczby te należy oceniać z zastrzeżeniem, ponieważ prywatyzacji towarzyszy niekiedy podział firm na kilka mniejszych.

stanowiąc silną pokusę niefrasobliwej polityki krótkoterminowego zysku. Wreszcie zachodni nacisk na uwolnienie handlu energetycznego osiągnął dopuszczalne granice, jeśli zważyć, że – według ministra stosunków z zagranicą Dawidowa⁵ – rząd kontroluje już tylko 8% ogółu eksportu.

Kwestia ideologiczna

Gazowy kontrakt polsko-rosyjski jest okazją do zrozumienia różnic ideologicznych pomiędzy oboma partnerami. Polska formacja ideologii rynkowej bierze przykład z doświadczeń amerykańskich, w stosunku do których politycy rosyjscy ze swej strony wykazują umiarkowaną uległość. Manifestują oni pełne zrozumienie wolnorynkowych zasad przede wszystkim na etapie negocjowania kredytów z MFW, w gruncie rzeczy jednak pozostają zwolennikami typowej dla kultury rosyjskiej koncepcji „trzeciej drogi”. Można w tym widzieć ideologiczny upór społeczeństwa, które „musi” po swojemu; czyż jednak po drugiej stronie nie mamy niekiedy z tym samym do czynienia?

W rzeczywistości przemysł gazowy jest wyjątkowo podatny na wpływ lokalnych czynników geograficznych, geologicznych, historycznych i społecznych, uykając nadrzednemu porządkowi uniwersalnej ideologii. Uwidocznili to przebieg obrad światowego kongresu w Mediolanie w ubiegłym roku, gdzie w odpowiedzi na ryzyko inwestycji gazowych sformułowano dwa modele organizacji wysiłku inwestycyjnego: deregulacja typu amerykańskiego czy brytyjskiego, albo podział ryzyka pomiędzy producentów i konsumentów według specyfiki zainteresowanego obszaru geograficznego.

Liberalizm amerykański oparty jest – jak zwykle – o wyjątkowo korzystne warunki, określone przez samowystarczalność surowcową i finansową. Wolna gra rynkowa pomiędzy licznymi tam gazownikami prowadzi do obniżenia

5. *Les Echos*, 10/11 luty 1995. Dodajmy jednak, że do końca 1995 roku utrzymana ma być pośrednia kontrola rynku poprzez system licencji eksportowych.

cen i podnosi jakość obsługi. Specyfika Eurazji jest inna: złoża dalekie od spoźywców, niewielka ilość producentów, rozczłonkowanie polityczne obszaru i głębokie różnice w rozwoju gospodarczym narzucają konieczność współpracy biorącej pod uwagę odległe horyzonty geograficzne i czasowe, co z trudnością poddaje się regułom gry rynkowej w klasycznym tego słowa znaczeniu. W tych warunkach podatność Polaków na zasady liberalne nie znajduje pełnego zrozumienia u polityków rosyjskich, których projekty sięgają poza doraźną perspektywę realnego rynku. Stąd też niepokój o to, że „Moskwa ustępuje Zachodowi w Polsce”⁶. Szybki marsz Polski do gospodarki rynkowej jeszcze bardziej izoluje ociężałego olbrzyma, który przy całej swej niewydolności zdaje się nie tracić z oczu nieco innego zespołu zasad. Opasłe polityczne *dossier* gazowe dobrze wykazuje tę specyfikę.

O ile w przypadku Ukrainy chodzi tu o polityczny imperatyw utrzymania dostaw pomimo bankructwa odbiorcy, to w Polsce interesuje Rosjan wpuszczenie gazociągiem innych produktów w systemie sprzedaży wiązanej, by w ten sposób rozwinąć przyczółki więzi gospodarczej, a w miarę możliwości także wojskowej i politycznej. Jest to przejawem rozległej gry strategicznej, w której stawkę stanowi alternatywnie rysująca się geopolityczna rola Rosji: albo renta surowcowa i anachroniczna mocarstwowość, albo udział w międzynarodowym podziale pracy i... także mocarstwowość.

Surowce są jedynym sektorem rosyjskiej gospodarki, który wydziela regularne dochody i przyciąga fundusze, reszta gospodarki próbuje się dostosować do nowych czasów niemal bez dopływu środków. Kapitałnym problemem Rosjan jest w tych warunkach uniknięcie syndromu renty surowcowej, to jest życia wyłącznie z naturalnie zgromadzonych zasobów, co już boleśnie przećwiczili przez okres komunizmu. Stąd w szczególności ich uporczywe zabiegi o łączenie kontraktu gazowego z innymi porozumieniami, także o charakterze wojskowym, zważywszy potencjał odziedziczony w tej dziedzinie.

Jeśli marsz Rosji ku nowoczesności zakończy się niepowodzeniem, wówczas jej surowcowa rola dostarczyć może

6. „Budiet gaz...” – *Kommiersant Daily* 28.01.1995.

pożywki dla anachronicznej ideologii mocarstwowej: obraz Rosji pompującej życiodajne materiały w przesyciony spożyciem Zachód byłby wówczas nośnikiem nowej wersji wschodniego mesjanizmu. Ujemna strona scenariusza, w którym Rosja pozostaje wyłącznie dostawcą surowców, polegałaby na wzmocnieniu elementów nieracjonalnych w rosyjskiej polityce i świadomości społecznej, zawsze wrażliwych na sygnały okrażenia i wykluczenia. Ten irracjonalizm przejawiałby się raczej w stosunku do najbliższych sąsiadów, niż wobec Europy Zachodniej, która ze swych oddalonych granic raczej ma interes w utrzymywaniu surowcowego charakteru gospodarki rosyjskiej. Związana z tym możliwość szantażu surowcowego wydaje się jednak bardzo hipotetyczna, nawet przy stopniowym wyczerpywaniu się znanych dziś w świecie zasobów.

Epilog, punkt wyjścia

Ostatecznie rządy Polski i Rosji podpisały porozumienia w sprawie gazociągu i w kilku innych dziedzinach, natomiast umowa wojskowa nadal pozostaje w sferze negocjacji. Nie wiele wiadomo czego te negocjacje dotyczą, zresztą po wizycie Czernomyrdina nie poinformowano także o szczegółach podpisanych już kontraktów, zasłaniając się brakiem czasu na przepisanie.

Wszelako kilka dni później rząd polski zarzucił ten kamuflaż, nie kryjąc, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych przetrzymuje informacje dla siebie. W tych warunkach normalny parlament powinien natychmiast przystąpić do interpelacji rządu, powołując jednocześnie komisję kontrolną, nawet jeśli MSZ raczy uchylić rąbka tajemnicy. Pytań rodzi się wiele, ponieważ to szczegóły zadecydują, czy operacja jest dla kraju korzystna. Jakie są realne zobowiązania obu stron? Czy interesy prywatne, zwłaszcza polityków, nie wpłynęły ujemnie na kształt porozumienia? Czy nasz przemysł rzeczywiście nie jest w stanie wytworzyć rur o średnicy 1400 mm, a jeśli tak, to czy kontrakt nie jest okazją do ubiegania się o odpowiednią technologię? Czy zapewniona jest synchronizacja techniczna dla realizacji gazociągu? Jaki jest na dłuższą

metę projekt technologiczny rządu w dziedzinie energetycznej, której dostawy rosyjskiego gazu stanowią logiczny składnik?

Historia gazowego kontraktu jest jednak przede wszystkim okazją do refleksji dla całego środowiska opinotwórczego, pospół dziennikarzy i polityków. Mieliśmy tu wszak do czynienia z charakterystycznym zakłóceniem polskiej demokracji: obwijanie przez rząd sprawy w bawełę przypisać można w pewnej mierze antyrosyjskiej histerii niektórych dziennikarzy, na co władza zareagowała taktyczną pogardą, chociaż sama przyczyniła się do nastrojów przez nieumiejętność, albo niechęć do informowania. Wszystko to na tle jednego z najważniejszych tematów współczesnej historii Polski, to jest stosunków z Rosją. Tutaj pytania może sobie postawić każdy z nas.

Robert KACZMAREK

KSIAŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

4, rue Frédéric Sauton 75005 Paris

Telefon (1) 40 51 76 40

Fax (1) 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Kraj

Prezydenci

Jeszcze w połowie marca ani jednego kandydata na prezydenta RP nie było; Wałęsa, który się zapowiedział już w ubiegłym roku, zamilkł, a ze służbówki belwederskiej dochodziły szept, że szef, być może, zrezygnuje. Inni liczyli szanse, naradzali się, targowali, ale nie wychodzili z domu. Pierwszy zerwał się do lotu naczelny felietonista Unii Polityki Realnej, Janusz Korwin-Mikke. Faktem, który przesądził o tej decyzji – rzecz warta opowiedzenia – była emisja „Linia Specjalna” z udziałem prezesa UPR. W programie tym widowie mogą dzwonić do komputera w studio, a ten rejestruje ich telefony jako głosy na „tak” lub „nie” dla gościa programu, zależnie od wykręconego numeru. Dotychczas komputer mógł przyjąć maksimum 10 tys. telefonów, co sprawiało – wobec zazwyczaj nadmiaru połączeń, że rejestrował mniej więcej tyle samo „tak” i „nie”. Akurat na spotkanie z Korwinem komputerowi podwojono wydolność, do 20 tys. połączeń. Jednocześnie UPR, partia zwarta, zdyscyplinowana i telefonizowana zasiadła do aparatów: w efekcie Janusz Korwin-Mikke dostał dwa i pół raza więcej głosów na „tak” niż na „nie”. Co prawda, wypadł zabawnie, a swoje ultraliberalne wyznanie wiary sprzedawał ze swadą, wobec której prowadząca redaktorka całkiem gubiła język w gębie. Ale od prostych Mikkego recept na podatki zgłupiałaby nawet sama pani Thatcher. UPR upewniła się za jednym zamachem, że ma wielkiego człowieka na kandydata i zdyscyplinowaną kadrę do prowadzenia kampanii.

Wkrótce potem zgłosił swą kandydaturę pierwszy prezes Sądu Najwyższego, Adam Strzembosz, poparty przez pięć

prawicowych partyjek: PC Jarosława Kaczyńskiego i cztery chusteczki do nosa. Będzie „kandydatem polskich rodzin”, co jest na prawicy całkiem zręcznym hasłem, adresowanym za jednym zamachem do Kościoła, związku Solidarność i rzeszy gospodyń domowych. Problemem kandydata Strzembosza jest najpierw pozyskanie innych formacji prawicowych i zablokowanie od tej strony przedsięwzięć Wałęsy. Nazajutrz po zgłoszeniu kandydatury Strzembosza, który udzielił sobie bezpłatnego urlopu w Sądzie, jego urzędujący zastępca wystąpił z wnioskiem o rewizję nadzwyczajną w sprawie Ryszarda Kuklińskiego. Wniosek nie mógł być oczywiście spisany z dnia na dzień, był więc przygotowywany równoległe z „kandydaturą”. Szkoda, bo pierwszy prezes Strzembosz urzęduje od pięciu bez mała lat i było dużo czasu. Przypomina się, że skrajna prawica, np. Jan Parys, odmówiła najpierw wsparcia kandydatury Strzembosza ze względu m.in. na brak inicjatywy w sprawie Kuklińskiego. Podobnie, sędzia Strzembosz zmienił nagle zdanie co do inwokacji do Boga w konstytucyjnej preambule: przed paru miesiącami uważał ją za zbędną, na co powołał się ZChN odmawiając mu poparcia, teraz więc kandydat Strzembosz jest za. Okazuje się, że nawet u bardzo skrupulatnych ludzi prawa, gorączka polityczna atakuje komórki smakowe.

Z kandydaturą Adama Strzembosza związane były po trosze losy kongresu wyborczego Unii Wolności. W przeddzień kandydackiego wystąpienia Strzembosza sztab Hanny Suchockiej błagał go, żeby zaczekał i nie niszczył szans pani premier, której jednym z głównych argumentów było, że potrafi pozyskać głosy prawicy. Gdyby Strzembosz dobrze rozeznał sytuację w Unii Wolności, mógł być spokojnie zadowolony: Hanna Suchocka nie miała w istocie żadnych szans, a zgłoszona po kongresie UW i nominacji Kuronia kandydatura Strzembosza byłaby aktem jednoczenia, nie zaś rozbijania prawicy. Ale Strzembosz mylił się najwidoczniej tak samo, jak Jan Maria Rokita – i wołał uprzedzić wydarzenia, aczkolwiek w odwrotnym sensie. O ile kandydatura Strzembosza na pewno nie zniszczyła szansy i tak nie istniejącej, o tyle niewykluczone, że odebrała Hannie Suchockiej trochę z głosów, których jej zabrakło do drugiego miejsca w pierwszej turze. Do drugiej przeszedł więc Janusz Onyszkiewicz, „czarny koń” wyborów w Unii Wolności po to, aby potem

przegrać z Jackiem Kuroniem „o końskie chrapy” (242:231).

Interesującym aspektem wyborczego kongresu Unii Wolności, odróżniającym unijną rywalizację o inwestyturę od wydarzeń w innych formacjach, była równoczesna walka o kierownictwo partii. Niewątpliwie komplikowało to sytuację, ale nadawało inwestyturze wyższą, programową rangę. W przeciwieństwie do wielu innych formacji, zwłaszcza na prawicy, w Unii Wolności chodziło rzeczywiście o coś więcej niż o personalia i wzajemne obgryzanie nogawek. Owo coś więcej doszło najwyraźniej do głosu w rywalizacji Tadeusza Mazowieckiego z Leszkiem Balcerowiczem, rywalizacji bardzo stanowczej, w której obaj konkurenci deklarowali wprawdzie, że widzą dla przegrywającego wielką rolę w partii, ale pod warunkiem, że przegrywającym będzie ten drugi. Siebie na drugim miejscu nie widział żaden. Utarło się już i stało banalne przeciwstawianie pragmatycznego Balcerowicza – pryncypialnemu Mazowieckiemu, ale to jest najzwyczajniej nieprawda. Prawdą jest natomiast, że skale wartości politycznych obu panów są odmienne: Mazowiecki to powiedział, Balcerowicz zaś przemilczał, ale kto milczy, ten potwierdza. Mazowiecki oświadczył, że „był czas” reform gospodarczych, teraz zaś „jest czas” budowy państwa obywatelskiego, odpowiednio zdecentralizowanego, że takiego państwa nie da się budować w sojuszu z postkomuną, że wobec tego potrzebne jest zbliżenie tych, którzy się wywodzą z ruchu Solidarności (również wrogości wobec Wałęsy należy się wyrzec), z tym wszystkim zaś korespondowało odwołanie do tradycji chrześcijańsko-narodowych, wobec których modernizacja Polski nie powinna być przeciwieństwem. Balcerowicz nie podjął polemiki na tej płaszczyźnie. Zadowolił się wskazaniem, że Unia Wolności pod dotychczasowym kierownictwem jest formacją nieskuteczną: ma 11% poparcia u wyborców i właściwie żadnej perspektywy powrotu do władzy. Balcerowicz i jego zwolennicy nie powiedzieli ani że nie chcą być chrześcijańscy, ani że negują solidarnościową przeszłość, ani że chcą się – w perspektywie – dogadać do wspólnych rządów np. z SLD. W istocie powiedzieli coś dalej idącego: odmówili wyznaniu wiary politycznej Mazowieckiego jakiegokolwiek relewantności w walce o władzę w Polsce AD 1995. To właśnie dlatego Unia Wolności jest nieskuteczna i zamiast sprawniej

walczyć z rywalami wyniszcza się w sporach wewnętrznych.

Jest bardzo znamienne, że o rozmiarach porażki Mazowieckiego (313:174) rozstrzygnęło poparcie udzielone Balcerowiczowi przez dawny KLD, zwłaszcza przez przybyłego na tę okazję z Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju (EBOiR) z Londynu b. lidera liberałów Jana Krzysztofa Bieleckiego (w przeddzień kongresu w wywiadzie dla *Rzeczpospolitej* i następnie w agitacji kuluarowej). Liberałowie, którzy najpierw sądzili, że można nie dopuścić do inwestytury dla Kuronia, mimo jego przekonującego zwycięstwa w rankingu ogólnopartyjnym, zrozumieli, iż to się prawdopodobnie nie uda i że, co gorsza, nawet gdyby się udało, to Kuroń i tak nie ustąpi, a Unia się rozleci: zapowiedziany na 8 kwietnia w Łodzi „złot” komitetów obywatelskich na rzecz wyboru Kuronia na prezydenta byłby się odbył i tak, i ogłosił swoje. Wtedy zaś rozwiąłyby się wszelkie sny o powrocie Unii do władzy a liberałów na posady.

Głosy liberałów były, oczywiście, suplementem: głównego wsparcia udzielili eks-wicepremierowi zwolennicy kandydatury Kuronia, w których imieniu sekretariat generalny partii objęła Grażyna Staniszevska, podczas gdy wiceprzewodniczącym jest Tadeusz Syryjczyk, kiedyś najbliższy doradca premier Suchockiej, minister przemysłu u Mazowieckiego, którego zresztą popierał w rywalizacji z Balcerowiczem, acz miękko. Osoba Syryjczyka ma pomóc w unijnym pojednaniu. Ale to się chyba nie uda. Zwolennicy prezesury Mazowieckiego boją się po prostu zmiany stylu, autokratyzmu Balcerowicza. „Mazowiecki był wprawdzie uparty jak muł, ale Balcerowicz to jest głuchy muł” – powiedział mi jeden z deputowanych UW niegdyś działacz NSZZ Solidarność, a inny bluzgnął „wybrali sobie psychopatę”. Wiadomo, że w klubie parlamentarnym Unii nastawienia personalne są odmienne niż w całej partii, czy jednak tak zdeklarowane obawy przed Balcerowiczem nie są odosobnionym wyjątkiem? Ostatecznie, Unia jako całość i wszystkie jej kierunki wielbią dokonania eks-wicepremiera. Rzecz w tym, że liberalna i reformatorska Unia nie ma pewności, czy Balcerowicz jest ciągle tym samym Balcerowiczem, jeśli się sprzymierzył z Kuroniem i zniszczył Mazowieckiego. Liberalny autokrata byłby dla niej ostatecznie

do zniesienia, ale skuroniały autokrata, to ponad siły... Tak więc pytanie, które nurtuje Unię Wolności po udanym ojco- i matkobójstwie Tadeusza i Hanny, jest następujące: kto, jak i na ile kogo przerobił – autokrata Balcerowicz demokratę i miłośnika samoorganizacji Kuronia czy odwrotnie; przyjaciel ludu Jacek przyjaciel rynku Leszka czy odwrotnie? Najprawdopodobniej nikt nikogo: jest to raczej kontrakt o podziale ról, nawet dość rozsądny, gdy jeden z panów zmierza do prezydentury a drugi do premierostwa. Ale właśnie na wspólnym terenie jednej partii i jednego klubu parlamentarnego może to być kontrakt trudny do zrealizowania. Chociaż jest bardzo możliwe, iż kandydat Kuroń, który już od wielu miesięcy afiszuje swe oddalenie od prac Unii i jej klubu poselskiego – zawiesi swe członkostwo w partii lub nawet w ogóle z niej wystąpi. Po otrzymaniu inwestytury powtórzył i potwierdził (nim jeszcze uległ wypadkowi rowerowemu), że nie chce być kandydatem partyjnym, czeka go zresztą walka o poparcie Unii Pracy, ta zaś będzie się bardzo podejrzliwie przyglądać kontraktowi z Balcerowiczem.

Unia Wolności wybrała sobie prezesa i kandydata najwyraźniej cała roztrzęsiona: nie tyle może wbrew sercu, ile raczej w poczuciu grzeszności tego wyboru, grzeszności, której na imię – skuteczność w walce o władzę. Nie będzie tylko złośliwością, gdy dodam, że chadeckie skrzydło Unii może tego poczucia nie wytrzymać. Hanna Suchocka, która nadaremnie proklamowała na kongresie, że jest autorytetem i to nawet w Londynie, w odpowiedzi, na pytania dziennikarzy poznańskich, czy będzie głosować na Kuronia powołuje się na tajność aktu wyborczego, a jej kreator polityczny, Jan Maria Rokita powiedział mi otwarcie, na kongresie UW, że zagłasuje na Strzembosza. („A jeśli to ogłoszę?” – zapytałem. „A, to się wyprę”. Ogłaszam więc i czekam na *dementi*)

Dodam jeszcze, że biedni delegaci UW próbowali do ostatka uniknąć bolesnego wyboru. Janusz Onyszkiewicz, którego kandydaturę wymyślił najpierw bodajże Zbigniew Brzeziński i podchwycił, ku zachwytowi dyplomatów z USA, Mazowiecki, aby dokonać dywersji w obozie zwolenników Kuronia, był o krok od zwycięstwa: suma głosów jego i Hanny Suchockiej w pierwszej turze była wyższa niż Kuronia. Dlaczego się nie dodały w pełni w drugiej turze? Najpewniej

dlatego, że wielu głosujących na Onyszkiewicza chciało najpierw wystosować ostrzeżenie zagadkowej parze Balcerowicz-Kuroń i może też zmanifestować swą nieufność. A potem, jak to w Unii Wolności, skończyło się na manifestacji. Zabawne, gdyż nie wykluczam, że Onyszkiewicz byłby kandydatem najmniej kontrowersyjnym, który nie wzbudza niczyjej agresji i który dlatego zwycięża tam, gdzie lepsi *fighterzy* gryzą piach. Pytanie, czy Polska potrzebuje bardziej prezydentury stanowczej, o zdeklarowanych opcjach czy mediującej i łagodnej w kształtach?

W każdym bądź razie Janusz Onyszkiewicz, inaczej niż prawica unijna, udzieli z pewnością pełnego wsparcia kampanii Jacka Kuronia. Po elekcji na kongresie UW gratulowano sobie chętnie „kultury politycznej”, jaką ponoć wykazali rywale. Onyszkiewicz na te gratulacje zasłużył na pewno.

U koalitionów u władzy kampania prezydencka rozwija się nieco wolniej. W SLD rady Cimoszewicza, aby raczej wesprzeć Kuronia niż wysuwać własnego kandydata, czyli Aleksandra Kwaśniewskiego, nie znajdują żadnego oddźwięku. Niezależnie od znanych animozji pomiędzy tymi dwoma panami, spór z pozoru taktyczny ma bardzo głębokie implikacje ideowo-polityczne. Taktyka Cimoszewicza pozwoliłaby SLD (i Socjaldemokracji RP) chronić i konserwować resztki jej lewicowej tożsamości: zewnętrzny kandydat nie mógłby, uzyskując poparcie „za piękne oczy” niczego się od SLD domagać. Kandydat Kwaśniewski, zupełnie odwrotnie, sam będzie płacił za każde potrzebne poparcie i najlepszą zapowiedzią tej taktyki są łamańce, jakich dokonuje jako przewodniczący Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego. To właśnie Kwaśniewski jest prawdziwym sprawcą komisyjnej decyzji, by skapitulować wobec biskupich żądań co do kluczowego art. 16 projektu konstytucji i przyjąć wersję zgłoszoną przez zachwyconego swoim sukcesem Tadeusza Mazowieckiego*. Przy innej okazji trzeba będzie powrócić do kwe-

* Oto ten tekst:

1. Kościoły i związki wyznaniowe są równouprawnione.
2. Władze państwowe w Rzeczypospolitej Polskiej zachowują bezstronność w sprawach przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych, gwarantując swobodę ich ujawniania w życiu publicznym.
3. Stosunki między Państwem a kościołami i związkami wyznaniowymi

stii, jak w projekcie konstytucji zarysowuje się całokształt stosunków z Kościołem katolickim, tymczasem zanotujmy, że jedną z głównych podstaw tej konstrukcji jest realizowany krok po kroku wielki targ episkopatu z kierownictwem SLD, nie pierwszy, jak wiadomo, w dziejach hierarchii kościelnej i partii komunistycznej. W maju 1989, kiedy naiwnie licząc na neutralność Kościoła w wyborach 4 czerwca Biuro Polityczne zatwierdzało projekt ustawy regulującej po nowemu stosunki państwa z Kościołem, Wojciech Jaruzelski przekonywał opornych, iż trzeba „im” dać aż tyle, żeby „liczyli i nie mogli się naliczyć”. Dziś jego uczeń, Aleksander Kwaśniewski, nie jest aż tak naiwny i wobec tego będzie przeciągał targ, ustępstwo po ustępie, aż osiągnie swoje cele polityczne, a Kościół, ponieważ też nie jest naiwny, będzie brał i brał, ale ani na chwilę nie zmniejszy nacisku. Można tylko z politowaniem obserwować solidarnościowych polityków, którzy sądzą, że są znaczącymi uczestnikami tego targu, jako wierni synowie Kościoła. Nie ma takich złudzeń sam Wałęsa, który świetnie zna swoich kościelnych Pappenheimerów i niczego tak się nie lęka jak kontraktu episkopatu z Kwaśniewskim.

W dwa dni po „triumfie” Mazowieckiego w komisji konstytucyjnej Wałęsa udzielił wywiadu Katolickiej Agencji Informacyjnej, w którym oświadczył, że Kwaśniewski i Oleksy to „ta sama klasa ludzi co Urban”. „Są to ludzie bez zasad, którzy wcześniej pozbyli się wszelkich wartości(...) Nie może być – gorączkował się prezydent – żeby tacy przestępcy i w dalszym ciągu dokonujący przestępstw dalej funkcjonowali”. Ci leaderzy „próbują grać kaznodziejów lewicowych, prawią kazania (...) a gotowi są wszystko zrobić, aby tylko wygrywać (...) Ohydna gra”. Zarazem Wałęsa zawiadomił, że „na dwie trzecie” będzie „musiał kandydować”, ale zadeklaruje się dopiero gdy „wszyscy inni się odkryją”. Zdaje się, że Lech Wałęsa gotów jest na bardzo wiele również kosztem paraliżu

wymi są kształtowane na zasadach poszanowania wzajemnej autonomii i niezależności każdego w swoim zakresie, jak również współdziałania dla dobra wspólnego osoby ludzkiej.

4. Stosunki między Państwem a Kościołem Katolickim określa umowa międzynarodowa zawarta ze Stolicą Apostolską i ustawy.

5. Stosunek Państwa do innych kościołów oraz związków wyznaniowych określały ustawy uchwalone na podstawie umowy zawartej przez Rząd z ich właściwymi przedstawicielami.

państwa, żeby odwieść swoich kościelnych przyjaciół od wielkiego kontraktu z SLD.

Na szczęście katolickie społeczeństwo jest, zdaje się, trzeźwiejsze od swoich katolickich polityków i swego katolickiego prezydenta (wg CBOS): 82% nie akceptuje udziału Kościoła w życiu politycznym, 68% jest przeciw publicznemu okazywaniu religijności przez funkcjonariuszy państwa, a 54% sprzeciwia się ureligijnianiu uroczystości państwowych. Dzięki temu można mieć nadzieję, że nie doczekamy się jednak wyznaniowego państwa ani z komunistycznym prezydentem, ani z dotychczasowym.

W przeciwieństwie do SLD i Kwaśniewskiego PSL potraktuje zapewne swój udział w walce o prezydenturę jako monetę przetargową, do odstąpienia (drogo) przed drugą turą. Jest więc prawdopodobne, że do tej operacji wyznaczony zostanie ambitny młody polityk drugiego rzutu; wymienia się marszałka Senatu, Adama Struzika. Ciekawsze jest, komu PSL odstąpi ostatecznie swoje głosy – a jest to tym ważniejsze, że elektorat PSL, posłucha w znacznym procencie takiego wezwania. Ale na to jedyną odpowiedzią jest: temu, kto da więcej. Po upadku Pawłaka PSL dopiero układa swoje klocki.

Na posłuszeństwo elektoratu w przenoszeniu głosów w drugiej turze nikt poza PSL nie może liczyć w poważnym zakresie, toteż kandydatury bez szans są zgłaszane nie tyle w celu późniejszych przetargów, ile raczej dla propagandy, reklamy (a zarazem ochrony) własnej partii, własnej firmy lub własnego kabaretu. Pierwszy przypadek to wymieniony już Korwin-Mikke z UPR, drugi to panowie Bryczkowski (konkurent Tejkowskiego) przyjaciel Żyrynowskiego, handlujący z Rosją albo, ściślej, z mafią rosyjską, oraz Gawronik, senator, a jakże, i businessman, ze znakiem zapytania: jednym głosem uniknął w ub. roku uchylenia immunitetu przez Senat, gdy prokuratura chciała go pociągnąć do odpowiedzialności za nadużycia w firmie Art B, którą wziął w zarząd po ucieczce Bagsika i Gąsiorowskiego. A przedtem zaklinał się, że mu na immunitecie nie zależy. Trzeci przypadek, to jak dotąd, Jan Pietrzak, co do którego zresztą opinie są rozbieżne. Jedni sądzą, że Pietrzak chce w ten sposób podtrzymać robiący bokami „Kabaret pod Egidą”, inni natomiast są przekonani, iż po wielu wizytach u polonijnych widzów na szerokim świecie z

przebojem „Żeby Polska była Polską” uwierzył w swe narodowe powołanie.

To wszakże nie jest jeszcze pełny poczet naszych prezydentów, to raczej prezentacja z pierwszego aktu. W następnych, a będzie ich do jesieni ze trzy, zgłoszą się zapewne kolejni amatorzy Pałacu Namiestnikowskiego w Warszawie. Może to być np. Tadeusz Zieliński lub nawet Aleksander Małachowski, jeśli Unia Pracy nie zdecyduje się na Kuronia. Zadatkem na taką ewolucję jest także proklamowany, 8 kwietnia w Warszawie przez „Komitet Stu” – Ruch Liberalno-Konserwatywny. Animatorem Komitetu Stu jest niezmordowany Czesław Bielecki, który poprzednio starał się przez kilka lat podtrzymać tzw. Porozumienie Ponad Podziałami, dopóki się zupełnie nie podzieliło. Tym razem już tak ponoć nie będzie: Komitet ma sto dni na powołanie przynajmniej stu komitetów terenowych, a jeśli się nie uda, to sam się rozwiąże i ruch *eo ipso* upadnie. Skład Komitetu jest dość kolorowy, choć dominują w nim raczej postaci ambitnych a sfrustrowanych polityków: Andrzej Olechowski, Wiktor Kulerski, Paweł Moczydłowski, Krzysztof Piesiewicz, Arkadiusz Rybicki, Jan Winiecki, Michał Kulesza... Każdy z wymienionych (i wielu nie wymienionych) jest wprawdzie wziętym fachowcem w swojej branży i mógłby się obejść bez polityki, skąd wyeliminowały go uprzednie niepowodzenia – ale widać nie potrafi i nie chce. „Do polityki muszą wejść nowi (? – KW) ludzie, którzy rozumiejąc zagmatwaną przeszłość będą pracować nad przemianą świadomości narodowej”. Swoje sto dni Komitet Stu rozpoczął niestety od secesji działaczy z Ligi Republikańskiej, którzy domagali się, by Komitet poparł z miejsca kandydaturę Adama Strzembosza. Po odrzuceniu tego wniosku wyrazili podejrzenie, że Komitet i Ruch mają przygotować kandydowanie Olechowskiego. Olechowski się wprawdzie zarzekał, że jeśli wystąpi, to nie będzie prosił Komitetu o poparcie, ale wiarygodność eks-ministra nie jest porażająca, skoro niedawno twierdził, że na pewno nie wystąpi przeciw Wałęsie. Chyba że teraz wie, iż Wałęsa może nie wystąpić. Kończę zatem tą samą szeptanką, od której zacząłem, ale wcale w nią nie wierzę. Wałęsa wystąpi i wszystko zdaje się wskazywać, że wraz ze Strzemboszem, Kuroniem i Kwaśniewskim wejdzie w skład karety

wyborczych asów. W kolejnym sondażu OBOP-u z początku kwietnia na Aleksandra Kwaśniewskiego chce głosować 16% respondentów (od marca bez zmian), na Jacka Kuronia 14% (+5%), na Adama Strzembosza 8% (+5%), na Lecha Wałęsę 7% (bez zmian). Wśród nie zadeklarowanych kandydatów Tadeusz Zieliński uzyskał 6% (-4%), Andrzej Olechowski 4% (-3%), Józef Oleksy 4% (bez zmian) i Waldemar Pawlak 3% (bez zmian). Okruszków nie wyliczam.

Warszawa, 12 kwietnia 1995

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Gdy pojawiają się pierwsze znaki wiosny, ławki przed moim domem obsiadają pijacy. Porusza czułość i ostrożność z jaką wyjmują z ukrycia buteleczki, jakby przewijali niemowlęta, i ta więź duchowa, która się rodzi gdy szyjka butelki ożywa i zaczyna krążyć od ust do ust. Potem zabieg wynoszenia się z siebie, przeprowadzka w inny chybrotliwy wymiar, dalej pijackie gaworzenie, wielkie filozoficzne dysputy okraszane przekleństwami, i dalej, mało gdzie w świecie widziałem tylu samców, którzy publicznie wydalają moc. Odnotowując triumfalny marsz polskich toalet do Europy nadal ze zgrozą obserwuję, że cała Polska jest publiczną toaletą. Moje podwórko w centrum Warszawy pada doprawdy ofiarą tego zjawiska w skali, która zniechęca, by wychodzić z domu.

Polska autodestrukcja musi mieć swój historyczny korzeń. I chociaż już widać pierwsze zwiastuny zmiany, ludzie którzy zaczynają o siebie dbać, np. jakaś miła i wielodzietna rodzina na korcie tenisowym, ale nadal mało kto biega dla zdrowia, je racjonalnie, dba o linię, częściej zre się bez

opamiętania, pije się i pali szaleńczo. A przecież tak wzrosło u nas tempo pracy i natężenie stresu. Czym to się kończy bez relaksu i dbania o siebie, wiedzą nasze szpitale i kolumny nekrologów w gazetach.

Mój znajomy psychoterapeuta jest załamany. „Polacy nadal tak się zachowują, jakby chcieli upieprzyć się na śmierć. Jakby zarżnąć się pracą, paleniem i piciem, było chwalebnym czynem na nowym polu chwały”.

Czy nie widać tego zjawiska w życiu politycznym?

Co z wyborami prezydenckimi? Doprawdy straszny jest kłops. Wszystkie drogi prowadzą do wyboru między Wałęsą-Wachowskim a Kwaśniewskim. Mógłbym z rozpaczy głosować na Wałęsę, nie mogę na Wachowskiego. Pewien znany polityk mówi mi, że lepszy byłby Kwaśniewski, bo ten przynajmniej potrafi oddzielić swój interes od interesu państwa. Wałęsie to się już zupełnie zatarło.

– I będzie pan głosował na Kwaśniewskiego?

– Nie, pójdę się upić.

Czyli znowu partia wódczana górą.

Lech Falandysz do niedawna prawna opoka Prezydenta, wierny i dyskretny, nie wytrzymał i na spotkaniu w szkole z uczniami w czasie dnia wagarowicza – mamy oto nowe święto wymuszone przez uczniów – powiedział, coś co mnie bynajmniej nie szokuje – „Lech Wałęsa i Mieczysław Wachowski nie mają pomysłu na Polskę ani na najbliższe miesiące, ani tym bardziej na lata”. Jak widać nie tylko ja mam coraz mocniejszy odruch by tych panów pisać łącznie, chociaż nie łączyłbym ich myślnikiem.

Znajomi, którzy chodzą do kościoła skarżą się, że księża tak mówią, jakby wierni znajdowali się w oblężonej twierdzy. „Panoszy się wokół choroba moralna, wartości chrześcijańskie są atakowane. Musimy być razem, musimy bronić się”.

M. mówi do mnie – mam tego dosyć, nie po to przychodzę do kościoła, by czuć się w oblężonej twierdzy. Czy ksiądz nie mógłby się trochę zająć Ewangelią?

Tak, ale ja właściwie rozumiem księży. Wieże Kościoła są w Polsce wysokie i potężne, ale jego fundament jest podmywany. Jest podmywany przez wielką falę wielkiej zmiany i

nowej cywilizacji, przez kanały telewizji satelitarnej skąd płynie mord i seks.

Ten podział na zwolenników pewnej swobody obyczajowej; z tym się łączy dopuszczalność aborcji, i często niechęć wobec kary śmierci – i na cnotliwych, potępiających seksualne rozpasanie i mordowanie nie narodzonych (a zarazem – co jest paradoksalną regułą – gorących orędowników kary śmierci) – jest podziałem bardzo wyraźnym. Czy jednak da się na tym budować polityczne programy?

Można też znaleźć przerażenia naszym kapitalizmem i rosnącą nierównością. Ale tu podział przebiega wyraźnie między pokoleniami, dotyczy emerytów, urzędników, robotników ze źle funkcjonujących zakładów, tych co sobie po prostu nie dają rady – a tymi co prą do przodu, często po trupach.

Czego dziś w Polsce najbardziej brakuje, obok oczywiście wyznaczenia reguł gry we wszystkich dziedzinach, a głównie w sferze pracy? Najbardziej brakuje rozmowy. Gadania jest masa, jeszcze więcej obgadywania, jak fontanny śliny tryskają monologi. Ale rozmowy nie ma, nawet tam gdzie wydaje się, że jest rozmowa, są tylko dwa monologi zlepione ze sobą niechęcią. Powszechne jest też przezywanie się i jak to w piaszkownicach bywa, przezywani nie myślą, ale tylko się złoszczą.

Dla jednych – słowo lewica i liberał – jest obelgą. Ale obelgą jest też – prawicowy i konserwatywny. I jest jeszcze trzecia obelga – komuch.

Strona, która sama nazywa się prawą, ma ostatnio nowe pojęcie, które karmi piersią i czule przewija. To ironiczna odpowiedź na inwektywę strony, którą nazywają „lewa”, a brzmi ona – „ciemnogród”. O tak, my jesteśmy „ciemnogrodem”, mówią ironicznie, gdy wy za to jesteście „jasnogród”. Takie oto mamy przezywanie się w naszej piaszkownicy.

A pojęcia „lewica” – „prawica” używane są odruchowo, bezrefleksyjnie, na podstawie zapachu i pobieżnego oglądu. Istotne czy on nasz czy nie nasz, jeśli nie nasz to dostanie wrogą etykietę.

Ja sam jednego dnia zostałem nazwany pogardliwie lewicą, by w pewnym dzienniku być przedstawiony jako skrajna i agresywna prawica. Pisarz H. mówi mojemu znajomemu, że nie oglądał programu telewizyjnego gdzie występo-

wałem, „bo nie może patrzeć na tego prawicowca”. Bawi mnie to do łez, bo przecież wielokrotnie atakowałem *Gazetę Polską*, PC i ZChN, a część naszej prawicy bez wahania nazywam bęcwalstwem narodowym. Nic to jednak mi nie pomaga.

Jak na dłoni, widać wielkie zamieszanie, które panuje wśród pojęć lewica i prawica. Niby wszyscy już wiedzą, że te pojęcia dzisiaj mylą i zaciemniają obraz, ale odruchowo ich używamy, jakby nam było wygodnie w półmroku i wśród bałaganu. Sam też ich używam odruchowo.

Unia Wolności jest widziana jako prawicowa przez postkomunistów, gdy np. ZChN określa tę partię jako skrajnie lewicową. Chłopska PSL niby lewica, ale zapach konserwy bije od nich na milę. Postkomunistyczna SLD mając czerwony korzeń bardzo się kręci wokół robienia pieniędzy i biznesu, ale ma bardzo podzielony elektorat.

I jak tu nie zauważyć, że nasza tzw. prawica w sferze ekonomicznej bywa wielce lewicowa. Za to bardzo siarczyście broni wartości tradycyjnych i narodowych.

Program „WC” w pierwszym programie TV prowadzony jest przez młodego i agresywnego prezentera o osobowości tak wyraźnie autorytarnej, że mógłby trafić do podręcznika typów psychicznych. Program jest w formie knajacki, a w treści cnotliwy, walczy z prezerwatywami (niech chorują na Aids, przecież można się dobrze prowadzić), z rozpustą, i tą okropną liberalną Europą, broni rodziny oraz wartości narodowych. Walczy więc o narodową cnotę używając rzeźnickiego tasaka.

Gazeta Wyborcza przygrzmociła w ten program z armaty używając słów – faszystowski, itp. Ja bym ostrożniej używał tego słowa i nie rwał od razu szat. I podniósł się krzyk obrońców programu, że to spisek liberałów przeciw wolności słowa, przeciw wartościom podstawowym, i przesowi telewizji Walendziakowi, bo on prawica.

Odbył się w studio TV pojedynek między naszymi powiedzmy „liberałami” oburzonymi na program a naszą powiedzmy „prawicą”, która go broni. I niezbyt mądra prawica to wygrała, bo piekielnie trudno mądrym liberałom w imię liberalizmu bronić mądrze ograniczenia czegokolwiek.

Kto kogo pierwszy demonizował – chyba nastąpiło to równoległe? Gdy rozmawiam z tymi prawicowymi „potworami” w telewizji, czy z prawicową młodzieżą z pisma *Frona*, o których coraz częściej słyszę: „to faszyci”, to mam przede wszystkim poczucie, że rozmawiam z wrażliwymi, inteligentnymi ludźmi, którzy mają konserwatywne poglądy. Po jakimś czasie natykamy się na miejsca, które nas drastycznie różnią. Ale rozmowa jest nie tylko możliwa, jest konieczna.

Kiedy oskarżeni są o faszyzm, wystawiają kolce i plują jadem. Nie poznają ich. Oto efekt demonizacji.

Moim znajomym, młodym prawicowcom z telewizji, mogę tylko powiedzieć – „okopaliście się na najgorszym z możliwych miejscu, program nazywa się „WC” i nim jest. Zginiecie zastrzeleni siedząc na sedesie. Otoczeni gronem obrońców, których głupota i poglądy są jeszcze większym wstydem niż wasza nagość”.

Powstają komitety mające bronić tego wychodka, krzyczy *Gazeta Polska* i krzyczy pismo *Ład*, a ZChN oświadcza: „Protestujemy szczególnie przeciwko wymuszaniu usunięcia z telewizji programów występujących w obronie wartości katolickich, narodowych i rodzinnych”.

Jeśli nasza tak zwana prawica zamierza okopywać się w tym właśnie miejscu, to biada im. Ale nie jest też w naszym, tzw. liberałów, interesie, by oni tam się właśnie okopali. Nikt jeszcze nie skorzystał na czymś zdżiczeniu.

Może powinien zaistnieć, w naszej przecież bardzo liberalnej telewizji, program dla milionów naszych konserwatystów, pocziwych emerytek, ludzi przejętych wołaniem Kościoła o cnotę. Ale czemu na Boga program dla pocziwych prowadzi cham w wychodku, na jednym haku wiesza pistolet, na drugim krzyż, a dla podkreślenia swoich tez wali wielkim kubkiem w stół, na którym leży w domyśle dłoń ideowego wroga?

W gruncie rzeczy to paradoks, że chociaż my liberałowie znajdujemy się w Polsce w mniejszości, to jesteśmy o wiele silniejsi, bo mamy głos, gdy tak szeroki jest w Polsce obszar milczenia. Nasza społeczność jest zagadką i drzemią w niej różne potence. Ta propozycja liberalno-otwarta mimo że ma głos – a po jej stronie są pisarze, dziennikarze, intelektualści, politycy z najlepszą prezencją – czuje się zagrożona przez

wielki znak zapytania, który czai się w zaułkach naszych miast i naszej prowincji, jeśli nie ciemnej, to zamglonej. A konserwatyści i autorytarni, czując za sobą wielką milczącą masę, szaleją z niepokoju, czy z tej masy da się cokolwiek ulepić. A ja na ich miejscu bałbym się czy ta masa ich nie zje.

Inny problem – uważam siebie za tolerancyjnego, czy w tej sytuacji muszę być też tolerancyjny dla nietolerancyjnych? Przecież nietolerancyjni grożą ograniczeniem tego co uważam za moją wolność, a mojej wolności będę zawsze bronił. Muszę więc walczyć z nietolerancją tak samo jak z kimś kto w złowrogich celach nachodzi mój dom. Jest teraz tylko bardzo trudny problem oceny zamiarów złoczyńcy i co jest prawdziwym a co fikcyjnym zagrożeniem dla mojej, naszej wolności. Liberałowie, nawet gdy robią nagonkę na nietolerancyjnych, skazani są, gdy ich chwycą – ułaskawić, albo przestaną być liberałami, i będą jak Saint-Just, który miał powiedzieć – „Nie ma wolności dla wrogów wolności”, i ścinał głowy. Ale jakże trudna jest prawdziwa tolerancja, tam gdzie ma się wyraźne poglądy.

Cały ten idiotyczny spór o program telewizyjny jest żenującym sporem zastępczym. Zamiast spierać się o wartości spieramy się o kształt muszli klozetowej. Mój przyjaciel żyjący poza Polską wysłuchawszy tego na miejscu westchnął – „co za szczęście, że mieszkam w kraju, gdzie ludzie mają inne problemy”.

Mały przypis do tego tematu. Kiedy szukamy do programów telewizyjnych czy do ankiet w pismach kogoś ze strony prawicowo-konserwatywnej, o mocnych i wyraźnych poglądach, to jest straszny kłopot. Bo trafia się na szaleńców, bęcwałów, albo ludzi tak zapiekłych, że niestrawnych. W końcu trzeba kogoś wybrać, bo jak inaczej budować spór. I w ten sposób pokazując ich w towarzystwie ludzi na poziomie, nobilituje się ich i tworzy postacie. Na bezrybiu rak nie tylko staje się rybą, czasami nawet zmienia się w rekina.

Wielką rolę w krzewieniu liberalizmu w wielu dziedzinach ma *Gazeta Wyborcza*. Niestety posiada ona nie tylko wielu świetnych autorów i sprawny serwis, ma więc nie tylko mózg, ale też wielką uczuciową macicę, pełną emocji. Jej brzeg tkwi w czasach konspiracji, gdzie to jedno ciało pełniło pozytywne konspiracyjne funkcje.

W *Gazecie* wiele napisano tekstów, które broniąc tradycji liberalnych wyrządzają wiele szkody samej sprawie, bo napęczniałe są emocjami jak metalowa beczka, w której zepsuła się szlachetna ryba. I ten chorobliwie intensywny podział na swoich i obcych, a najgorsi są ci co byli swoi, a odeszli. I ta zawiść wobec konkurencji, mimo tak wielkiej przewagi nad wszystkimi. Coraz mniej jest ludzi nawet bliskich *Gazecie*, którzy tego nie widzą.

Ta gra prowadzona świadomie a może nawet nieświadomie przez *Gazetę* jest bardzo niebezpieczna. Będąc w tak dominującej pozycji doprowadza swoich adwersarzy do choroby nienawiści. Są bezradni wobec energii *Gazety*, bombowych tytułów, pierwszej ligi autorów, nakładu i liczby czytelników. I jakże osaczeni – jedzie taki bidak autobusem, a tu wszyscy czytają *Gazetę*, jakby trzymali strzykawki z narkotykiem i w żyłę. Od tego może pęknąć uczciwe narodo-we polskie serce.

Czasami mam wrażenie, że właśnie ta niechęć do *Gazety* ogniskuje wiele poglądów, zastępując myślenie naprawdę polityczne. Ona sama, demonizując swych przeciwników, jest monstrualnie demonizowana.

Złości mnie *Gazeta* z powodu typu emocji jakie wydzie-la, ale kiedy poczytam prasę prowincjonalną, albo wezmę do ręki katolicko-prawicowy *Ład*, czy choćby słabiuteńki krakowski *Czas* – o szmatławcu o nazwie *Gazeta Polska* nie mówiąc – to szczeka mi opada. Tam nie ma co czytać, jest za to czym się struć, a emocje po stokroć gorsze i bez klasy.

Napawa mnie niechęcią, nawet obrzydzeniem polskie obskurantstwo, a jest u nas o wiele więcej postaw autorytar-nych niż się myśli... dzieci należy bić, przestępców publicznie ścinać, obcych wymiać, pedałów izolować... Wedle mych obserwacji bardzo łatwo umiarkowani prawicowcy dryfują na pozycje skrajne.

Ale jest jeszcze inny problem. Ludzie u nas głoszą mocne poglądy, co nie zmienia faktu, że bywają one wewnątrz sprzeczne. Mamy groch z kapustą i polski bigos. Dlatego ludzie zanurzeni po uszy w lekturze liberalnej *Gazety Wyborczej* mogą zagłosować na antyliberała, ale czy będą mu potem wierni?

Jest wielkie zamieszanie. Wyrażna jest tylko chemia

psychiczna, pisałem już o tym nieraz. I podział na osobowości autorytarno-zamknięte i liberalno-otwarte, gdzie jakaś część młodej prawicy chociaż z trudem jednak się lokuje. Ale to też posiada wiele komplikacji i wewnętrznych zawikłań. Bo w kraju tak doświadczonym przez historię i tak uparcie walczącym o swoją wolność, naznaczonym na dodatek szlacheckim indywidualizmem, każda postawa autorytarna będzie od środka podmywana przez jej zaprzeczenie. Ludzie są więc niby autorytarni, ale zarazem będą równie zdecydowanie bronić pewnych wartości liberalnych. Bo nasze historyczne doświadczenie nie pozwala być tu jednoznacznie autorytarnym. I często jak diabeł z pudełka wystawi łeb szlachecki indywidualizm. Ale co tu ukrywać, nasz liberalizm bywa z kolei podszyty autorytaryzmem.

Nie ma wątpliwości, nasz codzienny polityczny język dopomina się szybkiego zabiegu uporządkowania, bo pojęcia lewica i prawica, liberalny, konserwatywny, tak łatwo dzisiaj stosowane, bardziej zaciemniają niż wyjaśniają cokolwiek.

Nowy premier Józef Oleksy uwija się jako Premier. Wałęsa jednak oświadcza, że za mało, i za chwilę mu przy-łoży. Partie prawicowe twierdzą, że Wałęsa obalił Pawlaka, by dopuścić do głosu postkomunistyczną SLD i Oleksego, który będzie mu posłuszny.

Obchody katyńskie na wielką skalę, na tle hotelu Victoria, ale jakby po czasie, po czasie. Kapłan przemawia zupełnie dziewiętnastowiecznie, potem polskie „Dziady”, przyzywanie duchów umarłych, żołnierz przyzywa, policjant, wdowa po zastrzelonym przyzywa męża. Potem niosą wieńce, policjanci w milicyjnych mundurach, w których kiedyś ganiłi z pałkami za zbierającymi się nielegalnie w imię Katynia. Premier Oleksy też wieniec niesie i się kłania – na tle Katynia nagle uwyrażnia się jego partyjna życiowa droga. I Wałęsa się kłania, z nim nadzwyczaj równo się kłania Wachowski, są jak jedno ciało. Ale jakoś ten Wachowski nie pasuje do obrządków, jakby był z innej sztuki.

A w tle hotel Victoria, postkomunistyczny rząd i pa-triotyczny ton, zupełnie przedwojenny. I jakieś straszne przemieszanie różnej i niezgodnej materii, a wszystko jakby po czasie, po czasie...

Listy z Rosji 1839, tysiąc stron, ukazały się w Polsce, w przekładzie Pawła Hertza. Zналиśmy tę niezwykłą książkę tylko ze skrótów i wydań pozacenzuralnych, bo opis Rosji 1839 był tak przenikliwy, że znakomicie dotyczył Rosji Sowieckiej.

Siłą de Custine'a jest, że łączy on wycucie psychologiczne, jakby już znał odkrycia wewnętrznego kosmosu człowieka z wieku XX, z wielką polityczną intuicją. A więc czuje mikrokosmos jednostki i psychologię społeczną. Rzadkie to i cenne połączenie, które pod piórem Francuza rodzi wielkie dzieło. Jest człowiekiem nadwrażliwym, zneurotyzowanym, pełnym obaw przed światem. Gdy wchodzi na statek „trapi go tysiąc złych przeczuć”, a jednak nie wstrzyma się przed ryzykiem takiej podróży, a potem chociaż „uwiedziony” przez cara, ma odwagę druzgocącej opinii. To też trudne, ale szczęśliwe połączenie, bo ten paradoksalny splot lęku i odwagi otwiera w nim wiele czujących miejsc.

Wielokrotnie pisze, że nie należy lekceważyć tego regionu zasłoniętego zacofaniem, bo ma przed sobą przyszłość. Jaką? „Pewnego dnia uśpiony olbrzym zbudzi się i siłą położy kres panowaniu słowa”. Gdzie indziej napisze proroczo: „w Rosji nastąpi rewolucja straszniejsza od tej, której skutki wciąż jeszcze odczuwa Europa Zachodnia”.

Warto odnotować aforyzmy psychologiczne de Custine'a, bo są najwyższej próby, godne wielkich prozaików francuskich. Napisze, „Z ambicją bywa jak ze skąpstwem: skąpi zawsze rachują, nawet gdy są przekonani, że kierują się jedynie bezinteresownym uczuciem”. Zanoluje ironicznie: „Władzę absolutną należy powierzać tylko aniołom”, nie pyta jednak – czy po to, by skłonić ich do upadku?

Gdy przyjdzie mu dłużej porozmawiać z carem, dojdzie do niezwykłego wniosku! I tu zaczyna się przeżabawna dla czytelnika gra, której półcieni jakby nie dostrzega sam autor. Oto on, twórca obrazów druzgocących carat i Rosję, jest zafascynowany carem i jego żoną. Dialogi, które buduje z carycą i carem przepojone są duchem przyjaźni, wzajemnego zrozumienia a nawet podlizywania się. Car Mikołaj jak wiadomo cudem wyszedł z życiem, gdy zbuntowała się jego gwardia kiedy wstępował na tron. To własna odwaga uratowała mu głowę, za to głowy potracili dekabryści. Car często do tego wraca i wzrusza się sam sobą. Oto fragment tej

rozmowy, markiz – car, żałosnej ale prowadzonej na szczycie ówczesnego świata:

– „Wasza cesarska mość zaczerpnął siły z najczystszych źródeł.

– Nie wiedziałem, co pocznę ani co powiem, byłem jak w natchnieniu.

– Na takie natchnienie trzeba zasłużyć.

– Nie zrobiłem nic szczególnego; powiedziałem żołnierzom: „Wróćcie do szeregów!”, a kiedy dokonywałem przeglądu pułku, zawołałem: „Na kolana!” Wszyscy usłuchali. Chwilę przedtem byłem gotów umrzeć, to dało mi siłę”.

Ten dialog prowadzony w duchu głębokiego wzajemnego zrozumienia, spięty jest kłamrą czułego pożegnania. A już na sam koniec de Custine notuje: „Cesarz jest jedynym człowiekiem w tym państwie, z którym można rozmawiać, nie obawiając się donosicieli”.

Świetne jest spostrzeżenie dotyczące wagi słowa w świecie braku wolności, oraz jej utraty tam gdzie nie ma cenzury. Jeszcze pięć lat temu nie w pełni chyba zrozumielibyśmy przenikliwego markiza gdy mówi: „Naprawdę nieszczęśliwi są tylko ci poeci, co muszą pędzić suchotniczy żywot w takim systemie, gdzie wszystko jest jawne. Tam gdzie wszystkim wolno mówić wszystko, poeta może już tylko milczeć...” A ja pozwolę sobie dodać... – lub pisać felietony.

Wystarczy u nas pójść do banku, czy do byle urzędu by zapłatać się w pajęczyny, gdzie biegają pająki, które pamiętają socjalizm. To jest prawdziwy problem i sieć do wymiecenia, razem z urzędowymi pajakami. Polska jest opleciona chorą administracją. Kiedy wchodzę w zakurzone skłębienie ludzkie w urzędzie miejskim na Mokotowie, słyszę woźnego jak zaciągając z ruska mówi, „panie, tam na piętrze tyle narodu”, to słyszę carską Rosję.

Kiedy widzę jak na poczcie kobieta w okienku przeżywa swoje klimakterium w taki sposób jakby była pomnikiem tej przypadłości i wszyscy wokół musieli razem z nią cierpieć – to myślę – długa droga, gorzka droga, czy w ogóle dojdziemy?

Kiedy podczas rozmowy mój telefon wyje jakby mu podrzynali gardło, co zdarza mu się często, i w agonii przerywa mi rozmowę, to nagle czuję straszny przypływ

agresji. Odruchowo klęknął na komunizm, a potem, wstyd się przyznać, na rząd Mazowieckiego.

Nie mogę zapomnieć takiej sceny. Pewna ambasada w pewnym kraju, Mazowiecki jako Premier, wokół dwór się krząta, nadskakuje, ślini się, gada. Jeden z emigrantów naszych robi bardzo sensowny wykład, jak można by polską telefonię szybko zreformować korzystając z pomocy kraju, gdzie jesteśmy. To się naprawdę trzymało kupy. W tym właśnie momencie wszedł na salony kierowca i przyniósł śpioszki dla wnuczka, czy wnuczki premiera. Premier rozłożył je za nogawki i zajrzał im w krocze. Temat reformy polskiej telefonii skończył i już nie wrócił.

Czy dlatego teraz mój telefon nagle wyje jakby mu podrzynali gardło?

Zmiany w Unii Wolności znajdują z pewnością bardziej ode mnie kompetentnych wyjaśniaczy, którzy jak w niedojrzałe i kwaśne jabłka, wgryzą się w psychologię unijnej lewicy i prawicy. Mnie tylko uderzyła żywa rozpacz Tadeusza Mazowieckiego, którego zastąpił Balcerowicz. Wchłonięci przez Unię liberałowie mieli chyba dosyć stagnacji, a wszyscy dzielili poczucie, że coś trzeba zmienić. I zmieniono wydaje się, że bardzo szczęśliwie. Bo Balcerowicz to jednak symbol wielkiej polskiej zmiany, ale również sfer drapieżności naszego kapitalizmu (wrogowie wypomną mu, że był kiedyś w PZPR), jest on zimny i poblokowany, ale ocieka kompetencją. A Kuroń to nieposzlakowana i szlachetna przeszłość, zupki dla nędzarzy i fontanna energii.

Inna sprawa, że wielu wątpi czy Kuroń przeżyje prezydenturę, ale wiadomo, że tylko on ma szansę walki z Kwaśniewskim i Wałęsą. Jakby na potwierdzenie złych przeczuć w kilka dni potem Kuroń jadąc na rowerze wywija orła i dosyć poważnie rozbija sobie głowę.

Mazowiecki na progu swojego premierostwa zasłabł przy mikrofonie, a Kuroń rozbija sobie głowę na progu swojej prezydenckiej kampanii.

Jacek od dawna jest w fatalnym stanie zdrowia, zawsze żył zbyt intensywnie, widuję go od tak wielu lat i zawsze dziwiło mnie jak człowiek może tak intensywnie płonąć i nie spalić się do cna.

Tak zwana prawica oczywiście się stroszy na Kuronia i Balcerowicza, i zawsze ta sama piosenka, spiskują z postkomunistami i wkrótce się z nimi połączą. Unia już w nowym garniturze zarzeka się, że nie ma mowy! Ale kto wie, czy po wyborach nie będzie to nieuchronne, szczególnie, że przecież wiadomo, że prawica szepce po kątach z postkomunistycznym PSL-em.

Słuchać jak z naszego narodowego balonu ucieka z sykiem jakakolwiek pamięć o przeszłości. Gdy on zupełnie sflaczeje, czy będzie to szansa na budowę od nowa, czy groźba moralnej degenerolady?

Kiedy Polska znormalnieje? – bardzo młody biznesmen z Bielska uważa, że za 40 lat. „Musimy co najmniej jedno młode pokolenie odpisać na straty, bo jest już zainfekowane”.

Biznesmen G. mieszka od jakiegoś czasu w Polsce, a żył i pracował przez wiele lat w Szwecji. Wiele jeździ. Uderza go, że Polska tak wyraźnie dzieli się na część wschodnią, bardziej niechlujną, i tę nieco lepszą, zachodnią. Zwiększają się też w oczach różnice między miastami i miasteczkami, zwykle tam gdzie działa jakaś forma samorządności jest o wiele lepiej. Widzi jednak jak na dłoni – „nie ma na kim budować tej nowej Polski”. Powszechny jest brak umiejętności zarządzania, ale największy problem, to brak fundamentu. Rozmawiamy długo o tym fundamencie. To zbiór odruchów i zasad, które nabywa się już w dzieciństwie. Uczymy się w Polsce odruchu ustępowania miejsca staruszce w autobusie, mężczyzna podaje kobiecie płaszcz, przepuszcza kobietę przodem. To są niezwykle silne nawyki, którym sam ulegam odruchowo, nawet wobec kobiet feministek, gdzieś daleko w świecie, które mogą mi za to dać w gębę. Te wszystkie nasze ładne odruchy są jednak bardzo mało przydatne w budowie nowej cywilizacji. Za to niszczące są liczne inne odruchy nabywane u nas już za młodu. Odruch, że co jest poza moim progiem już mnie nie obchodzi, że co państwowe może być zawłaszczane, że można omijać prawo a nawet trzeba.

G. mówi mi, że myślał o założeniu w Polsce firmy ale zrezygnował, bo wie, że nie mógłby zaufać żadnemu pracownikowi, zaś tworzenie kolejnych stopni kontroli zatruwa pracę nie gwarantując zbyt wiele.

To prawda, często słyszę jak właściciele prywatnych firm skarżą się, że ich koszmarnym snem jest, że w każdej chwili pracownicy mogą odejść zabierając część dorobku i doświadczenia firmy. Lojalność u nas istnieje ale tylko wśród pijaków, którzy zataczając się pomagają sobie imponująco wytrwale. Zawsze to obserwuję ze wzruszeniem.

Natomiast znajomy emigrant, który jako przedstawiciel zachodniego biznesu wizytuje polskie wielkie firmy państwowe, jest zdumiony nie tylko brakiem profesjonalizmu swoich rozmówców, ale też jakąś formą autodestrukcji. Oto gospodarze, których zadaniem jest przecież robić na ewentualnych zachodnich kontrahentach jak najlepsze wrażenie, jakże często opowiadają niebywałe okropieństwa o szefie i o własnej firmie.

Oglądając na własne oczy przedstawicieli Polski na różnych konferencjach, zdumiewałem się jak czarny obraz Polski przedstawiali, nawet tam, gdzie pewna dyplomatyczna idealizacja wydaje się niezbędna. Sam chyba czasami grzeszyłem upubliczniając swój pesymizm. To jest nasza choroba narzekania. Bo nie tylko firma, ale też wolna Polska zupełnie nie przystaje do naszych neurotycznych ambicji.

Próbuję rozmawiać o polityce z aktorką, która wstąpiła się tym, że przed laty wyszła na wielką scenę telewizji i obwieściła całej naszej ojczyźnie – „Proszę Państwa, w Polsce skończył się komunizm” – a ona mi teraz mówi, że ma wiele prób w teatrze i nie interesuje się już polityką. Ubrała się dzisiaj na czerwono, bo ten kolor został odczarowany.

Rozmawiam z V, który jest postacią bardzo publiczną i zajmuje się polską duszą zawodowo, radzi, pociesza, krzepi. I ze zgrozą słyszę, jak mówi, że nie ma już cierpliwości do Polski. „Polacy sami nie chcą by im pomóc”. Ma dosyć i postanowił z Polski za jakiś czas na stałe wyjechać. Kiedy się obruszam, prosi mnie, „to spróbuj mnie umotywować jakoś do Polski, natchnąć zapałem do tej naszej okropnej ojczyzny”. I oto ja wykrzesuję z siebie jakieś szczątki optymizmu i próbuję go natychać. Natchnienie jest piękne, „natychanie” jak przymusowe karmienie gęsi.

Po tym zabiegu trafiam od razu na niechlujnej klatce schodowej, na niechlujną scenę między ludźmi. I myślę –

jedną z naszych chorób narodowych jest niechlujstwo. Rzecz zaczyna się na klatkach schodowych, a kończy na szpitalach gdzie się niechlujnie rodzimy i niechlujnie umieramy. Niechlujstwo jest też w naszym życiu politycznym i w stosunkach między ludźmi. A jak traktuje się u nas chorych, niepełnosprawnych? Dzieje się to w kraju gdzie jest tyle kościołów, które są po brzegi pełne.

Dzisiaj Polska już nie jest ofiarą planety zła. Owszem tu i ówdzie zmienia się w oczach na lepsze, ale tu i ówdzie zmienia się też na gorsze. Rzyga forsą i łapczywością. I nadal jest niechlujna, siusiająca po podwórkach, chępiąca się swoimi krostami, nie współczująca biednym i cierpiącym – jak ją lubić?

Musimy ją lubić, bo należy siebie lubić i akceptować, nawet gdy się ma krosty.

SMECZ

Dezinformacja wczoraj, dziś i jutro

Dezinformacja jest bez wątpienia o wiele starsza niż termin ją opisujący. Już 2500 lat temu chiński filozof i strateg Sun Cy nauczał w „Sztuce wojennej”, jak pokonać wroga bez użycia broni. Wymieniał przy tym pięć kategorii agentów intoksykacji (w językach zachodnich a także po rosyjsku zwanych dosłownie „agentami wpływu”), co świadczy o znaczeniu, jakie przywiązywał do wprowadzenia przeciwnika w błąd.

Termin „dezinformacja” przejęto z języka rosyjskiego; bolszewicy wprowadzili go w latach 20-tych i definiowali jako „akcje intoksykacji prowadzone przez państwa kapitalistyczne przeciwko ZSSR”, co już samo w sobie stanowi klasyczną ilustrację fałszu właściwego komunistycznym manipulacjom

semantycznym. Jednak dopiero w latach 80-tych podjęto na Zachodzie, także poza wąskim kręgiem fachowców, dyskusję nad fenomenem dezinformacji; opinia publiczna uświadomiła sobie jej rozmiar oraz wagę, jaką państwa komunistyczne przywiązywały do systematycznego wprowadzania w błąd ideologicznego wroga. Od tego okresu rosła również ilość fachowych publikacji dotyczących dezinformacji.

Do tego „boomu” przyczyniła się bez wątpienia głośna swego czasu we Francji sprawa Pierre-Charlesa Pathé (syna znanego producenta filmowego). W drugiej połowie lat 70-tych wydawał on w Paryżu dwumiesięcznik *Synthesis*, nad którym redakcyjną pieczę sprawowało w rzeczywistości KGB. Wydawca dysponował wieloma kontaktami w środowisku politycznym i dziennikarskim; pismo, choć publikowane w niewielkim nakładzie i rozprowadzane wyłącznie przez prenumeratę, docierało do 139 senatorów, 299 posłów, 41 dziennikarzy i 14 ambasadów. Pathé działał jako klasyczny agent intoksykacji: artykuły w *Synthesis*, dostarczane przez KGB bądź też pisane przez redaktora pod kontrolą strony sowieckiej, kwestionowały celowość udziału Francji w NATO i sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi a równocześnie umniejszały znaczenie zbrojeń ZSSR i służyły w ten sposób strategicznym celom obozu socjalistycznego. Zdekonspirowany wyłącznie przez nieostrożność swego sowieckiego oficera prowadzącego, Pathé skazany został na pięć lat więzienia, przy czym podstawą wyroku były nie poglądy propagowane przez *Synthesis* (popularne nb. w szerokich kręgach zachodniej opinii publicznej), lecz fakt współpracy z tajną służbą obcego mocarstwa.

Ten klasyczny przypadek opisują wszystkie opracowania fachowe dotyczące dezinformacji. Vladimir Volkoff wykorzystał go ponadto w powieści „Montaż”, tworząc realistyczny obraz literacki praktyk agenta intoksykacji, ze wszystkimi niuansami psychologii tudzież subtelnościami konspiracji i podwójnej, lub potrójnej gry.

Działalność Pathé była jednak tylko drobnym elementem w szerokiej akcji Moskwy, prowadzonej szczególnie efektywnie od roku 1957, kiedy to utworzono Wydział D w I Zarządzie Głównym KGB. Twórcą nowego wydziału był generał Iwan Iwanowicz Agajanc – prototyp Abdurach-

manowa z „Montażu”. Sukcesy Agajanca (a skutki ich – nie ludźmy się – trwają do dziś) sprawiły, że w 1963 r. wydział przekształcono w samodzielny zarząd.

Literatura dotycząca dezinformacji jest bardzo obszerna, lecz w Polsce niemal zupełnie nie znana (pomijam, ma się rozumieć, specjalistów z „organów”, mających na swym koncie błyskotliwe osiągnięcia). Najnowsza książka francuskiego psychologa Guy Durandina¹ uzupełnia listę fachowych publikacji o opracowanie, które analizuje fenomen dezinformacji w ramach teorii komunikacji i psychologii społecznej. Autor (swe wcześniejsze prace poświęcił głównie problemowi kłamstwa i języka propagandy) definiuje dezinformację jako specjalny przypadek kłamstwa intencjonalnego, które nadawca przekazuje odbiorcy w celu oszukania go bądź wprowadzenia w błąd. Właśnie intencja wyodrębnia dezinformację od nie zamierzonego błędu; język angielski odróżnia *misinformation* (czyli błędną informację) od *disinformation*.

Z uwagi na założenia teoretyczne Durandina dezinformacja nabiera w jego ujęciu szerokiego znaczenia: jest nią każda informacja o treści fałszywej, jeżeli tylko ma na celu zmylenie adresata. Tak szeroka definicja utrudnia w pewnym stopniu odróżnienie dezinformacji od innych „działań aktywnych” a także od propagandy (choć w praktyce granice są często płynne), z drugiej jednak strony pomaga uświadomić sobie wszechobecność dezinformacji w epoce multi-mediów i elektronicznych środków komunikacji.

Największą wartość pracy Durandina widziałbym właśnie w przedstawieniu nowej roli dezinformacji. Dotychczas była ona głównie elementem taktyki wojennej; tak ujmował ją Sun Cy, wykładając swoją teorię postępu. Podobnie Grecy dezinformowali Trojan, przekonując ich, że koń jest darem Ateny, dzięki czemu mógł on znaleźć się wewnątrz murów miasta. Kiedy Hitler przygotowywał się do wojny przeciwko ZSSR, Heydrich zorganizował akcję dezinformacyjną używając fałszywych dokumentów, aby przekonać Stalina o istnieniu spisku w sowieckim sztabie generalnym, co

1. L'information, la désinformation et la réalité. Presses Universitaires de France, Paris 1993.

spowodowało czystki w Armii Czerwonej w latach 37-38. Alianci, planując lądowanie na Sycylii, wrzucili do morza zwłoki brytyjskiego oficera zaopatrzone w sfigowane materiały, z których wynikało, że przygotowują atak na wybrzeża Grecji; Niemcy przenieśli swoje siły, ułatwiając sukces wojsk sprzymierzonych.

Jednak dopiero środki masowego przekazu stworzyły nowe jakościowo możliwości stosowania podstępów i intoksykacji. Jednym z pionierów „czarnej propagandy”, która ukrywając rzeczywiste źródło pochodzenia informacji czyni ją wiarygodną, był brytyjski oficer Sefton Delmer. W okresie II wojny światowej uruchomił on kilka radiostacji, które symulowały lojalne wobec Hitlera rozgłoszenie niemieckie. Delmer łączył wiadomości prawdziwe z fałszywymi, denuncjując np. korupcję i moralny rozkład elit NSDAP, które „rządzą krajem w imieniu Führera”. Stosował też propagandę defetystyczną, rozpowszechniając fałszywe informacje na temat epidemii chorób zakaźnych w rejonach, do których przenoszono ludność cywilną ze zniszczonych nalotami miast niemieckich. Dla uwiarygodnienia swych audycji posługiwał się autentycznymi sygnałami muzycznymi niemieckich rozgłośni a nawet nadawał piosenki nagrane dla jego programów przez Marlenę Dietrich, którą przekonano, że nagrywa dla „Głosu Ameryki”.

Po roku 1945 sposoby działań wojennych uległy zasadniczej zmianie. Łączyło się to z długo nie dostrzeganym na Zachodzie faktem, że Sowieci prowadzili przeciwko niemu wojnę ofensywną, wykorzystując – oprócz konwencjonalnych konfliktów w tzw. Trzecim Świecie – bogaty repertuar środków należących do „działań aktywnych” (*aktivnyje mieroprijatija*). Również ten termin jest sowieckiej proweniencji. Pojawia się po raz pierwszy już w roku 1919, kiedy na tajnym spotkaniu w Szanghaju bolszewicy planowali m.in. „działania aktywne” w Europie, Ameryce, Chinach i w Japonii². Dezinformacja w szerokim znaczeniu (intoksykacja, czarna propaganda, fałszerstwa, wywieranie wpływu) stanowi najistotniejszą część działań aktywnych, ale obejmują one

2. por. First Use of The Term „Active Measures”. *Disinformation* No. 3, Summer 1986, s. 9

także szereg innych środków: od zakładania czy sterowania organizacjami masowymi i infiltracji partii politycznych, po akty terrorystyczne z fizyczną likwidacją przeciwników politycznych włącznie.

Działalność dezinformacyjna prowadzona jest najczęściej za pośrednictwem mass mediów a jej adresatem jest opinia publiczna. Sama możliwość dezinformacji powstaje wówczas, gdy między podmiotem a postrzeganą przezeń rzeczywistością pojawia się pośrednik – medium. W tej dziedzinie największe sukcesy osiągnęli Sowieci i ich ideologiczni sojusznicy, którzy wcale nie musieli być sterowanymi z Moskwy agentami.

Szereg sowieckich akcji dezinformacyjnych udało się zdekonspirować i opisać; na zlecenie Kongresu USA amerykańska agencja informacyjna (USIA) publikowała listy wykrytych sowieckich działań aktywnych, systematyzując je według poszczególnych kategorii (dezinformacja w środkach przekazu, fałszerstwa, działalność kierowanych bądź kontrolowanych przez Moskwę organizacji i ugrupowań). W wypadku konkretnych akcji ustalenie celu dezinformacji jest stosunkowo proste. Wielokrotnie opisywano prowadzoną z rozmachem dezinformację w sprawie wirusa AIDS: miał on zostać wyhodowany w tajnym amerykańskim laboratorium w Fort Detrich i celowo rozpowszechniony. Tę „rewelację” opublikował w 1983 r. indyjski *Patriot* (w rzeczywistości sterowany przez KGB) a w następnych latach powtórzyły ją media w 80 krajach. Celem było zdyskredytowanie Stanów Zjednoczonych i stymulacja nastrojów antyamerykańskich. Podobne założenia przyświecały kampaniom dezinformacyjnym w sprawie „broni etnicznej” (tajnej amerykańskiej broni biologicznej, która miała zabijać wyłącznie rasy kolorowe), czy tzw. *baby parts* (Amerykanie mieli adoptować noworodki w Ameryce Łacińskiej, aby uzyskać w ten sposób organy do przeszczepów dla chorych dzieci w Stanach Zjednoczonych). Najciekawszy w tych akcjach był niezwykle skuteczny sposób propagowania fałszywej informacji, ukazujący sprawność i rozmiar sowieckiej sieci dezinformacyjnej.

Dla badacza dezinformacji bardziej zajmujący jest jej szczególny rodzaj, a mianowicie dezinformacja strategiczna. Durandin pomija ją w swej pracy, koncentrując swą analizę na stosunku pomiędzy informacją a rzeczywistością, na treści

kłamstwa i jego intencji oraz na relacji pomiędzy nadawcą i odbiorcą dezinformacji. Warto jednak wspomnieć w tym miejscu tę specjalną i obszerną dziedzinę, zwłaszcza, że dezinformacja strategiczna odgrywa obecnie w polityce międzynarodowej istotną rolę i nie jest wyłączną domeną przywódców Kremla. Jest przy tym niejako „królową dezinformacji”, w praktyce wykorzystuje bowiem wszystkie sposoby manipulowania informacją, wprowadzania przeciwnika w błąd i wpływania na opinię publiczną.

Strategiczne cele sowieckiej dezinformacji przedstawił zbiegły na Zachód rezydent KGB w Helsinkach Anatolij Golicyn, w książce „New Lies for Old”, wydanej – po sporych kłopotach – w 1984 r. w Stanach Zjednoczonych. Autor twierdził, że już pod koniec lat 50-tych KGB, kierowane wówczas przez Szelepiną, wypracowało długofalowy plan oszukania Zachodu, aby uzyskać gospodarczą pomoc i rozszerzyć wpływy sowieckie w Europie Zachodniej. Istotą planu było przeprowadzenie spektakularnej, lecz kontrolowanej liberalizacji i przyjęcie przez reżim sowiecki atrybutów demokracji zachodniego typu.

Lektura książki Golicyna jest w istocie fascynująca, bowiem w ukończonych już w 1983 r. pracy przepowiedział on ze zdumiewającą dokładnością fakty, które później – za Gorbaczowa – rzeczywiście miały miejsce: władzę obejmuje młody, liberalny sekretarz i wprowadza sensacyjne zmiany – partia w ZSSR rezygnuje z kierowniczej roli, powstają kluby i organizacje polityczne, następuje rehabilitacja dysydentów z Sacharowem na czele, który uzyskuje możliwość udziału w oficjalnym życiu politycznym, do ojczyzny wracają wygnani pisarze i artyści, sowieccy obywatele mogą wyjeżdżać na Zachód, reformie podlega KGB i cenzura. Również prognozy Golicyna dotyczące spraw międzynarodowych okazały się frapująco trafne: ZSSR wycofuje się z Afganistanu, pada berliński mur, Dubček powraca na scenę polityczną w Czechosłowacji, w Polsce „Solidarność” wchodzi w skład koalicyjnego rządu popieranego przez Kościół, następuje *super-détente* w skali globalnej...

Zarówno trafność przepowiedni Golicyna jak i fakt, że korzystał on z sowieckich źródeł, pozwalają przypuszczać, iż tajny plan rzeczywiście istniał. Jednak „New Lies for Old”

początkowo nie dostrzeżono, dopiero w latach rozkwitu gorbaczowizmu na pracę Golicyna zwróciło uwagę wielu autorów. Alain Besançon zatytułował swój artykuł o jego książce „Plan oszukania Zachodu”³. Ale, jak się zdaje, sowiecką dezinformację wzięto w świecie zachodnim świadomie za dobrą monetę, co łączyło się z zasadniczym przesunięciem ciężaru konfliktu strategicznego z osi Wschód–Zachód na kierunek Północ–Południe. Można przypuszczać, że było to związane z nieuchronnie nadciągającym największym po wojnie kryzysem gospodarki kapitalistycznej; symptomy zbliżającej się recesji znane były w kręgach fachowców od połowy lat 80-tych, choć z przyczyn politycznych blokowano wiadomości na ten temat. Okresy kryzysów ekonomicznych z reguły stwarzają najbardziej korzystne warunki do wzmocnienia zakulisowych mechanizmów sterowania gospodarką i polityką światową; główną rolę odgrywa przy tym najsilniejsze ekonomicznie państwo świata. Podobnie było pod koniec lat 20-tych; bez większej przesady można twierdzić, że światowym systemem gospodarczym kierowali wówczas Norman i Strong⁴. Jednak rzeczywiste decyzje i ich autorzy pozostają w cieniu, natomiast *ex post* fałszuje się historię i upowszechnia stworzone na użytek polityczny legendy. Także w obecnym okresie „rewolucyjnych zmian” w obozie sowieckim, „końca historii” i „Nowego Światowego Ładu” ukryte mechanizmy polityczne opieszale wychodzą na jaw, produkuje się natomiast, z prędkością charakterystyczną dla wieku elektroniki, mity i fikcje, rozpowszechniane następnie przez środki masowego przekazu.

Dezinformacja strategiczna polega w istocie na ukryciu rzeczywistych celów i mechanizmów politycznych przy wykorzystaniu możliwości, jakie stwarzają mass media. Niedawno ujawniono opracowany w połowie lat 80-tych w kołach zbliżonych do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego plan zmian w Południowej

3. *Le Figaro*, 26.12.1989.

4. por. P. Johnson: *Historia świata*. Londyn 1989; s. 255n.

Montagu Norman był w latach 20-tych prezesem Bank of England, zaś Benjamin Strong prezesem nowojorskiego oddziału Federalnego Banku Rezerwy.

Afryce, który już wówczas przewidywał objęcie władzy przez Mandelę a także – po okresie bojkotu – ponowne wprowadzenie RPA w obieg gospodarki światowej. W lipcu 1985 r. Chase Manhattan Bank wstrzymał wszystkie pożyczki i kredyty dla Afryki Południowej, wywołując międzynarodowy kryzys zaufania wobec Pretorii i równocześnie inspirując falę protestów przeciwko więzieniu Nelsona Mandeli. Podstawą planu było 500-stronicowe opracowanie grupy ekspertów, wydane w minimalnym nakładzie przez Uniwersytet Kalifornijski, które nakreślało m.in. model przyszłych wyborów, zapewniających sukces Afrykańskiego Kongresu Narodowego⁵. Obecny prezydent RPA, którego losem uprzednio nikt się specjalnie nie interesował (Mandela odbywał wyrok za działalność wywrotową), powiedział nawet w jednym z wywiadów, że nigdy nie spodziewał się takiego poparcia ze strony bankierów⁶.

Pouczającym przykładem dezinformacji strategicznej jest historia amerykańskiej wojny przeciwko Irakowi; dopiero po zakończeniu interwencji wyszło na jaw szereg ambarasujących szczegółów dotyczących roli Stanów Zjednoczonych w zaostrażaniu konfliktu w Zatoce Perskiej. Skutecznie maskowano rzeczywiste motywy polityki amerykańskiej – sprawę kontroli cen ropy naftowej i korzyści ekonomiczne wynikające z samej wojny (niecelowe w sensie militarnym rujnowanie Kuwejtu dało następnie firmom amerykańskim ok. 80% zleceń na odbudowę zniszczeń), propagując szlachetną wersję o wyzwoleniu ludu kuwejckiego spod irackiej okupacji, przy czym polityka Saddama Husseina ułatwiała propagandową manipulację. Wojna, rzecz jasna prowadzona na obcym terytorium, jest jednym z najskuteczniejszych bodźców rozwoju ekonomicznego (wystarczy przyrzeć się wskaźnikom wzrostu gospodarczego USA po przystąpieniu do wojny w 1942 r.)⁷.

5. por. B. Bandulet: Silberstreifen am Horizont? *Schweizerzeitung*, 13.5.1994, s. 5; A. Sampson: Can Mandela Deliver? *Newsweek*, 9.5.1994, s. 4; D. et P. de Villemarest: Afrique du Sud: Mandela, produit d'une révolution programmée. *Monde et Vie*, 19.5.1994, s. 7.

6. por. A. Sampson, dz. cyt. przyp. 5.

7. por. P. Johnson, dz. cyt. przyp. 4, s. 432n.

Dezinformacja strategiczna jest zawsze zwrócona ku przyszłości, natomiast praktyczne metody fałszowania informacji lub nadania jej tendencyjnej wymowy wykorzystują materiał z przeszłości lub teraźniejszości. Roger Mucchielli w godnej polecenia pracy „La Subversion” przedstawił dziesięć głównych technik dezinformacji (książka, wydana w 1971 r., powstała w wyniku obserwacji wydarzeń we Francji zapoczątkowanych rozruchami z maja 68 r.). Autor nie używa jednak terminu „dezinformacja”, ten bowiem – jak wspominałem – wszedł w użycie dopiero w latach 80-tych. W „Montażu” Volkoffa te same techniki dezinformacyjne wykłada kandydatowi na agenta – Aleksandrowi Psarowi – jego oficer prowadzący. Skuteczność wszelkich metod zależy jednak od możliwości wyzyskania dla własnych celów wiarygodnego w oczach odbiorcy źródła informacji. Największe sukcesy dezinformacji komunistycznej polegały na wykorzystaniu zachodnich mediów, także do manipulowania opinią publiczną w obozie sowieckim. „Wrogi” środki przekazu, atakowane poprzez oficjalną propagandę, cieszyły się bowiem – na zasadzie zrozumiącej reakcji psychologicznej – wiarygodnością. Dostarczały one poza tym, i to w nieporównywalnie większej ilości, wiadomości prawdziwych, zakazanych przez cenzurę komunistyczną. Ale dobry dezinformator wie, jak bezcenna jest jedna choćby informacja fałszywa, nawet jeśli pojawia się w kontekście wiadomości autentycznych.

Historia Radia Wolna Europa i Radia Swoboda dostarcza wielu ciekawych przykładów dezinformacji, które pozwalają zrozumieć jej poszczególne techniki a także dostrzec ważną różnicę między białą a czarną propagandą. Bez wątpienia monachijska rozgłośnia była obiektem szczególnego zainteresowania komunistycznych departamentów dezinformacji; być może historycy dotrą kiedyś do dokumentów, które pozwolą ujawnić kulisy poszczególnych operacji. W archiwach KGB w Wilnie znaleziono raporty na temat wykorzystywania programów Radia Swoboda w celu propagowania sowieckiej dezinformacji⁸. Było to możliwe zarówno dzięki infiltracji rozgłośni przez funkcjonariuszy

8. inf. F. Thom.

komunistycznych „organów”⁹, jak również poprzez dostarczanie fałszywych bądź tendencyjnych materiałów, które pojawiały się następnie w audycjach, nabierając w ten sposób walorów wiarygodności (w klasyfikacji Durandina jest to „dezinformacja poprzez źródło”). W czeskich programach RWE czytano teksty z „samizdatu”, który prawdopodobnie produkowano w praskim „departamencie D”, ignorowano natomiast materiały pochodzące z kręgów podziemnej opozycji katolickiej¹⁰.

Szczególnie interesujący był przypadek Olega Tumanowa, który przez 20 lat pracował w Sekcji Rosyjskiej Radia Swoboda, dochodząc do stanowiska redaktora prowadzącego. Najciekawszy był sposób kamuflażu, jaki KGB zastosowało dla uwiarygodnienia agenta. Tumanow „zbiegł” z sowieckiego okrętu wojennego na Morzu Śródziemnym i przedostał się poprzez Libię, która była wówczas – w latach 60-tych – prozachodnim królestwem, do RFN. W ZSSR skazano go *in absentia* na karę śmierci za rzekomą zdradę. Sam zatem wyreżyserowany życiorys Tumanowa był dezinformacyjnym montażem. Warto dodać, że już w okresie działalności agenta w Monachium wielu jego kolegów ze „Swobody” było przekonanych, iż wyrok jest tylko kamuflażem a Tumanow pracuje w rzeczywistości dla KGB. Podejrzenia te opierały się głównie na linii politycznej jaką propagował on w swoich programach, ale widocznie nie wzbudzała ona zastrzeżeń ze strony kierownictwa rozgłośni.

Podany przykład pochodzi z czasów konfliktu Wschód–Zachód, okresu, jak się zdaje, minionego. Dziś zastąpiła go demonstracyjna przyjaźń, a towarzyszy jej nawet przejęcie manier, właściwych uprzednio przywódcom „bratnich państw”, którzy z lubością wpijali się w usta aktualnego sowieckiego genseka. Okres „zimnej wojny” ustąpił miejsca fazie – by użyć określenia Zinowiewa – wielkiego całowania. Ze szczególnym upodobaniem rzuca się w objęcia swych przyjaciół z Kremla niemiecki kanclerz, przy

9. W 1983 r. spośród 45 pracowników Sekcji Rumuńskiej RWE 11 wywodziło się z „Securitate” (por. A. Suga: *Free Europe. Deutsche Tagespost*, 17.10.1987).

10. por. Prag nimmt Einfluss auf Sender in München. *Deutsche Tagespost*, 8.10.1987.

czym ostentacyjna zażyłość – np. wspólne kąpiele Kohla i Jelcyna w saunie – nierzadko przekracza granice dobrego smaku. Z Gorbaczowem całował się emerytowany prezydent USA Ronald Reagan a w klasycznym breżniewowskim stylu zdążył jeszcze wycałować innego amerykańskiego eks-prezydenta – Cartera – Kim Ir Sen.

Przestały wprawdzie ukazywać się fachowe czasopisma, analizujące sowieckie „działania aktywne”, sama dezinformacja jednak nie zniknęła; wprost przeciwnie – poddane konwergencji zachodni i wschodni system polityczny ewoluują w kierunku medialnej telekracji. Transformacja ZSSR opierała się však na szczególnie aktywnej roli kontrolowanych środków przekazu (*glasnost*), wspieranych nb. przez media zachodnie; Françoise Thom nie bez podstaw klasyfikuje ten okres jako nową technikę dezinformacji¹¹.

Samą istotą zachodniego systemu politycznego, imitowanego obecnie w państwach byłego obozu sowieckiego, są środki przekazu. Cechą cywilizacji zachodniej (zwanej też „atlantycką”, co – nie tylko z powodów terminologicznych – można przeciwstawić cywilizacji chrześcijańskiej), jest szczególnie sytuacja epistemologiczna jednostki: proces postrzegania rzeczywistości dokonuje się poprzez media i jest to zjawisko tak naturalne, że w życiu codziennym nikt niemal nie zdaje sobie sprawy, iż to, co ogląda na ekranie telewizora, nie jest rzeczywistością, lecz jedynie jej zdeformowanym obrazem. Już sam stan wiedzy o wydarzeniach w świecie uzależniony jest od mediów; opinia publiczna nie wie na dobrą sprawę nic o trwającej od siedmiu lat wojnie w górach Nubii w Sudanie, której okrucieństwa niewiele tylko ustępują niedawnym masakrom w Ruandzie; do Nubii po prostu nie docierają dziennikarze.

Wyborca głosuje *de facto* na obraz polityka, a nie na człowieka, bowiem wie o nim z reguły tylko tyle, ile przekazały mu media. Sposób popularyzowania programów politycznych – zauważa Durandin – przypomina komercyjną reklamę. Stąd też w kampaniach wyborczych w Stanach Zjednoczonych, które uchodzić mogą za wzór demokracji w

11. por. La désinformation. *Commentaire*, nr 40, hiver 1987-1988, s. 679n.

jej obecnej postaci, ogromną rolę odgrywają właśnie sztaby specjalistów od mediatyzacji. Możliwość skorzystania z ich usług zależy z kolei od finansowej kondycji kandydata; przypomnieć wystarczy przypadek Rossa Perrota. Tzw. „skandale polityczne” polegają właśnie na nagłośnieniu faktów, które mają kompromitować uczestnika gry politycznej; to, czy fakty te odpowiadają prawdzie, czy nie, jest sprawą drugorzędną, decydująca jest ich mediatyzacja. Durandin przypomina akcje dezinformacyjne, które organizował sztab wyborczy Nixona w czasie kampanii prezydenckiej 1972 r., aby skompromitować najpoważniejszego konkurenta z partii demokratycznej – senatora Muskiego: w regionach szczególnie niechętnych integracji rasowej, którą postulował ten ostatni, tworzono fikcyjne „Komitety Matek na rzecz Muskiego”, propagujące hasła typu „*help Muskie to develop busing*” (chodziło o zniesienie separacji rasowej w środkach komunikacji publicznej i w autobusach wożących dzieci do szkół, za czym opowiadał się Muskie). Przed jego domem biegła półnaga dziewczyna (opłacona przez Donalda Sagretti ze sztabu Nixona), wołając: „Senatorze! Kocham cię!”. Po serii podobnych akcji Muskie wycofał swoją kandydaturę.

Durandin wykazuje, że w ostatnich latach propaganda polityczna upodabnia się do reklamy stosowanej w handlu. W obu wypadkach chodzi o wywarcie wpływu na upodobania i decyzje wyborcy czy konsumenta. Zarówno w reklamie jak i w propagandzie politycznej stosuje się badania opinii publicznej, w celu skutecznego przedstawienia produktu lub kandydata. Zachodnie agencje specjalizujące się w *public relations* działają z równym powodzeniem w obu dziedzinach. W 1986 r. ówczesny minister spraw wewnętrznych ZSSR Szewardnadze zlecił amerykańskiej agencji reklamowej Hill & Knowlton sporządzenie opracowania w sprawie odpowiedniego przedstawienia opinii międzynarodowej katastrofy w Czarnobylu. Wspólnota Europejska zaangażowała w 1991 r. brytyjską agencję Saatchi & Saatchi w celu przygotowania akcji propagandowej, która miała skłonić uchodźców wietnamskich (*boat people*), przebywających w obozach w Hongkongu, do powrotu do ojczyzny; zasypywano ich ulotkami reklamującymi osiągnięcia Wietnamu, z którego uciekli z narażeniem życia.

Dezinformacja – do niedawna głównie ofensywna broń w rękach sowieckich strategów – staje się obecnie jednym z podstawowych instrumentów polityki, ewoluującej w stronę inżynierii społecznej. Przykłady dezinformacji z prasy francuskiej z okresu debaty nad traktatem z Maastrichtu, którymi Durandin ilustruje swe tezy, można by kontynuować niemal w nieskończoność. Już samo powszechnie przyjęte w państwach UE zawężenie pozytywnie waloryzowanego pojęcia „Europejczyk” do zwolenników traktatu z Maastrichtu, stanowi klasyczny przykład językowej manipulacji.

Jeżeli wiek XIX był okresem rewolucji przemysłowej, to obecne stulecie jest bez wątpienia wiekiem informacji, ale i wiekiem kłamstwa – dodaje Durandin. Człowiek zagubiony w informacyjnej magmie zatracza stopniowo transcendentny wymiar swej egzystencji. Obrazy wojen, masakr i klęsk żywiołowych, oglądane na ekranie telewizora pomiędzy reklamą piwa a transmisją z meczu futbolowego, sprowadzają tragedie czy problem śmierci do wymiaru informacji, zarejestrowanej z taką samą uwagą jak skonsumowanie hamburgera. Szybkość audiowizualnej komunikacji, jej wszechobecność i podatność na manipulacje tworzą pseudo-rzeczywistość widzianą przez konsumenta mediów jako świat realny. Rozwój technologii komunikacji, podporządkowany głównie względom komercyjnym, już w tej chwili stwarza możliwość iluzji niemal doskonałej. Komputerowe techniki symulacyjne pozwalają na pokazanie na ekranie ruchomego obrazu, który naprawdę jest całkowitą fikcją, nie różni się ona jednak niczym od rzeczywistości sfilmowanej przy użyciu konwencjonalnych środków¹².

Książka Durandina, choć zachowuje formę naukowego wykładu, jest również ostrzeżeniem przed niebezpieczeństwami, które w dzisiejszych czasach przynosi skomercjalizowanie informacji i mediatyzacja polityki, otwierając nieograniczoną niemal możliwość manipulowania ludzką świadomością. W tym sensie dezinformacja wkracza dopiero w fazę rozwoju a w konsumpcyjno-hedonistycznym modelu

12. por. G. Bijl: *Reality in Non-Reality, Non-Reality in Reality*. Referat wygłoszony w ramach sympozjum „Illusion und Simulation”, Monachium, 18-19.3.1994.

społeczeństwa masowego tworzona przez media pseudo-rzeczywistość opanowuje stopniowo coraz większe obszary duchowej aktywności człowieka.

W zrealizowanym w 1976 r. filmie „Network” Sidney Lumet przedstawił destruktywną siłę medialnego oddziaływania: gwiazdor telewizyjnych *talk-shows* – Howard Beale jest w stanie sterować z ekranu zachowaniem milionów ludzi. Ale wchodząc niepostrzeżenie w konflikt z interesami politycznymi i finansowymi sieci telewizyjnej, wydaje na siebie wyrok, i to najsurowszy: jej właściciele postanawiają usunąć zagrożenie w drodze zamachu, płatni „killerzy” zabijają Beale’a w czasie emitowanego na żywo programu a scena mordu staje się jego najbardziej spektakularnym występem.

Również film Lumeta był ostrzeżeniem, ale okres, który minął od jego realizacji dowodzi, że bezskutecznym.

VIII 94 – I 95

Tomasz MIANOWICZ

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja

Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Sprawy i troski

Polska polityka narodowościowa w latach 1989-1994

W przemiany demokratyczne zapoczątkowane wyborami z 4 czerwca 1989 roku Polska wchodziła z negatywnym bagażem jeśli idzie o politykę narodowościową. Jedynym bowiem pomysłem PRL-owskich decydentów w tej dziedzinie była asymilacja mniejszości narodowych. Asymilacja, która miała dokonywać się pod mniejszym lub większym (w zależności od sytuacji politycznej) naciskiem państwa.

Taki stan rzeczy wymusił w ciągu kilku pierwszych miesięcy funkcjonowania rządu Tadeusza Mazowieckiego wypracowanie zasad cywilizowanej polityki narodowościowej.

Jej podwaliną stało się sformułowanie, że Polska jest ojczyzną mniejszości narodowych, które to sformułowanie znalazło się w sejmowym *exposé* Mazowieckiego. Stwierdzenie to w praktyce oznaczało, że członkowie wspólnot mniejszościowych są równoprawnymi obywatelami naszego kraju. W związku z tym ich prawa pod żadnym pozorem nie mogą być uzależnione od takich lub innych poczynań państw obcych. Było to równoznaczne z wyrzeczeniem się zasady wzajemności w polityce narodowościowej. I niewątpliwie była to zasada podstawowa. Jej konsekwencją było podmiotowe a nie przedmiotowe traktowanie mniejszości narodowych, które przestało traktować jako zakładników polskiej polityki zagranicznej.

W tej sytuacji konieczne było zredefiniowanie roli państwa, które od tej chwili przestawało być kontrolerem środowisk mniejszościowych. Dlatego też przesunięto sprawy mniejszości narodowych z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych do Ministerstwa Kultury i Sztuki (gdzie z czasem

powstało Biuro do Spraw Mniejszości Narodowych). Decyzja o przesunięciu była odpowiedzią na wcześniejsze postulaty, które podkreślały, że to, co różni społeczności mniejszościowe od polskiej większości, zawiera się w kulturze, języku, tradycji. Niemniej przekazanie tych spraw do Ministerstwa Kultury miało również znaczenie symboliczne. Nowa władza podkreślała w ten sposób, że mniejszości narodowe będą traktowane jako wartość sama w sobie, jako ta część rzeczywistości, która wnosi do wspólnego skarbcza kultury wyjątkowe wartości. Państwo w miejsce wyżej wzmiankowanego kontrolera miało stać się mecenasem stowarzyszeń narodowościowych.

W 1989 roku wychodzono z założenia, że zachodzące zmiany polityczne o tyle będą trwałe, o ile uda się zbudować społeczeństwo obywatelskie, społeczeństwo niekonkurencyjne zainteresowane w budowaniu struktur demokratycznych. Nie można zaś budować społeczeństwa obywatelskiego nie wyzwalając się – po obu stronach – z ksenofobii czy etnocentryzmu. Stąd też konieczność wciągania mniejszości w zachodzące przemiany społeczne jak też wysiłek większości na rzecz szerzenia postaw tolerancji.

Polityka zaproponowana przez rząd Mazowieckiego wychodziła wprawdzie naprzeciw tendencjom w europejskiej dyskusji na temat miejsca i praw mniejszości narodowych we współczesnym świecie (szczególnie dyskusjom toczącym się na forum KBWE i w Radzie Europy), jednak, i to trzeba bardzo wyraźnie podkreślić, jej zasadniczą podstawą były demokratyczne wartości, na których opierano budowę systemu politycznego III Rzeczypospolitej.

Zasady, o których mowa wyżej, były najbardziej ogólnymi drogowskazami w polityce narodowościowej. Codzienność zaś przynosiła całe mnóstwo bieżących problemów, które trzeba było pilnie rozwiązywać.

Jedną z podstawowych spraw dla środowisk mniejszościowych była kwestia finansowania stowarzyszeń narodowościowych. Sprawa ta była tym pilniejsza, że w ramach zmian systemu minister finansów wydał zarządzenie znoszące dotacje podmiotowe dla wszystkich stowarzyszeń ówczynie działających. Niemal z dnia na dzień stowarzyszenia znalazły się w krytycznej sytuacji, wiele z nich stanęło w obliczu samolikwidacji. W takiej sytuacji znalazły się również stowarzyszenia narodowościowe. Dramatyzm ich położenia pogłębiał fakt, że były one od szeregu lat niedoinwestowane, a co za tym idzie nie posiadały żadnych rezerw, które

umożliwiłyby im przetrwanie trudnego czasu. Rozwiązaniem tego problemu miały być dotacje docelowe, tzn. dotacje na konkretne przedsięwzięcia społeczno-kulturalne.

Dodatkowo Sejm doceniając wagę stowarzyszeń w procesie transformacji ustrojowej uchwalił na początku 1990 roku przyznanie im specjalnego dofinansowania z budżetu państwa w wysokości 100 miliardów złotych. Ze środków tych stowarzyszenia narodowościowe otrzymały 16 miliardów. Pieniądze te miały umożliwić poczynienie inwestycji, które w przyszłości przynosiłyby stały dochód, a co za tym idzie miały uniezależnić stowarzyszenia narodowościowe od bieżącej dotacji budżetowej.

W związku ze sponsorowaniem działalności kulturalnej stowarzyszeń sprawą podstawową było ustalenie priorytetów w tej dziedzinie.

Po dyskusjach i konsultacjach ze stowarzyszeniami ustalono, że sprawą najważniejszą jest finansowanie i dofinansowywanie czasopism narodowościowych, gdyż czasopisma są najbardziej skutecznym sposobem kontaktowania się ze słowem ojczystym efektywnie konsolidując społeczności mniejszościowe. (Dofinansowywanie czasopism narodowościowych było jednym ze sposobów zagwarantowania dostępu tych społeczności do środków masowego przekazu).

Dzięki priorytetowemu potraktowaniu czasopiśmiennictwa żadne z wówczas istniejących pism narodowościowych nie upadło. Niektóre zwiększyły częstotliwość ukazywania się (np. litewska *Ausra*, która z nieregularnego kwartalnika stała się dwutygodnikiem). Powstało także kilka nowych periodyków, wśród nich dwa w języku niemieckim, *Czasopis* w języku białoruskim i polskim, *Nad Buhom i Narwoju* w języku ukraińskim i polskim, *Lituanika* pismo litewskie w języku polskim, pismo dla Romów *Rom-Po-Drom* oraz jedno z najciekawszych pism o charakterze popularnonaukowym pt. *Białoruskie Zeszyty Historyczne*.

Wspieranie czasopiśmiennictwa związane było ściśle ze wsparciem działalności wydawniczej stowarzyszeń narodowościowych. Ta sprawa była tym pilniejsza, że zaniedbania tu były wręcz rażące. Priorytet zaowocował wydaniem pierwszych, po wojnie, książek w języku litewskim. Ożywiła się działalność wydawnicza Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża”. Światło dzienne ujrzały prace poświęcone Czechom i Słowakom w Polsce. Ukraińcy wydali szereg książek, które prezentowały ukraińską literaturę piękną

oraz omawiały sytuację i historię społeczności ukraińskiej w Polsce.

Drugą pozycją na liście finansowych priorytetów było sponsorowanie tradycyjnych imprez kulturalnych mniejszości narodowych. (Niewątpliwym sukcesem ówczesnej polityki był fakt, że kalendarz imprez narodowościowych przez ostatnie lata powiększył się w stosunku do stanu istniejącego przed 1989 rokiem.)

Zupełnie nowym rodzajem działań było wprowadzenie programu na rzecz tolerancji. W ramach tego programu wspierano kulturalne inicjatywy polsko-„mniejszościowe”, bądź takie, które popularyzowały wiedzę o mniejszościach narodowych. Najbardziej udanymi inicjatywami tego typu są: działalność Wspólnoty Kulturowej „Borussia” z Olsztyna, środowiska skupionego wokół lubelskich *Kresów*, Instytutu Południowo-Wschodniego „Przemyśl”, Fundacji św. Włodzimierza z Krakowa, Społecznej Szkoły „TAK” w Opolu, Towarzystwa Pomost z Warszawy czy studentów skupionych wokół polsko-białoruskiego pisma *Dyskusja*.

Równolegle do wspierania działalności kulturalnej trwały prace nad dostosowaniem polskiego systemu oświaty do wymagań międzynarodowych jeśli idzie o kształcenie dzieci ze środowisk narodowościowych. I chyba w tej dziedzinie, tak pod względem prawnym jak i realnie, zrobiono najwięcej. Ustawa o Systemie Oświaty z 1991 roku oraz Rozporządzenie Ministra Edukacji Narodowej w sprawie organizacji kształcenia umożliwiającego podtrzymanie poczucia tożsamości narodowej, etnicznej i językowej uczniów należących do mniejszości narodowych z 24 marca 1992 roku pozostają w pełni w zgodzie z rekomendacją nr 192 Rady Europy dotyczącą języków mniejszościowych i regionalnych. Ustawa o Systemie Oświaty po raz pierwszy po wojnie, na tym poziomie, zagwarantowała istnienie szkolnictwa dla mniejszości narodowych.

Efektom działania ustawy było nie tylko powstanie nowych szkół ukraińskich czy litewskich ale również organizowanie od zera nauczania języka niemieckiego na Opolszczyźnie (do 1989 r. istniał nieformalny zakaz nauczania tam języka niemieckiego), czy wreszcie powstanie pierwszych placówek szkolnych z językiem kaszubskim. Z wyjątkiem Białorusinów, w przypadku wszystkich mniejszości nastąpił wzrost liczby dzieci korzystających z nauki języka ojczystego (choć w przypadku Białorusinów coś się zaczyna ostatnio

zmieniać: w jednym z liceów białostockich rozpoczęto naukę języka białoruskiego, a działacze białoruscy są bardzo zaangażowani w prace na rzecz powołania przedszkola białoruskiego).

Duże znaczenie dla środowisk narodowościowych miało poszerzenie ich dostępu do środków społecznego przekazu, przede wszystkim radia. I tak Białorusini mają obecnie codzienną audycję radiową w Białymstoku (poprzednio taka audycja była raz w tygodniu). Z Białegostoku emituje się również audycję w języku litewskim. Audycje ukraińskie nadawane są w rozgłośniach radiowych w Rzeszowie, Białymstoku, Olsztynie, Koszalinie i Szczecinie. W Katowicach i Opolu emituje się audycje niemieckie. Po raz pierwszy pojawiły się próby nadawania programów narodowościowych w telewizji (mini-audycja litewska oraz program niemiecki w telewizji katowickiej. Ten ostatni jest sponzorowany przez RFN).

Ustawa o Radiofonii i Telewizji z 1993 roku w art. 21 pkt 9 gwarantuje uwzględnienie potrzeb mniejszości narodowych i grup etnicznych. Niestety nie zmienia to faktu, że telewizja publiczna ciągle w niedostatecznym stopniu uwzględnia potrzeby samych mniejszości narodowych jak też nie prowadzi żadnych systematycznych działań na rzecz tolerancji etnicznej.

Dla pełniejszej realizacji praw politycznych przez mniejszości narodowe sprawą bardzo ważną były preferencje dla stowarzyszeń narodowościowych w kolejnych ordynacjach wyborczych. Preferencje te likwidowały dla stowarzyszeń narodowościowych 5-procentowy próg obowiązujący polskie partie polityczne. Dzięki tej uldze są obecni w kolejnych parlamentach posłowie z ramienia mniejszości niemieckiej.

Jak w większości spraw związanych ze zmianami ustrojowymi, tak i w polityce narodowościowej trwał wyścig tego co ważne z tym co pilne. Ważne było zbudowanie nowego modelu polityki narodowościowej, pilny zaś był cały szereg problemów szczegółowych, które niejednokrotnie, niestety, przeradzały się w mniejsze lub większe konflikty. Tak na przykład powołanie każdej nowej szkoły dla mniejszości poprzedzone było bardzo długimi negocjacjami, aby społeczności lokalne akceptowały ten fakt i nie uważały go za narzucany przez Warszawę.

W ciągu pięciu lat rządów solidarnościowych doszło do trzech poważnych konfliktów o charakterze narodowosio-

wym lub religijno-narodowościowym. Były to konflikty: o klasztor w Supraślu (o jego przekazanie wystąpili prawosławni co wywołało wrogą reakcję Kościoła katolickiego), o kościół św. Teresy czyli była katedrę grekokatolicką w Przemyślu (grupa nacjonalistycznie nastawionych działaczy polskich sprzeciwiła się przekazaniu świątyni ukraińskim grekokatolikom pomimo wyraźnego życzenia Ojca św.) oraz tzw. konflikt pomnikowy na Śląsku Opolskim (przez cały 1993 rok powstało tam kilkadziesiąt pomników poświęconych Ślązakom, którzy jako żołnierze Wehrmachtu zginęli na frontach II wojny światowej).

W przypadkach, które jej dotyczyły (Supraśl i Opolszczyzna), administracja rządowa starała się być otwarta na postulaty społeczności mniejszościowych.

I tak decyzją ówczesnego Szefa URM, J.M. Rokity, Ławra Supraska została przekazana prawosławnym (co, niestety, do dziś nie zakończyło sporu).

Po pierwszym okresie ostrego konfliktu wokół pomników wojewoda opolski powołał komisję składającą się z przedstawicieli administracji i mniejszości niemieckiej, której celem było wspólne – na zasadzie consensusu – ustalenie inskrypcji na już istniejących pomnikach. Komisja ta odegrała bardzo dużą rolę jako forum gdzie przedstawiciele większości i mniejszości mieli okazję dyskutować o bardzo trudnej historii ich małej ojczyzny.

Niezwykle pozytywnym następstwem „sprawy pomników” było powołanie na stanowisko Pełnomocnika Wojewody Opolskiego do Spraw Mniejszości Niemieckiej Danuty Berlińskiej, pracownika Instytutu Śląskiego w Opolu, jednego z najlepszych znawców problematyki mniejszości niemieckiej, osoby odnoszącej się z niezwykłym zrozumieniem do postulatów tej społeczności.

Inaczej sytuacja przedstawiała się w Przemyślu, gdzie konflikt przebiegał między, najogólniej mówiąc, Komitetem Obrony Polskiego Kościoła św. Teresy a hierarchią kościelną. Jak wiadomo starania episkopatu aby przekazać grekokatolikom kościół św. Teresy zakończyły się niepowodzeniem. Być może w tym przypadku zabrakło systematycznego przygotowywania wiernych do tego typu decyzji, albowiem w tym samym czasie, po niemal rocznych rozmowach, udało się doprowadzić w Przemyślu do powstania ukraińskiej szkoły podstawowej.

Czy pięć lat rządów solidarnościowych wystarczyło, by w

sposób ostateczny ukształtować politykę narodowościową Polski? Wydaje się, że nie. Osobiście, mam wrażenie, że było to wręcz obiektywnie niemożliwe. W sytuacji kiedy ciągle nie jest w sposób ostateczny przesądzony kształt ustrojowy całego państwa trudno się było spodziewać, że polityka narodowościowa znajdzie swój kształt ostateczny. Zostało natomiast zrobione bardzo wiele, by polityka ta na trwałe stała się polityką otwartości i partnerstwa.

Na koniec przyjdzie odpowiedzieć na pytanie jakie były główne problemy i postulaty, które należy wziąć pod uwagę formułując model polityki mniejszościowej.

Pierwszym problemem, charakterystycznym zresztą dla wielu dziedzin życia, jest uzależnienie polityki narodowościowej od chwilowej koniunktury politycznej. Taka właśnie sytuacja powstała po wyborach parlamentarnych z 1993 roku, kiedy to nowa ekipa rządząca drastycznie obniżyła poziom pomocy finansowej dla stowarzyszeń narodowościowych oraz przymierzyła się do zaprzestania jakiegokolwiek finansowania kilku pism mniejszościowych (co w praktyce oznaczało likwidację tych pism). W owym czasie pozbawiono również Biuro do Spraw Mniejszości Narodowych uprawnień interwencyjnych, w związku z czym nie ma obecnie w strukturze administracji rządowej żadnej komórki, która rejestrowałaby przypadki naruszania prawa wobec mniejszości narodowych, a tam gdzie pojawiają się problemy pomagałaby w ich rozwiązywaniu.

Jednym z podstawowych problemów w polityce narodowościowej jest fakt, że nawet przy najbardziej pozytywnym stosunku administracji do mniejszości narodowych nie da się stworzyć takiego modelu tej polityki, który zadekretowałby przychylny stosunek polskiej większości do społeczności mniejszościowych. Zmiany w świadomości społecznej następują bardzo powoli, a jak wykazują kolejne badania opinii publicznej społeczeństwo polskie nie jest najbardziej przyjaźnie nastawione do naszych sąsiadów, a co za tym idzie i do mniejszości narodowych zamieszkujących Polskę.

Następnym pod względem ważności problemem jest efektywne korzystanie z praw, które im przysługują, przez członków społeczności mniejszościowych.

I tak na przykład nawet najlepsza ustawa oświatowa nie rozwiąże problemów szkolnictwa białoruskiego, jeżeli sami Białorusini nie będą posyłać swoich dzieci na naukę języka ojczystego. Efektywne korzystanie z praw przysługujących

mniejszościom narodowym wiąże się z obroną tych praw przez same mniejszości narodowe. Tutaj niezwykle znaczącym przykładem było to, co działo się wokół projektów całkowitej likwidacji dotacji dla części pism narodowościowych. Decyzja ta spotkała się ze zdecydowaną reakcją pracowników Biura do Spraw Mniejszości Narodowych (z których połowa odeszła z pracy na znak protestu), natomiast środowiska mniejszościowe, z wyjątkiem Stowarzyszenia Dziennikarzy Białoruskich, poprzestały na formalnych pismach wyrażających zaniepokojenie zaistniałą sytuacją. A już zupełnym kuriozum była wypowiedź jednego z posłów niemieckich, który w wypowiedzi dla prasy lokalnej stwierdził, że polityka narodowościowa nie ulega zmianie. Jednym słowem wszystko jest w porządku.

Innym problemem jest sprawa finansowania stowarzyszeń narodowościowych. W praktyce chodzi o to czy bardziej efektywne są dotacje podmiotowe czy też celowe. Dotacje podmiotowe dają gwarancje socjalne, jednak nie są dobrym stimulatorem aktywności kulturalnej stowarzyszeń. W przypadku dotacji celowych powstaje problem, skąd wziąć pieniądze na czynsze za lokale wynajmowane przez stowarzyszenia oraz na pensje dla ich pracowników. Być może rozwiązaniem byłby jakiś wariant mieszany. Niewątpliwie najgorszym rozwiązaniem byłoby ponowne „upaństwowienie” tych stowarzyszeń poprzez całkowite uzależnienie ich istnienia od dotacji państwowych.

Sprawą, która również oczekuje swojego rozwiązania, jest kwestia języków mniejszości narodowych jako języków pomocniczych w kontakcie z administracją oraz problem podwójnego nazewnictwa miejscowości zamieszkałych przez mniejszości narodowe. Wypracowanie rozwiązań w tej dziedzinie wymaga czasu, ale już teraz trzeba nad tym pracować.

Z językami mniejszościowymi nierozzerwalnie wiąże się sprawa ustawy o mniejszościach narodowych. Wydaje się, że nie tyle jest to problem prawny (wszak w już funkcjonujących ustawach szczegółowych są zapisy poświęcone mniejszościom narodowym), ile psychologiczny. Po doświadczeniach historycznych środowiska mniejszościowe chcą jasnej gwarancji ustawowej dla swojego języka i kultury. O ile można dyskutować czy ustawa o mniejszościach narodowych jest konieczna, to bezdyskusyjna wydaje się konieczność wypracowania osobnego zapisu gwarantującego prawa mniejszości narodowych w konstytucji.

Osobnym problemem jest wypracowanie kompleksowego programu oświatowo-społecznego, który umożliwiłby awans cywilizacyjny tak specyficznej grupie jaką są Romowie.

Zupełnie wyjątkowe znaczenie ma, w przypadku polityki narodowościowej, przewyższenie przeszłości w relacjach większość-mniejszość. Proces się rozpoczął, ale trzeba powiedzieć, że rozwiązanie niektórych spraw jest bądź niezwykle trudne, bądź wręcz niemożliwe. Do tych najtrudniejszych spraw należy akcja „Wisła” (przesiedlenie Ukraińców z Polski południowo-wschodniej na ziemie północne i zachodnie), która została politycznie potępiona przez Senat w 1990 roku, jednak do chwili obecnej nie doszło do rekompensat majątkowych dla ofiar tej akcji. Problem ten, podobnie jak cała sprawa repriwatyizacji, stoi w miejscu.

Innym problemem polityki narodowościowej jest pewna skłonność mniejszości narodowych do izolacji. Tendencja ta do pewnego momentu jest zrozumiała, gdyż ułatwia zachowanie poczucia tożsamości narodowej. Jednak może ona również prowadzić do tworzenia się gett mniejszościowych lub żądań autonomii terytorialnej.

Wydaje się, że podstawowym celem polityki narodowościowej państwa jest uświadomienie większości i mniejszościom, że pomiędzy asymilacją mniejszości narodowych a wyalienowanym gettem jest jeszcze droga integracji mniejszości narodowych z polską większością z poszanowaniem tożsamości etnicznej, kulturowej i językowej społeczności mniejszościowych.

Bogumiła BERDYCHOWSKA

O „Fundacji Krzyżowa/Kreisau”

W historii stosunków polsko-niemieckich nie ma zbyt wielu momentów symbolicznych pomocnych np. w szybkim budowaniu nowych wzajemnych stosunków. Momenty wspólnych walk np. przeciwko nawałce mongolskiej czy tureckiej

stanowią tylko krótkie epizody w tysiącletniej historii. Nie inaczej było jednak także w stosunkach niemiecko-francuskich, a mimo to stanowią one obecnie często przytaczany przykład na możliwość zbliżenia i pojednania mimo trudnych zaszłości historycznych. Stąd też nie sposób przecenić choćby najmniejszej możliwości zbliżenia między Polakami i Niemcami, tym bardziej że również ostatnie dziesięciolecie nie były całkiem pozbawione trudnych problemów we wzajemnych stosunkach.

Jedną z tego rodzaju możliwości wspierania procesu pojednania, zbliżenia i wzajemnego zrozumienia także spraw codziennych stanowi oddany do użytku w lipcu zeszłego roku Międzynarodowy Dom Spotkań Młodzieży w Krzyżowej. Posiadłość, na terenie której się on znajduje, należała przed wojną do rodziny von Moltke, z której wywodził się Helmuth James von Moltke, przeciwnik militarystyki i narodowego socjalizmu. Wchodzący w jej skład „Dom na Wzgórzu”, jak się go dziś nazywa, stanowił w latach 1943-1944 miejsce konspiracyjnych spotkań grupy ludzi, nazwanych później „Kręgiem z Krzyżowej”. Skupiał on ludzi reprezentujących różne partie polityczne, grupy społeczne i światopoglądowe, złączone sprzeciwem w stosunku do hitleryzmu. Przedmiotem ich rozmów prowadzonych podczas konspiracyjnych spotkań były m.in. zintegrowane w Europie demokratyczne Niemcy. Po nieudanym zamachu na Hitlera większość uczestników „Kręgu z Krzyżowej” wraz z jego przywódcą duchowym Jamesem von Moltke została stracona.

Po wojnie posiadłość rodziny von Moltke przeszła w polskie władanie. Przejęcie pałacu i zabudowań gospodarczych przez PGR równało się wydaniu wyroku na ich dewastację i zniszczenie. Do okolicznych domów i gospodarstw niemieckich przydzielono zaś głównie polskich chłopów przesiedlonych ze wschodnich obszarów przedwojennej Polski. W porównaniu do opuszczonych przez nich z reguły małoparcelowych gospodarstw nowoczesne i dobrze wyposażone gospodarstwa i obejścia niemieckie były dla nich jak za duży ciężki płaszcz, którego nie potrafili unieść i nie chcieli czy też nie umieli nawet założyć. Asfaltowa droga do wsi Krzyżowa prowadzi jak szlak na przełaj ostatniego stulecia, przy którym mocno zdewastowane domy i kamienice ponemieckie sąsiadują z ceglano-betonowymi świadectwami architektury komunistycznej, a nowo powstałe obskurne hurtownie odzieży z Tajlandii jako tani symbol nowoczesności konkurują z tradycyjnie zasiedzającymi tam zakładami kamieniarskimi korzystającymi z pobliskich kamieniołomów.

Kiedy udałem się pewnego razu do Krzyżowej wraz z grupą młodzieży niemieckiej z ramienia Federalnej Centrali Kształcenia Politycznego, podczas przejazdu przez małe polskie miasteczka i wsie w tej okolicy w autobusie przez dłuższy czas panowało milczenie, a na twarzach młodych Niemców malowało się coś na kształt przerażenia a zarazem próby zrozumienia. I dopiero po pewnym czasie powrócono do „zachodnich” tematów rozmów. Tylko niemiecki kierowca autobusu, który zapewne widział już inne „jeszcze gorsze” kraje byłego „Ostblocku”, nie tracił humoru i na pytanie jednego z młodych Niemców, czy aby na pewno trafimy do Krzyżowej, odparł, że skoro drogę tam potrafił znaleźć Helmut Kohl, to i nam się z pewnością to uda.

Od czasu, kiedy Helmut Kohl spotkał się z Tadeuszem Mazowieckim na mszy w Krzyżowej minęło już ponad pięć lat. Od tego czasu na terenie byłej posiadłości rodziny von Moltke dużo się zmieniło. Dla byłych pracowników PGR, którzy musieli opuścić część zabudowań pałacowych, zbudowane zostały małe nowoczesne domki. W odremontowanej części zabudowań prowadzi obecnie działalność Międzynarodowy Dom Spotkań Młodzieży. Jego patronką duchową jest Freya von Moltke, wdowa po Helmucie Jamesie von Moltke. W styczniu br. w 50 rocznicę stracenia jej męża i innych członków „Kręgu z Krzyżowej” odbyło się w Berlinie spotkanie, na którym obecna była m.in. Freya von Moltke. Na moje pytanie o jej wrażenia z pierwszych powojennych wizyt w Krzyżowej w latach 70-tych oraz o jej oczekiwania i nadzieje związane z działalnością znajdującego się tam obecnie Domu Spotkań, Freya von Moltke odpowiedziała: „Minęło 30 lat, nim złożyłam tam swą pierwszą wizytę. Byliśmy wówczas nadzwyczaj ostrożni, ponieważ wiedzieliśmy, że ta ziemia należy teraz do Polaków. Ale w Krzyżowej przyjęto nas bardzo serdecznie. Potem znów byłam rok później w Krzyżowej i znów przyjęto nas tam bardzo przyjaźnie. W zasadzie nie mamy tam złej opinii. I tak z wolna na przestrzeni kilku lat dzięki wspaniałej gotowości kilku Polaków zaistniała możliwość zrobienia z Krzyżowej miejsca pamięci ludzi nie tylko z polskiego ale i z niemieckiego ruchu oporu. I kiedy następnie zaistniała możliwość urządzenia tam również Centrum Spotkań dla młodzieży oraz dla osób starszych, byłam po prostu szczęśliwa. Bowiem mimo wielu trudności dzięki zaangażowaniu wielu osób powstaje tam coś, o co chodziło grupie spiskowców z Krzyżowej”.

Obecnie Międzynarodowy Dom Spotkań w Krzyżowej

stanowi jedną z istotnych możliwości ułatwienia osobistych kontaktów młodzieży polskiej i niemieckiej. Jest to tym bardziej ważne, że w obu krajach istnieje szereg stereotypów i klisz, które określają wzajemny obraz obu narodów, a jak na razie kontakty młodocianych z obu krajów nie osiągnęły jeszcze tej skali, co w niemiecko-francuskiej wymianie młodzieży. Szczególnie niemiecka młodzież nie kwapi się do zmiany kierunku swych wyjazdów urlopowych. Stąd też Polska i inne kraje byłego bloku wschodniego stanowią nadal białą plamę w jej świadomości i znajomości tej części Europy. Jak ważny jest przy tym osobisty kontakt młodych dziewcząt i chłopców z Niemcami z ich polskimi rówieśnikami, szczególnie na terenie Polski, świadczy przykład 18-letniego Jana Klücke z miejscowości Kronberg, z którym rozmawiałem w Krzyżowej, gdzie przebywał on z grupą swych kolegów i koleżanek szkolnych: „Już przez sam fakt, że osobiście poznaję tu Polaków i mam tu przyjaciół, każda wiadomość z Polski, którą otrzymuję u siebie w domu w Niemczech, jest czymś istotnym dlatego, że w Polsce mam przyjaciela, że dotyczy mnie to osobiście. Także jakiś konflikt między Niemcami a Polską bezpośrednio by mnie dotyczył. Dlatego myślę, że takie osobiste zaangażowanie jest rzeczywistą gwarancją pełnego wzajemnego zrozumienia przy obchodzeniu się z innym narodem”.

Okazuje się przy tym, że już pierwsze kontakty młodych Niemców i Polaków powodują porzucenie dotychczasowych wyobrażeń i stereotypów. Ich miejsce zajmuje refleksja nad podobieństwami i wspólnymi problemami. Doświadczyla tego 18-letnia Anke Krieger ze szkoły zbiorczej w miejscowości Kronberg, która na me pytanie odpowiedziała: „Właściwie myślę, że nie odbiegamy zbyt daleko od siebie w swych poglądach. Polacy znają teraz aspekt niemiecki, a my Niemcy kwestie polskie. Ponadto nie było zbyt dużych różnic w podejściu do historii. W zasadzie byłam zaskoczona, że tak dobrze można było się zrozumieć od samego początku”.

Jednym z częstych gości i inicjatorów spotkań młodzieży w Krzyżowej jest kierownik wspomnianego gimnazjum w Kronbergu, a obecnie także członek Zarządu Fundacji Walter Heist. Podczas naszej rozmowy w Krzyżowej tak ujął on przyczyny swego zaangażowania w działalność Fundacji: „Moim zamysłem była próba przeżycia w Krzyżowej czegoś na kształt różnorodności europejskiej. Być może także poczucia związanych z tym możliwości, ale także tkwiących w tym trudności. Chodziło mi – być może zabrzmi to teraz nieco patetycznie, ale

ja tak myślę – o możliwość poczucia, że można iść tylko razem, jeśli chce się kształtować przyszłość. A najpiękniejsza byłaby dla mnie refleksja, że w tym miejscu, miejscu styku historii europejskiej, Polska i Niemcy mają szansę znalezienia dróg kształtowania przyszłości europejskiej, orientując się na przeszłość. Bowiem plany spiskowców z Krzyżowej są dla mnie tak samo aktualne, jak wtedy. Jednak jeśli by się ograniczyć tylko do analizy przeszłości, mogłoby to oznaczać w pewnym sensie brak perspektywy przyszłościowej. Istnieje bowiem niebezpieczeństwo ustalenia z góry podziału ról na sprawców i ofiary, co może wywoływać tylko duży wstrząs, ale też na tym się skończyć. I dlatego sądzę, że ludzi młodych pociągać może budowanie przyszłości, pytanie, w jaki sposób Polacy i Niemcy w środku Europy mogą budować taką przyszłość, która jest do zaakceptowania i która może zapobiec, by znów stało się konieczne, czego dokonać musieli spiskowcy w 1944 roku”.

Ze strony niemieckiej działalność Fundacji w Krzyżowej obserwuje konsul Republiki Federalnej Niemiec we Wrocławiu Bruno Weber. Na moje pytanie, o powody braku zainteresowania przyjazdami do Polski wśród młodzieży niemieckiej, Bruno Weber odpowiedział, że „to nie jest brak zainteresowania, tylko po prostu jeszcze tak się to nie rozkręciło jak w stosunkach niemiecko-francuskich. I wielu młodocianych jeździ teraz chętniej na południe Europy niż na wschód. Ale wydaje się, że obecnie gotowość zaangażowania się także tutaj jest wśród młodzieży coraz większa”. Pośród napotkanych przeze mnie w Krzyżowej oficjalnych gości znajdował się także minister oświaty i szkolnictwa z Nadrenii Palatynatu, Hartmut Holzapfel. Mimo dużej odległości jego landu od Dolnego Śląska, uważa on Krzyżową za dobre miejsce nie tylko dla kontaktów młodzieży, ale także nauczycieli, ponieważ, jak twierdzi: „Właśnie tu dyskutowano wówczas nad przyszłością Europy. Jest to dobre miejsce także geograficznie, bowiem jest to region, który stanowił powód sporów między Niemcami a Polską. Myślę, że teraz zaś może być miejscem pojednania i rozmów, jak żadne inne”.

Wypowiedź ministra Holzapfela jest przy tym o tyle interesująca, że jedną z przyczyn trudności uzyskania środków finansowych na rozbudowę dalszej części zabudowań, na jakie w połowie ubiegłego roku napotkała nagle Fundacja, były argumenty dysponentów pieniędzy w Warszawie, iż Krzyżowa położona jest na takim odludziu, że nikt tam nie pojedzie. Tak przynajmniej argumentowano ze mną, kiedy zadzwoniłem w tej

sprawie z Berlina do Warszawy. Jedyne argumentem, który wydawał mi się wówczas w miarę przekonujący, był pogląd strony warszawskiej, iż nie można finansować tylko Krzyżowej, i trzeba część środków przeznaczyć także na podobne fundacje w innych miejscach Polski. Wydaje mi się jednak, że gdyby zrezygnowano z doprowadzenia do końca rozbudowy w Krzyżowej, gdzie obok istniejących już tam sal do zajęć dydaktycznych, dyskusji, świetlicy, stołówki i pokoi noclegowych, powstać mają też różne pomieszczenia do zajęć warsztatowych i kawiarnia, wówczas Krzyżowa nie zdobyłaby tej atrakcyjności, jako miejsce kilkudniowych pobytów młodzieży. Tytułem wyjaśnienia należy dodać, że środki na finansowanie Fundacji pochodzą z zaciągniętego przez PRL w Niemczech tzw. „kredytu jumbo”, który został przez Niemcy następnie zamieniony na fundusz wspierania tego rodzaju inicjatyw jak Krzyżowa. Obecnie Fundacja posiada osobowość prawną i funkcjonuje jako spółka akcyjna. W Radzie Nadzorczej zasiadają w większości Niemcy i Polacy. Jej działalność „gospodarcza” obejmuje m.in. taki zakres jak usługi hotelowe, turystyczne, gastronomiczne, kursy językowe, kształcenie zawodowe i seminaria. Dużą pomocą finansową w jej działalności są też prywatne datki pieniężne.

Od strony pedagogicznej międzynarodowe spotkania młodzieży w Krzyżowej ze strony niemieckiej nadzoruje Stefan Erb. Z racji charakteru swej pracy miał on możliwość obserwacji zachowania młodzieży polskiej i niemieckiej. Na me pytanie na temat ewentualnych różnic i podobieństw oraz potencjalnych oporów w kontaktach, Stefan Erb powiedział: „Stwierdziłem z jednej strony, że w wielu rzeczach młodzież niemiecka i polska w zasadzie się od siebie nie różni. Dotyczy to np. ich problemów codziennych, rodzaju *hobby* czy też ich kłopotów. Oczywiście istnieją też pewne różnice, ale nawet byłem zaskoczony, że problemy egzystencjalne młodzieży są tak do siebie podobne, i że tak szybko i łatwo obie grupy młodzieży się do siebie zbliżyły. Być może spowodowane jest to także tym, iż mamy środki, które to ułatwiają: np. można grać w bilard bez konieczności konwersacji, jeśli nie zna się języka partnera, można organizować wspólne wędrowki, lub też np. warsztaty twórcze”. Warto dodać, że przybyła do Krzyżowej młodzież bierze też udział w zajęciach historii poświęconych m.in. problematyce związanej z historią tego miejsca i wspólnie pracuje przy uprzątnięciu terenu należącego do Fundacji.

Ponad pół roku działalności Międzynarodowego Domu

Spotkań Młodzieży w Krzyżowej skłania do sporządzenia bilansu. Jak twierdzi sekretarz generalny Fundacji „Krzyżowa”, dr Edward Wąsiewicz, po trudnościach i nieporozumieniach, wynikłych między wrocławskim zarządem Fundacji a dysponentami dotacji finansowych w Warszawie obecnie nic nie stoi na przeszkodzie rychłemu zakończeniu odbudowy i oddaniu do użytku pałacu w Krzyżowej. Zapewnione są także środki na odbudowę „Domu na Wzgórzu”. Spytany przeze mnie o dotychczasowe dokonania dr Wąsiewicz powiedział: „Otóż wiele rzeczy udało nam się już załatwić. Tzn. jest to wciąż jeszcze stan uruchamiania, stan odbudowy całego kompleksu i wiele rzeczy sami jeszcze wypróbowujemy, bo jest to w zasadzie pierwsze tego typu przedsięwzięcie w Polsce. Natomiast w sensie bezpośredniej pracy osiągnęliśmy np. ponad 60-procentowe obłożenie, mieliśmy różnego typu programy, jak np. partnerstwa szkół, seminaria historyczne, warsztaty muzyczne, graficzne i dziennikarskie. To wszystko były imprezy co najmniej polsko-niemieckie, a w dziewięćdziesięciu kilku procentach jeszcze szersze, bo byli również przedstawiciele innych narodowości zarówno z dawnych krajów Związku Sowieckiego, jak też Francji, Włoch, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii. Urządziliśmy też polsko-niemiecki konkurs „Jestem Polką-Polakiem. Jestem Niemką-Niemcem”, dzięki któremu udało się nam w pewnym sensie znaleźć odpowiedź na pytanie, jakie obawy ma młodzież polska a jakie niemiecka w obliczu jednoczącej się Europy. I jeśli wolno mi się pokusić o jego podsumowanie, bo przewodniczyłem tej komisji, to Polacy bardziej się boją dominacji instytucjonalnej w sensie pewnej przewagi ekonomicznej, natomiast Niemcy bardziej się boją stracenia pewnej niezależności podmiotowej człowieka: przerost administracji, przerost instytucji, coraz większa dominacja. Tak że tu są pewne rozbieżności. Natomiast generalnie, doświadczenie historyczne, doświadczenie kulturowe jest naprawdę zbliżone”.

Istnienie Fundacji służy także mieszkańcom całej wioski Krzyżowa. Skorzystali oni m.in. z założonej przez Fundację sieci wodociągowej, a niektórzy z nich znaleźli pracę na terenie Fundacji. Z pomieszczeń klubowych korzysta też okoliczna młodzież. Pozytywny wpływ istnienia Fundacji dla okolicznych mieszkańców potwierdza także dr Wąsiewicz: „Np. dzięki aktywności grupy ludzi związanych z Fundacją uratowaliśmy przed likwidacją szkołę w Krzyżowej. Gmina Świdnica nie była w stanie jej utrzymać. Znalazły się środki w Holandii na wyremontowanie szkoły i na utrzymywanie jej przez następne

trzy lata". Zapytany o ocenę działalności Fundacji dr Wąsiewicz odpowiedział: „Należy, moim zdaniem, pokazywać pozytywne przykłady integracji, pozytywne przykłady pracy na rzecz Europy, przede wszystkim przez zbliżenie polsko-niemieckie. Nie chciałbym popadać w jakąś megalomanię, ale pozwolę sobie przypomnieć słowa Kanclerza Kohla, który stwierdził, że rozpoczęto jednoczenie Europy od porozumienia i pojednania francusko-niemieckiego, a należałoby dokonać pełnego jednoczenia Europy i porozumienia w Europie poprzez pojednanie niemiecko-polskie”.

Jak widać na przykładzie zadrażnień polsko-niemieckich wynikłych na tle obchodów rocznicy zakończenia II Wojny Światowej, proces tego pojednania jest sprawą nadal wielce wrażliwą na wszelkie zakłócenia. Tym bardziej jednak trzeba robić wszystko, aby osiągnął on przynajmniej taki stan jak w stosunkach między Francją a Niemcami.

Andrzej STACH

KOMUNIKAT NR 1 ZARZĄDU FUNDACJI „POLSKA KATEDRA W UNIWERSYTECIE JEROZOLIMSKIM”

Aktem notarialnym z dnia 22.12.1994 zawiązana została Fundacja pod nazwą: „Polska Katedra w Uniwersytecie Jerozolimskim”.

W dn. 18.01.1995 na zebraniu Fundatorów i innych osób zainteresowanych powołana została Rada Nadzorcza Fundacji w składzie: prof. Aleksander Gieysztor, prof. Aleksander Krawczuk, dr Andrzej Olechowski, prof. Andrzej Wyczański (Przewodniczący); dr Andrzej Zakrzewski. Rada powołała Zarząd w składzie: ks. prof. Waldemar Chrostowski, prof. Jan Dowgiałło (Prezes), prof. Stanisław Frybes (v. Prezes), prof. Adam Manikowski, prof. Szymon Rudnicki (Sekretarz).

Pierwszoplanowym zadaniem Fundacji jest zgromadzenie 300 000 \$. Jest to połowa kwoty niezbędnej dla utworzenia Katedry Historii i Kultury Polskiej w Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Taką samą sumę zapewnić ma Uniwersytet Hebrajski, który wyraził zgodę na to wspólne przedsięwzięcie.

Katedra ma służyć w pierwszym rzędzie Izraelczykom i Żydom z innych krajów w poznawaniu przeszłości i współczesności Polski. Z jej działalności będą mogli również korzystać studijujący w Jerozolimie przedstawiciele innych narodowości.

Zważywszy, że ok. 75 % Żydów na świecie wywodzi swoje korzenie z historycznych ziem Rzeczypospolitej i że wnieśli oni istotny wkład do polskiej kultury, Katedra może przyczynić się do pełniejszego poznania przez nich własnej tożsamości tak silnie związanej z Polską.

Powstanie Katedry może się też stać ważnym czynnikiem kształtowania nowych stosunków polsko-żydowskich wynikających zarówno z wielowiekowej koegzystencji Polaków i Żydów jak i z uznania wspólnego dziedzictwa oraz wzajemnych wpływów.

Wobec konieczności zebrania na powyższy cel tak poważnej sumy Fundacja zamierza zwracać się zarówno do instytucji jak i do osób w Polsce i za granicą o udział finansowy w tym przedsięwzięciu.

Proponujemy wypełnienie przez osoby i instytucje zainteresowane współpracą z Fundacją załączonego kwestionariusza i przesłanie go na jej tymczasowy adres: Dyrekcja Biblioteki Narodowej, al. Niepodległości 213, pok. 3000, 00-973 Warszawa.

Zobowiązujemy się do informowania wszystkich, którzy nadeślą odpowiedzi, o naszych dalszych poczynaniach.

ZARZĄD FUNDACJI

Warszawa, 27.02.1995

Doceniając wielkie znaczenie powstania polskiej Katedry w Uniwersytecie Jerozolimskim zgłaszamy nasz udział w tym przedsięwzięciu w wysokości F. 5.000. Jednocześnie apelujemy do wszystkich naszych Czytelników o finansowe poparcie tej inicjatywy.

Redakcja KULTURY

O religii bez namaszczenia

Nieomyślność czy niezawodność?

Po raz pierwszy ukazała się w Polsce, w polskim tłumaczeniu, jedna z wielu już książek powszechnie znanego, acz nie uznawanego przez władze kościelne, katolickiego teologa ks. Hansa Künga¹.

Książka ukazała się pierwotnie w r. 1970, a więc 25 lat temu, pt. *Unfehlbar? Eine unerledigte Anfrage*, a sam czytałem ją wkrótce potem w angielskim przekładzie pt. *Infalible? An enquiry*. Od tego czasu została ona przetłumaczona – jak bodaj wszystkie książki Künga – na wszystkie znaczące języki świata. Co było powodem tak długiego opóźnienia polskiego wydania? Na pewno nieelastyczność skrepowanego cenzurą polskiego rynku wydawniczego, ale zapewne także niechęć polskiej hierarchii kościelnej do teologa, któremu polski papież w grudniu 1979 roku odebrał tak zwaną *missio canonica* czyli status oficjalnie uznawanego katolickiego teologa. W każdym razie ukazanie się tej książki teraz jest swego rodzaju ewenementem i sam Küng zaszczylił ją osobną przedmową, wyrażając nadzieję, że zapoczątkuje to płodną debatę nad stanowiącym jej przedmiot zagadnieniem, niezmiernie ważnym dla całego Kościoła, nie tylko katolickiego, ale całego chrześcijaństwa. Problem jest istotnie ważny, a jednak (sądzę) nie aż tak ważny jak to, sądząc z jego długiej kampanii, zdaje się uważać sam Küng i liczni jego zwolennicy, do których zresztą i ja się zaliczam. Ale o tym potem.

Debata na temat książki Künga zaczęła się nazajutrz po jej ukazaniu się w r. 1970, dokładnie w sto lat po uchwaleniu

przez Pierwszy Sobór Watykański dogmatu o nieomyślności papieża. Było to brzemienne wydarzenie w historii Kościoła. Uchwalenie dogmatu w r. 1870 odbyło się w prawdziwie dramatycznych okolicznościach i to, jakby symbolicznie, w czasie prawdziwej atmosferycznej burzy z piorunami. Papieskie Państwo Kościelne kurczyło się gwałtownie pod naporem zwycięskich narodowych sił włoskich i sam Rzym miał już wkrótce być zajęty, powodując bezterminowe odroczenie soboru (jak się okazało, na 92 lata) i skazując kolejnych papieży na niezwykłą dla nich rolę „więźniów Watykanu” (aż do r. 1929 czyli na 59 lat). Ówczesny papież Pius IX, dogłębnie skłócony ze świeckim światem, z tym większą determinacją domagał się utwierdzenia swej praktycznie absolutnej władzy duchowej i dogmat o nieomyślności miał być tej władzy niewzruszoną rękojmnią i narzędziem. I papież – jak już dziś wiadomo – *per fas et nefas*, wbrew rozpaczliwym oporom ze strony mniejszości, przeważnie nie-włoskich biskupów (większość stanowili Włosi), postawił ostatecznie na swoim. Stworzył w ten sposób problem, który jeszcze po stu latach ciąży nad Kościołem katolickim, a pośrednio także nad całym chrześcijaństwem, problem w kategoriach przyjętych wówczas dogmatyczno-prawnych przepisów nierozwiązalny. Bo nie ulega wątpliwości, że wielu papieży, nie wyłączając Piusa IX, popełniło na przestrzeni dziejów wiele błędów, w tym i takich, którym nawet zwolennicy dogmatu z r. 1870 nie zaprzeczają. Pozwala im na to fakt, że według dogmatu nieomyślność przysługuje tylko orzeczeniom w sprawach wiary i moralności proklamowanym *ex cathedra*, z tym jednak że nie wiadomo dokładnie, jakie orzeczenia z przeszłości to kryterium spełniają, a jakie nie (z jednym wyjątkiem, którym jest ogłoszony w obecnym stuleciu przez Piusa XII dogmat o wniebowzięciu NMP). Tę kłopotliwą sytuację odziedziczył następnie Drugi Sobór Watykański lat 1962-1965. Ten sobór, zwołany i zapoczątkowany przez papieża Jana XXIII, zlikwidowałby zapewne problem stworzony przez Vaticanum I, gdyby nie interwencja następcy papieża Jana, Pawła VI, który tę sprawę, wraz z kilku innymi, wyjął spod kompetencji soboru. Wśród spraw, w których sobór nie mógł się wypowiedzieć, była także sprawa dopuszczalności stosowania tzw. sztucznych środków antykoncepcyjnych, co zrodziło kolejny ciężki problem, z którym Kościół katolicki dziś się boryka, w postaci encykliki Pawła VI *Humanae vitae* z roku 1968.

1. Hans Küng, „Nieomyślny?” Tłumaczenie Tadeusz Zatorski. Zakład Wydawniczy „Nomos”, Kraków 1995, str. 321.

Dlaczego Paweł VI tak postąpił? Dotykamy tu sedna tragedii, a tym samym sedna omawianej książki Künga, bo obie sprawy są ze sobą genetycznie związane: ta druga wypływa z pierwszej. Ingerencje Pawła VI w tok obrad soboru nie były jakimś widzimisię żadnego władzy papieża, jak w przypadku jego dalekiego poprzednika w XIX wieku. Ale Paweł czuł się moralnie zobowiązany do kontynuowania mistyki urzędu papieskiego ustanowionej przez Piusa IX. Jak nie dopuścić do podważenia dogmatu nieomyślności papieskiej, tak też utrzymał w mocy zakaz stosowania sztucznej antykoncepcji, gdyż taki zakaz wydał na blisko 40 lat wcześniej jego poprzednik Pius XI w encyklice *Casti connubii* z roku 1930. Utrzymał zakaz, mimo że powołana przez niego komisja duchownych i świeckich ekspertów ogromną większością wypowiedziała się za dopuszczeniem stosowania sztucznej antykoncepcji, pod warunkiem, że ta praktyka nie staje się wyrazem zasadniczej „mentalności antykoncepcyjnej”, jak to określono, czyli odmowy rodzenia dzieci w ogóle. Powołanie przez papieża komisji świadczy, że on sam nie był całkiem pewny swych racji, a jednak przeważało u niego przekonanie, oparte na definicji nieomyślności papieskiej z r. 1870, że co raz zostało przez jednego papieża proklamowane jako obowiązująca nauka, tego już żaden następny papież nie może zmienić. Innymi słowy, jeśli został popełniony błąd, nie można go już naprawić. Niezbędnym korelatem takiego stanowiska jest twierdzenie, że urząd nauczycielski Kościoła nigdy żadnego błędu nie popełnił. W ten sposób koło się zamyka – błędne koło, bo oczywiście nikt nie zaprzecza, że władze Kościoła katolickiego (tak samo jak władze innych kościołów chrześcijańskich) popełniły w przeszłości wiele błędów. Niektóre z nich, wbrew wymaganiom nieomyślności, zostały oficjalnie przyznane i nawet w pewnej mierze naprawione, jak ekskomunika rzucona na patriarchę Konstantynopola w XI wieku i potępienie nauki Galileusza w XVII wieku.

Oczywiście, urząd nauczycielski, choć pretenduje do nieomyślności, uznaje, że Kościół jest instytucją również ludzką, podległą ludzkim słabościom. A Hans Küng, jakkolwiek krytycznie do urzędu nauczycielskiego nastawiony, uznaje, że Kościół jest również instytucją boską i ma boskie posłannictwo do spełnienia. W przeciwnym razie nie byłby katolickim księdzem, którym mimo prób wypchnięcia go z Kościoła jest nadal. Jako wielkiej miary uczony i oficjalny

peritus w czasie Soboru zna historię Kościoła lepiej niż wielu jego oficjalnych przedstawicieli i jest świadom nie tylko jego słabości, ale i jego duchowej mocy, utajonej niejako pod tą ułomną oficjalną powłoką. Dlatego jego uparta kampania, by w tej pretensjonalnej powłoce zapanował ponownie duch pokory i respektu dla świata, który charakteryzował krótki pontyfikat Jana XXIII, nie jest może aż tak ważna jak to sam lubi głosić. Küng wie, że niezależnie od proponowanych przez niego reform Kościół w trzecim tysiącleciu będzie funkcjonował nie gorzej niż w ciągu dwóch dotychczasowych tysiącleci. Ale ma chyba rację w tym, że Kościół podatny na wewnętrzną autoreformę, nie zamknięty w swej katolickości, lecz poszerzony o inne wyznania chrześcijańskie, będzie funkcjonował sprawniej, a nade wszystko będzie bardziej chrześcijański. Ale, na ile dziś możemy sądzić, nieodzownym warunkiem tak poszerzonej i pogłębionej chrześcijańskości jest wyzbycie się pretensji nieomyślnego urzędu nauczycielskiego Kościoła, które dla wszystkich innych wyznań chrześcijańskich są nie do przyjęcia².

Co zatem proponuje Küng w miejsce dogmatu nieomyślności? Po prostu to, co zawsze było wiarą Kościoła do czasu ogłoszenia dogmatu, a praktycznie także i potem, także wiarą całego nierzymskokatolickiego chrześcijaństwa: że Bóg swego Kościoła nigdy nie opuści i że Kościół, mimo swych ludzkich słabości, mimo takich czy innych błędów, zawsze zdoła

2. Rozróżnienie między Kościołem jako autonomiczną wspólnotą wiernych a jego urzędową powłoką ma może swój odpowiednik w modelu demokratycznego państwa, do którego obecnie przymierza się Polska. Tym może tłumaczy się paradoks, że mimo ustawicznych bezsensownych „wojen na górze” wolna III Rzeczypospolita robi jednak całkiem spektakularne postępy, zwłaszcza w sferze gospodarki w skali państwowej. Czy postęp ten jest równie realny w mniej wymiernych dziedzinach życia, powiedzmy w sferze sprawiedliwości i kultury społecznej, jest mniej pewne. Ale widoczne jest, że w warunkach wolności funkcjonują wielorakie czynniki rozwoju „na dole”, niezależnie od tego, co się dzieje „na górze”. Fakt, że dostrzegam tu pewną analogię nie znaczy, bym się opowiadał za kopiowaniem w społeczności kościelnej modeli i mechanizmów demokracji, jakie się rozwinęły w czasach nowożytnych w społecznościach świeckich. Społeczności religijne wymagają chyba stosowania innych kryteriów i innych priorytetów. Ale pewne jest, że nie są właściwe dla społeczności religijnych, w tym zwłaszcza dla chrześcijańskiego Kościoła, odziedziczone z przeszłości modele monarchiczne i autorytarne.

odnaleźć właściwą drogę, drogę Chrystusowej prawdy i życia. Nazywa się to wiarą w obecność Ducha Św. w Kościele. Nie jest to wiara w intelektualną nieomyślność jego pasterzy, ale wiara w *consensus Ecclesiae*, niekoniecznie nawet artykułowany *consensus* całego pielgrzymującego Ludu Bożego, bo Duch wieje kiedy i kędy chce – czyli wiara w niezniszczalność i ostateczną niezawodność Kościoła. Takimi określeniami polski tłumacz oddaje oryginalny termin Künga, którym w rodzimym języku autora jest *Unzerrüttlichkeit*, a w autoryzowanym angielskim przekładzie *indefectibility*. W pewnym bardzo głębokim sensie nic się nie zmienia, skruszona zostaje tylko urzędowa, mocno sformalizowana powłoka, która sprawiała wrażenie, że nieomyślność papieża jest jakimś automatycznym zabezpieczeniem, na którym cała reszta Ludu Bożego może polegać, zrzekając się niejako własnej odpowiedzialności za prawdę i dobro.

Czy zreformowanie tej oficjalnej nauki jest prawdopodobne? Nie jest rzeczą recenzenta dopowiadać rzeczy, których książka nie zdołała dopowiedzieć. Ale polskie wydanie książki ma tę wielką zaletę, że może dopowiedzieć, jak wyglądała debata na ten temat w ciągu 25 lat, jakie minęły od jej pierwszego wydania. A więc mamy w niej oprócz pierwotnego tekstu kilka przedmów i artykułów Künga i dwóch innych autorów, w tym doskonałe podsumowanie debaty pióra tłumacza, Tadeusza Zatorskiego pt. *Martwy dogmat i żywa idea*. Tłumaczenie całej książki jest znakomite, wierne, i płynne, choć pod jednym względem aż zbyt skrupulatne. Nie ma chyba potrzeby trzymania się kurczowo zanglizowanych łacińskich terminów *infallibility* (nieomyślność) i *indefectibility* (ostateczna niezawodność), tworząc z nich niesłychanie sztuczne, bo poza końcowymi przyrostkami tak samo brzmiące, pseudopolskie odpowiedniki. Nie chodzi tylko o piękno i poprawność polskiego języka. Nadmierna dosłowność wydaje mi się jakąś pozostałością *à rebours* scholastycznej mentalności, z której zrodził się cały ten nieszczęsny spór teologiczny. Zdrową i autentycznie chrześcijańską myśl Künga całkiem dobrze oddają polskie określenia, jak niezniszczalność i ostateczna niezawodność Kościoła.

Antoni POSPIESZALSKI

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Moskwa szykuje się do pięćdziesiątej rocznicy zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami i przyjęcia Szanownych Gości. Najważniejszą personą będzie rzecz jasna prezydent Stanów Zjednoczonych. Dla Clintona armia rosyjska szykuje specjalny prezent, stara się mianowicie wszelkimi siłami zdławić opór Czeczeńców. Lotnictwo i artyleria nie ustają ni w piątek ni w świętek. Ponieważ Czeczeńcy nie mają ani samolotów, ani armat, nie jest wykluczone, że podarunek dla Clintona będzie gotowy w porę. Będzie to znaczyło, że skończyła się wojna o tereny zaludnione, a zaczyna wojna w górach. W kaukaskich wąwozach panuje mrok, opinia publiczna będzie więc uważała, że w Czeczenii nastał spokój.

Kiedy Duma obradowała nad kwestią czeczeńską, przedstawiciel Liberalno-Demokratycznej Partii Rosji, Władimir Żyrynowski, zakrzyknął wzburzony: „Proponuję zmianę porządku dnia, ponieważ nie istnieje żaden kryzys czeczeński – istnieje natomiast kryzys państwa rosyjskiego”. Żyrynowski nie mógł się nadziwić, dlaczego Duma ma debatować o Czeczenii, skoro car Aleksander II „już sto pięćdziesiąt lat temu skończył z Czeczenią i Dagestanem... Już sto pięćdziesiąt lat temu bito orderzy za to, że nic podobnego nigdy się tam nie powtórzy”.

Nie sto pięćdziesiąt lat temu, a sto trzydzieści jeden, mianowicie w 1864 roku, Aleksander II rzeczywiście ustanowił medal z okazji końca wojny kaukaskiej. Wojna mimo to się powtórzyła.

Jej powody wciąż nie są jasne, nie wszystkie nazwiska ludzi, którzy przyłożyli rękę do jej wybuchu, są znane, natomiast wszyscy marzą tylko o jednym, żeby się jak najprędzej skończyła. Wszyscy są nawet zgodni do faktu, że kiedy już rosyjskie samoloty i czołgi zrównają z ziemią

czeczeńskie miasta i ały, trzeba będzie kwestię rozwiązać politycznie.

Przez pierwsze trzydzieści lat pierwszej wojny kaukaskiej generałowie rosyjscy chcieli ją rozegrać samym ogniem i mieczem, rąbiąc przesieki w nieprzebranych kaukaskich lasach. W 1829 Mikołaj I wyznaczył Paskiewiczowi jasne zadanie: „górskie ludy na wieki uśmierzyć, niepokornych wybić”. Tymczasem nawet zwycięskie ekspedycje wojskowe ani o krok nie przybliżyły końca wojny. Dopiero w 1856 roku nowy dowódca, książę Bariatyński, dorzucił do ognia i miecza garść złota. Zaczęło się „polityczne” rozwiązywanie konfliktu: przekupywanie klanów, rozdawanie przywilejów w zamian za przejście na stronę Rosji.

Dziś Rosja zaczyna tworzyć na „wyzwolonych” terenach prowincjonalne organy władzy. Powstaje administracja, na której czele stają Czeczeńcy. Polityczne działania utrudnia jednak fakt, że kierownictwo moskiewskie kategorycznie odmawia negocjacji z Dudajewem. Bliscy Jelcynowi eksperci uważają, że w ten sposób legitymizowaliby buntownika, który znów mógłby mówić o „faktycznej suwerenności Czeczenii”. Tajny referat korporacji pod nazwą „Eksperymentalny Ośrodek Twórczy”, sporządzony przez C. Kurginiana, W. Sołochina i M. Modkopajewą, twierdzi: „Napaść i okupacja Czeczenii – to zestaw słów, który doprowadzi do rozpadu Rosji. Wszystkie siły polityczne powinny w obliczu groźby rozpadu uznać prymat interesów państwa” (*Who's who w sowremennom mirie*, nr 2, 1995).

Koronnym argumentem na rzecz wojny z Dudajewem było twierdzenie, że suwerenność Czeczenii da sygnał do rozpadu Rosji. Tymczasem nie widać dziś w Federacji Rosyjskiej żadnych separatystycznych tendencji odśrodkowych. Wiele się wprawdzie mówi i pisze o pragnieniu niepodległości nie tylko federacyjnych republik – np. Tatarii i Baszkirii – ale także rdzennie rosyjskich ziem – Dalekiego Wschodu, obwodu jarosławskiego itd., ale ich potrzeba niezależności wyraża się przede wszystkim (a niekiedy wyłącznie) w fakcie, że nie chcą płacić podatków Moskwie. To im się często udaje, bo rząd centralny jest słaby, a zarazem potrzebuje poparcia prowincjonalnych wodzów w walce o władzę nad Kremlem.

Ożywione życie polityczne w Rosji tłumaczy się zarówno faktem, że państwo szuka kośćca politycznego, który pozwoliłby mu przezwyciężyć kryzys i odzyskać dawną siłę,

jak i kampanią przedwyborczą, która już się zaczęła, chociaż wybory do Dumy – o ile się odbędą – wyznaczone są na grudzień, a wybory prezydenta – o ile się odbędą – na czerwiec przyszłego roku. Życie polityczne toczy się na trzech poziomach.

Po pierwsze, na poziomie władzy wykonawczej, czyli prezydenta Jelcyna i jego rządu. Rola rządu jest niewielka. Borys Jelcyn nadal umacnia centralną władzę, wzmacniając jej podstawowe instrumenty. Seria ukazów, o której miałem już okazję pisać, przywróciła do życia policję polityczną wraz z wszystkimi uprawnieniami, którymi cieszyło się KGB. Nawet nazwa obecnego „organu” przypomina jego poprzednika: Federalna Służba Bezpieczeństwa (FSB) niedaleko pada od Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego (KGB). Obrońcom bezpieczeństwa wolno przeprowadzać rewizje bez nakazu prokuratora, wolno im działać pod dachem innych instytucji państwowych, podsłuchiwać telefony i czytać listy (za zgodą sądu).

Duma uchwaliła – i czeka na podpis Jelcyna – ustawę o służbie wojskowej. W kącie poszły rozmowy o reformie wojska, stara struktura wróciła do łask i przedłużono okres służby. Liczebność armii zmniejszono. Za sowieckich czasów liczyła ok. 4 milionów żołnierzy, dziś – półtora miliona. Zmniejszyła się jednak tylko liczba żołnierzy, nie zaś formacji wojskowych, generalicji i pułkowników. Pozostaje tylko zmobilizować rekrutów. Faktem jest, że na to nie ma pieniędzy.

Polityczne kierownictwo Rosji przeszło – nawet formalnie – w ręce prezydenta. Minister spraw zagranicznych wykonuje polecenia Jelcyna.

Drugim terenem życia politycznego jest parlament. Borys Jelcyn podpisał 23 marca dekret o nasileniu walki z siłami ekstremistycznymi, które sieją „wrogość społeczną, rasową, narodową i religijną” oraz sprzyjają „szerzeniu się idei faszystowskich”. Dekret precyzuje, że incydenty tego typu są coraz częstsze. Ukaz stwierdza, że w dzisiejszej Rosji istnieje niebezpieczeństwo faszyzmu, nie proponuje jednak żadnych konkretnych środków zaradczych. Najbardziej kuriozalnym elementem aktu jest zlecenie, aby Akademia Nauk opracowała w ciągu dwóch tygodni definicję pojęcia „faszyzm”. 9 maja Moskwa obchodzić będzie 50-lecie zwycięstwa nad faszyzmem, jednak – jak się okazuje – nie wiadomo dokładnie, co to takiego. W każdym razie nie wie tego Borys Jelcyn. A miałby okazję się dowiedzieć, gdyby 28 lutego oglądał

telewizję. Niejaki Aleksander Wiedienkin, ciemna figura, która kręci się w kuluarach rządu centralnego, zadeklarował mianowicie, że własnymi rękami strzeliłby w łeb dwóm przeciwnikom wojny w Czeczenii, Siergiejowi Juszenkowowi i Siergiejowi Kowalewowi. Wiedienkina aresztowano, po kilku dniach wypuszczono, po czym wystawił swoją kandydaturę do uzupełniających wyborów do Dumy. Znajdzie tam niejedną bratnią duszę. Specjaliści zapowiadają zwycięstwo dwóch partii – Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej, najsilniejszej partii w Rosji, której przewodzi Gennadij Ziuganow, oraz Liberalno-Demokratycznej Partii Żyrynowskiego. Zaraz za Żyrynowskim plasuje się partia Aleksandra Ruckiego pod krótką i zwięzłą nazwą „Mocarstwo”. Ponieważ jest prawdopodobne, że „lewicowe” partie uzyskają absolutną większość, „prawica”, czyli demokraci i reformatorzy, chciałaby odwlec termin wyborów. Niczego dobrego dla siebie po nich się nie spodziewa.

Pozycja „prawicowych” partii, przede wszystkim głównej wśród nich formacji pod nazwą „Wybór Rosji”, na której czele stoi Jegor Gajdar, bardzo wśród wyborców osłabła. „Wybór Rosji”, partia stworzona dla prezydenta, przeszła do opozycji. Ale w opozycji znajdowała się i znajduje „lewica”, co stawia Jegora Gajdara w niezręcznej sytuacji. Nie wiadomo, dokąd go przypisać, tym bardziej, że władza wykonawcza nie ukrywa swoich sympatii. Minister obrony Paweł Graczw nadał kapitanowi rezerwy Władimirowi Żyrynowskiemu rangę podpułkownika rezerwy. Jest to nagroda za poparcie dla wojny w Czeczenii.

Na polu szachowym Dumy warto zwrócić uwagę na Demokratyczną Partię Rosji. W wyborach 1993 partia ta zdobyła 5,52 % głosów. Znaczenie jej polega jednak na tym, że wśród jej przywódców znajduje się Jurij Skokow, a uznanie dla jej programu wyraził generał Aleksander Lebied'. 9 kwietnia generał Lebied' stanął się w Moskwie na zjazd wspólnot rosyjskich – ruchu, stworzonego przez niektórych przywódców DPR. Dowódca 14-tej armii po raz pierwszy postawił nogę w Moskwie, po raz pierwszy też związał się otwarciem z jakimś ruchem politycznym. Zjazd wspólnot rosyjskich stawia sobie za zadanie obronę interesów Rosjan z byłych republik sowieckich, którzy po rozpadzie Związku Sowieckiego znaleźli się w obcych państwach. Ich liczby nikt dokładnie nie zna: mówi się o 20 do 25 milionach. Zjazdowi wspólnot rosyjskich przewodniczył Jurij Sko-

kow. Wspominałem o nim kilkakrotnie w ciągu ostatnich lat. Skokow urodził się w 1938 roku, jest inżynierem radiowcem, pracował jako dyrektor fabryki, w 1989 zaczął karierę polityczną w kręgu Jelcyna. Po 1991 roku został sekretarzem Rady Bezpieczeństwa, mianował Aleksandra Lebiedia dowódcą 14-ej armii. W 1993 Jurij Skokow wszedł w konflikt z prezydentem i zniknął z centralnej administracji. Dziś stoi na czele Związku Przemysłowców („partia dyrektorów”) i interesuje się żywo problemami rejonów, gdzie ma też немало zwolenników. Jest orędownikiem twardego zarządzania gospodarką. W 1992 roku gazeta *Moskowskij komsomolec* pisała: „Jurij Skokow jest jedynym człowiekiem z kręgu Jelcyna, który potrafiłby i jest gotów sprawować dyktaturę”.

Jesienią ubiegłego roku Jurij Skokow oświadczył: „Jednocześnie opowiadam się za przeprowadzeniem wyborów prezydenckich w przewidzianym konstytucyjnie terminie... Czy sam zgodzę się poddać balotażowi na to wysokie stanowisko? Nie wykluczam. Konkretną decyzję podejmę później”. Zaproszenie generała Lebiedia na zjazd wspólnot rosyjskich może znaczyć, że Skokow postanowił poprzeć kandydaturę popularnego generała. Na zjeździe Aleksandra Lebiedia powitano stojącą owacją, jak uznanego przywódcę. Szczególnie gorąco oklaskiwali go Kozacy, którzy w swych barwnych mundurach walnie stawili się na zjazd.

W ostatnich miesiącach generał Lebied' nieustannie udzielał wywiadów dziennikarzom, którzy z całego świata zjeżdżają do niego do Tyraspoła. Do Moskwy przyjechał – na razie na dwa dni – aby pokazać, że cieszy się poparciem Skokowa.

Sondaże wskazują, że „prawica”, którą socjologowie nazywają „demokratycznym *spectrum*”, może liczyć na mniej więcej 40% głosów. Ci sami socjologowie uważają, że ekstremiści też nie zdobędą więcej. Minęły czasy, kiedy wyborcy uważali, że każda zmiana będzie zmianą na lepsze. Szeregowy obywatel, nie widząc, by jego życie w wyniku reform stało się lepsze, nie spieszy się do zmiany władzy ani w ogóle do zmian. Spodziewa się po nich raczej dalszego pogorszenia, aniżeli poprawy swego losu. Dlatego Aleksander Lebied', wybrany do Rady Narodowej zjazdu wspólnot rosyjskich, apeluje wyłącznie o reformy rozsądne i obowiązkowo w ramach prawa.

Generała, który wstępuje na rosyjską arenę polityczną pod sztandarem ładu i porządku, można by potraktować

ironicznie. Tymczasem 11 kwietnia 1995 paryski *Le Monde* ogłosił wyniki sondażu przeprowadzonego we Francji i zaopatrzył je nagłówkiem: „Większość Francuzów pragnie prawdziwego przywódcy i prawdziwego państwa”. Obywatele spokojnej, dostatniej Francji chcą, aby państwo bardziej niż dotychczas ingerowało w życie społeczne i polityczne.

Tym bardziej marzą o tym obywatele Rosji, wszystkich byłych republik sowieckich, a może nawet całego byłego obozu socjalistycznego, którzy już sześć lat żyją w nowych, wciąż niepojętych i zatrważających warunkach.

12.4.1995

Adam KRUCZEK

O Ukrainie i Krymie... w Berlinie

Zdaje się, że szanse Ukrainy na wyjście z kryzysu rosną. Do takiego ostrożnego optymizmu nastrojają reakcje Zachodu na reformy prezydenta Leonida Kuczmy. Okazją do rekonesansu była konferencja w renomowanym berlińskim Instytucie Aspena, poświęcona wszechstronnej debacie o sytuacji państwa ukraińskiego, stosunkom z Rosją, Zachodem, Polską i Węgrami. Była to pierwsza tego rodzaju narada w długiej historii tej szacownej instytucji. Powołał ją do życia i umieścił w uroczym zakątku Berlina nad jeziorem Wansee, nieżyjący już Shepard Stone, dziennikarz, politolog, dyplomata. Było to w okresie zimnej wojny i chodziło o stworzenie miejsca na spotkania pomiędzy podzielonym światem, o dialog Zachodu ze Wschodem. Stone był w tych sprawach czarodziejem. Umiął pokonywać biurokratyczne i ideologiczne bariery, które wielu politykom wydawały się nie do zdobycia. Robił to z dużą porcją dyskrekcji i to było też po części gwarancją sukcesu. Stąd też „Aspen-Institut” był spowity legendą tajemniczości, nieomalże jak ongiś loże masońskie! Atmosfera spotkań aspenowskich niekiedy trąci istotnie spuścizną po

łożach. W każdym razie jednak jest o wiele cenniejszą instytucją niż pomasońskie siatki klubów Rotary, które przemieniły się w towarzystwa wspólnych obiadów i kolacji z przeważnie podłą kuchnią.

Schedę po Stonie przejął były dyplomata, dawny ambasador Stanów w Belgradzie, politolog i profesor David Anderson, który, mimo odwagi, z Ukrainą długo zwlekał. Ale to wyszło mu na pożytek. Kwietniowym terminem trafił w dziesiątkę. I choć kilku ukraińskich polityków, jak na przykład wiceminister spraw zagranicznych, Borys Tarasiuk, nie mogło się uwolnić od bieżących obowiązków, ekipa, która przybyła nad Sprewę, wykazała się nie tylko umiejętnością debatowania, ale przede wszystkim kompetencją w omawianych sprawach. A były to niebłahe rzeczy. Stan reformy ekonomicznej, polityka wewnętrzna i zagraniczna, kryzys dookoła Krymu, pertraktacje z Rosją w sprawie podpisania układu międzypaństwowego, rozbrojenie i bezpieczeństwo, relacje z najważniejszymi sąsiadami na zachodzie i południu, z Polską i Węgrami.

Był to jednocześnie swego rodzaju test międzynarodowy dla nowej jakości w polityce ukraińskiej i stopnia uznania dla niej ze strony Zachodu. Test wypadł niespodziewanie dobrze dla dzisiejszego Kijowa. Przedstawiciele ekipy prezydenta Kuczmy, jak doradca w sprawach ekonomicznych Kuzniecowa lub w kwestiach bezpieczeństwa generał Hreczaninow ale i członkowie parlamentu Muchin czy Stretowycz, wykazali duży stopień kompetencji i przywiązania do wymowy faktów a nie pobożnych życzeń. Poglądy opozycji reprezentował przywódca Ruchu, Czornowił. Słuchając wypowiedzi przedstawicieli dyplomacji amerykańskiej, angielskiej i niemieckiej, oraz władz europejskich z Brukseli a przede wszystkim rzecznika Banku Światowego, miało się wrażenie, że reformy Kuczmy i wyrzeczenie się broni atomowej przełamały lody i dawną nieufność wobec Ukrainy. Możliwe, że do tego przyczyniły się ostatnie doświadczenia Zachodu z polityką Rosji Jelcyna, szczególnie barbarzyńska wojna w Czeczenii. W każdym razie kiedy dochodziło do pojedynków słownych pomiędzy dyplomatą rosyjskim Dubininem i ukraińskim Furkałą w sprawie podwójnego obywatelstwa lub w kwestiach Floty Czarnomorskiej, opcja zachodnia była wyraźnie po stronie ukraińskiej.

Nie wystarczyło czasu na dyskusje o stosunkach Kijowa z Budapesztem i Warszawą, które przedstawili ambasador

węgierski w stolicy Ukrainy Istvan Varga i kierownik departamentu dla krajów Europy Wschodniej w warszawskim MSZ-cie, Jerzy Bahr. Pomiędzy nimi odbył się swoisty pojedynek o palmę pierwszeństwa w przyjaźni z Ukrainą. Dyplomata węgierski miał tę przewagę, że pomiędzy Ukrainą a Węgrami jest stałe porozumienie z tendencją poszerzania i rozbudowy stosunków, które, według Vargi, są wzorcowymi dla Węgier.

Cios w separatystów rosyjskich

Sprawa Krymu siłą faktu musiała się znaleźć na wokandzie konferencji berlińskiej, chociaż nikt jej nie dramatyzował, tak jak to czyniła prasa niemiecka, podkręcana relacjami o podarciu w Dumie flagi ukraińskiej przez przywódcę nacjonalistów Łysienkę (nazwisko świadczy o pochodzeniu ukraińskim, a zatem o szczególnym zabarwieniu szowinizmu jego nosiciela) i powtórzeniu podobnej sceny ze sztandarem rosyjskim, podartym w kijowskim parlamencie rękami lwowskiego nacjonalisty Witowycza. Sankcje wobec tych „rozdzieraczy” flag zastosowane w Moskwie i Kijowie są rozmaite. Łysienkę odebrano tylko aktywne uczestniczenie w debatach do końca kwietnia. A sprawę Witowycza przekazało prokuraturze.

Wiaczesław Czornowił, który na krótko przed przyjazdem do Berlina przebywał na targanym ustawicznymi kryzysami półwyspie, przedstawił uczestnikom obraz sytuacji. Przypomniął, że Krym był od wielu dziesiątków lat terenem osiedlenia emerytowanych i zasłużonych oficerów rosyjskich. W rezultacie mieszkańcy Krymu stanowią dziwną mieszankę środowiskową i światopoglądową. Zdaniem przywódcy Ruchu, pierwszy prezydent Ukrainy, Leonid Krawczuk w typowy dla jego kunktatorstwa sposób zupełnie niepotrzebnie tolerował wybryki separatyzmu rosyjskiego, sprzecznego z zasadami Konstytucji Ukrainy, regulującej zasięg autonomii Krymu.

Uchwałą z 17 marca parlament Ukrainy prawie jednogłośnie skasował separatystyczną konstytucję oraz urząd prezydenta Krymu, kładąc w ten sposób kres rosnącemu chaosowi w administracji półwyspu, szerzącej się anarchii i przestępczości. Niepoczytalny w swych pociągnięciach w walce z parlamentem „prezydent” Mieszkow był, zdaniem

ekspertów, posłusznym narzędziem mafii. Ta zaś była na najlepszej drodze, aby poprzez dekrety Mieszkowa o prywatyzacji przywłaszczyć sobie majątek dawnej Rivieri imperium. Zbliżające się transakcje tego typu uniemożliwił szef rządu autonomicznego półwyspu, Anatol Franczuk, szwagier Kuczmy. Zaalarmował prezydenta, że należy szybko działać. I tak się stało. Kijów skasował wszystkie dotychczasowe akty separatyzmu krymskiego, żądając przystosowania przepisów do ustawodawstwa „macierzy”. Cała operacja odbyła się – w przeciwieństwie do zbrojnej akcji Jelcyna w Czeczenii – bez najmniejszego użycia siły i przy głośnie poparciu istotnych autochtonów – Tatarów krymskich. Władze rosyjskie, żądające drogą wojny przywrócenia „porządku konstytucyjnego” w Czeczenii, mogły jedynie powiedzieć że to jest „wewnętrzna sprawa” Ukrainy. Nieustanne apele Mieszkowa i – do niedawna skłóconego z nim przewodniczącego parlamentu krymskiego – Siergieja Cekowa do Rosji i całego świata o pomoc „przeciwko przemocy” ukraińskiej zawisły w próżni. Z zemsty większość deputowanych w Symferopolu obaliła rząd Franczuka, ale Kijów nie przyjął tego do wiadomości. Separatystom rosyjskim nie udało się, mimo wielu odezw, zorganizować społecznego protestu. Oprócz kilku wieców starszych kobiet i mężczyzn w Sewastopolu na półwyspie panuje spokój. Tylko w moskiewskiej Dumie wybuchają pod wpływem antyukraińsko nastawionego Konstantina Zatulina, przewodniczącego komisji dla spraw Wspólnoty Niepodległych Państw, akcje proseparatystyczne. Jak dotąd zarówno prezydent Jelcyn jak i premier Czernomyrdin je ignorują.

Polska – Ukraina

Faktycznie nadal nad Wisłą panuje głęboka cisza na temat stosunków polsko-ukraińskich. Wszyscy patrzą na Zachód, oczekując natowskiego cudu, który – biorąc pod uwagę głęboki kryzys tej instytucji i brak jakiegokolwiek kursu wiodącej siły czyli Stanów Zjednoczonych – pewnego dnia stanie się zamiast oczekiwanego wybawienia kolejnym rozczarowaniem. Pęd Polski na Zachód ma chyba podwójne dno: pierwsze – to poczucie własnej słabości albo inaczej mówiąc brak odwagi do opracowania niezawisłej doktryny politycznej w sprawie tworzenia nowego ładu w Europie na wschód od

Niemiec. Drugie, to fakt, że satelictwo dość mocno zniszczyło twórczą tkankę mózgową nieodzowną dla formowania nowej polskiej racji stanu. Prawdę mówiąc, w tej kardynalnej kwestii nigdy nie doszło do prawdziwej polskiej debaty narodowej. Początki tego były w okresie stanu wojennego w wielu niezwykle żywych i naprawdę kreatywnych ośrodkach. Zresztą to samo dotyczy moich ziomków, chociaż ci byli i są w gorszej sytuacji. Wydaje się, że nasze elity polityczne są zdolne do wysokich myśli i wielkich idei tylko w wyjątkowych sytuacjach. Kiedy znika zagrożenie i czasy stają się normalne – lub tak wyglądają – idee zamierają. Zresztą polska moda na okcydentalizm ma długą tradycję. Najpierw jako orientacja na Francję, potem stawka na Anglię, no i wreszcie miłość do Ameryki. Dziś jest moda na euroamerykanizm, pojęcie raczej mgliste, jak większość współczesnych tendencji politycznych w Polsce, przez nikogo dotąd nie sprecyzowane. Ale kierunek ten odpowiada niewątpliwie oczekiwaniom i nadziejom, pielęgnowanym przez opozycję w czasach dyktatury komunistyczno-biurokratycznej. Jest też najprostszą odpowiedzią na permanentny dylemat polskiej polityki zagranicznej w kwestii balansu pomiędzy Wschodem i Zachodem. Polska międzywojenna, z własnej woli w traktacie ryskim pomniejszona i na skutek tego niezdadna do większych operacji politycznych przeciwko bolszewickiej Moskwie, przyjęła wbrew rządzącej sanacji antypiłsudczykowską koncepcję asymilacji Ukraińców i tym samym dokonała politycznej samokastracji.

To, co przyszło potem, było konsekwencją tego skarlenia myśli, zamkniętej w prowincjonalnym pobrzękiwaniu nacjonalistyczną szabelką, bez oparcia w wielonarodowym społeczeństwie ówczesnego państwa polskiego. Tym czadem byli odurzeni wszyscy mężowie stanu w Polsce emigracyjnej i podbitej czasów drugiej wojny światowej. I właśnie na takim prowincjonalno-nacjonalistycznym kobiercu udało się polskim „narodowym” komunistom uzyskać poparcie jeśli nie większości to dużej części społeczeństwa, zwłaszcza inteligencji humanistycznej i technicznej. Nastąpiło w tej czterdziestoletniej dobie coś w rodzaju powtórki „priwislanskiego kraju”, nie w rzeczywistości ale też nie w karykaturalnym wydaniu. Tym razem było mniej prawdziwej politycznej kolaboracji z Moskwą, ale za to może silniejsze i głębsze porażenie mocą Kremla, niż można by sądzić na podstawie antysowieckich czy antyrosyjskich odruchów, zresztą czysto powierzchownych. Odruchy te bywają, jak się zdaje, często czymś w

rodzaju mimikry lub wierzchniej skorupy ochronnej, z zachowaniem wewnątrz starej treści strachu.

Trudno dzisiaj dociec na ile proukraińskie deklaracje, opracowania, manifesty za czasów Solidarności, były modą przejściową. Przypuszczenie, że było tak a nie inaczej, wynika stąd, że wszystkie owe szlachetne gesty po zdobyciu niepodległości powędrowały do lamusa. Żadna z nowych partii demokratycznych nie rozbudowała ich w swych założeniach programowych, ani nie podjęła konkretnych działań na rzecz sojuszu polsko-ukraińskiego. Praktyczna polityka dzisiejszych niepodległościowców wlecze się daleko w tyle dawnych odezów.

Zaistniała dziwna sytuacja. Nie wiem dlaczego – bo może ze względów kurtuazji a może ze starego przyzwyczajenia – ukraińscy dyplomaci zamykają oczy na okres inercji i odmawiają zgodnie pacierz, że dzięki Bogu wszystko leci dobrze. Ignorują poglądy znawców, wypowiedzi Jerzego Pomianowskiego, Myrosława Czecha, Romana Kryka, Bohdana Skarskiego, dzisiejskiego i innych. Jest to stanowisko, mówiąc oględnie, niezbyt mądre. Zresztą nawet politycy polscy czasami – jak niedawno Bronisław Geremek – mają odwagę, aby stwierdzić, „że do tej pory jeszcze się nam nie udało w taki sposób określić stosunki między naszymi dwoma narodami i naszymi dwoma państwami, żeby one były elementem bezpieczeństwa europejskiego” (Geremek w wywiadzie dla ukraińskiego programu BBC). A tymczasem przeminęło prawie bez echa stulecie urodzin poety Maksyma Rylskiego, może największego symbolu wspólnoty polsko-ukraińskiej. Obawiam się też, że tak samo w głuchej ciszy albo w zdawkowym przypomnieniu przeminie rocznica 75-lecia sojuszu Józefa Piłsudskiego z Symonem Petlurą z 21 kwietnia 1920 roku – data, która winna była stać się przedmiotem specjalnej sesji Sejmu.

14 kwietnia 1995

Bohdan OSADCZUK

Notatki praskie

Złota Praha była moim marzeniem niemal zawsze, bo od 19 roku życia, gdy w wojsku w Szkocji przypadkiem odkryłem wydawany w Londynie miesięcznik *OBZOR (Horyzont)*: luksusowy papier, wielki format, wyszukana szata graficzna, jakiej nie miały polskie publikacje z Londynu. Może też dlatego język czeski, o którym nie miałem w ogóle pojęcia, oczarował mnie od pierwszej chwili. Zacząłem czytać na własną rękę zgadując raczej niż rozumiejąc. Kilka miesięcy później udało mi się zamówić w Londynie tomik poezji Jaroslava Seiferta „Světlem oděná” (Odziana światłem), poświęcony Pradze. Potem wojna się skończyła, upłynęło wiele lat, zostałem sławistą, ale o Pradze nadal mogłem tylko marzyć.

I nagle wiosna praska, mogłem tam pojechać, zostało mi wspomnienie ogólnej radości, upojenia wolnością, dyskusji na ulicach, wszyscy rozmawiali ze wszystkimi wetując sobie lata przymusowego milczenia. Praga, choć po sowiecku zapuszczona, wydała mi się równie wielkomięjska jak Paryż, ciągle jeszcze była Złotą Pragą. A potem znowu 22 lata. Pojechałem do Pragi w r. 1990, a więc jeszcze w okresie euforii, ludzie na ulicy uśmiechali się, miasto wyglądało już kolorowo, choć wszędzie były jeszcze ślady czterdziestu lat panowania Azji. Na niewielkiej konferencji, urządzonej przez Ośrodek Kultury Polskiej, na którą przyszło jednak wiele osób, dowiedziałem się, że Ośrodek był dla Czechów latami oknem na świat.

A teraz znowu Praga 1995. Poszedłem do biura podróży, by zamówić miejsce w wagonie sypialnym. – Dobrze, ale tylko do Pragi. Z powrotem będzie trudniej, nie ma jeszcze połączenia komputerowego. Będziemy musieli napisać albo wysłać fax. Niech Pan wpadnie albo zadzwoni w sobotę (był poniedziałek), albo nie, niech pan zostawi numer telefonu. Dwie godziny później telefon: jest potwierdzenie faxem z Pragi. A więc jednak Europa.

Różni znajomi, w tym również Czesi, straszili mnie, jak okropnie skomercjalizowana, zamerykanizowana, wulgarna zrobiła się Praga w międzyczasie. Przyznam, że nic z tego nie

zobaczyłem. Jest wprawdzie gdzieś Macdonald, rażą czasem turyści (akurat byli rozwyrzeni Włosi, nie Amerykanie). Co prawda miałem fantastyczne szczęście: trzy dni słoneczne, niemal wiosenne, wśród marcowej niepogody. Przyjechałem z dwoma wykładami, a także, by spotkać się z przyjaciółmi z pisma *Střední Evropa*, gdzie ukazało się już kilka tekstów Stanisława Vincenza. „Dialogi z Sowietami” z kolei miały właśnie iść w praskim radiu.

Jeden z wykładów był dla polonistów na Uniwersytecie Karola, pt. „Czesław Miłosz a Stanisław Vincenz”. Było nawet sporo słuchaczy, ale dyskusja była tu – zwłaszcza w porównaniu z drugim wykładem – niezbyt gorąca...

Drugi wykład, w Instytucie Polskim, zatytułowany był nieco prowokacyjnie: „Czy Czesi są Słowianami?” Proponowałem, by dać już spokój Słowianom i zostawić ich wraz z Germanami, Wandalami, Gotami itd. tam, gdzie jest ich miejsce: w okresie wędrówki ludów i aż po IX-X wiek. A kim są Czesi? Są przecież Europejczykami, Praga była stolicą św. Cesarstwa Rzymskiego, co widać na każdym kroku, chrześcijaństwo otrzymała ze starego rzymskiego miasta Ratyzbony w r. 845, przekazała je Polsce dopiero 120 lat później, sama zaś brała żywy udział w tym co się działo w Rzymie, Paryżu i Madrycie, a nawet w Anglii (Wiklef i Hus).

Sala była wprawdzie pełna, ale prawdę mówiąc spodziewałem się energiczniejszej opozycji. Jeden tylko starszy pan ubolewał, że (choć polskiego się nie uczył) zawsze uważał Polaków za braci, a teraz co będzie? Mogłem mu tylko poradzić, by uważał za braci przyzwyczajonych ludzi niezależnie jakim mówią językiem, no a że wśród Polaków jest zapewne nie mniej łobuzów niż wśród Czechów. Lecz dyskusja przeniosła się szybko, jak to bywa, na temat pośrednio tylko związany z wykładem, na Niemców sudeckich. Jakaś jeszcze młoda pani bardzo gwałtownie twierdziła, że wszyscy Niemcy sudeccy nienawidzą Czechów, że ona dostaje ciągle listy z wyzwiskami, napisane poprawnie po czesku, a więc od Niemców sudeckich, itd. itd. Tu nie musiałem już odpowiadać, bo zaczęła się dyskusja między Czechami. Pocięzające było, że większość obecnych na ten wybuch nienawiści odpowiadała argumentami. Obecny na sali prof. Mešťan, od wielu lat profesor uniwersytetu w Freiburg/Breisgau, a teraz też dyrektor praskiego Instytutu Słowiańskiego, jednej z najbardziej prestiżowych instytucji tego rodzaju, przypominał ile jemu i innym czeskim emigrantom pomogli właśnie Niemcy

sudeccy, i to nie tylko osobiście, ale też urządzając spotkania, konferencje i dyskusje na tematy wspólnej przeszłości i teraźniejszości. Inni wspominali o niedawnych spotkaniach z Niemcami sudeckimi, w tym też z politykami i starali się przedstawić obiektywnie ich argumenty dotyczące wysiedlenia w latach 1945-1946. Inni czescy uczestnicy przypomnieli też, że wysiedlenie było bezprawiem samó w sobie i że nie obeszło się przy tym bez zbrodni.

Z późniejszej rozmowy w węższym gronie dowiedziałem się, że dyskusja ta była w jakimś sensie symptomatyczna: Czesi cierpią jakoby ciągle na kompleks kolaboracji (1938-1945), mają też nieczyste sumienie z powodu wysiedlenia Niemców, z których duża część to nie byli przecież żadni hitlerowcy. Wszystko to ma jakoby jakiś związek z „poszukiwaniem tożsamości”, a to ma miejsce nie tylko w Czechach. Jeszcze jednym ciekawym spotkaniem był wieczór spędzony z redaktorem miesięcznika *Střední Evropa* (Średnia Europa), Josefem Mlejnekiem w uroczej kawiarni-księgarni. O czasopiśmie *Střední Evropa* warto by napisać coś więcej. Ale to może innym razem.

Andrzej VINCENZ

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Notatki Redaktora

Samodzielną politykę zagraniczną zaczynają prowadzić burmistrzowie. *Agence France Presse* donosi, że czeczeński ośrodek informacyjny w Krakowie ma w najbliższym czasie uruchomić Radio „Wolny Kaukaz”. Burmistrz Krakowa, p. Stanisław Handzlik, przyznał ośrodkowi obszerny lokal w centrum miasta oraz dotację w wysokości 4 tysięcy dolarów. Radio „Wolny Kaukaz” będzie nadawało na falach średnich i będzie korzystało z poparcia polskiego radia prywatnego. Audycje będą w języku czeczeńskim i rosyjskim. Tym wszystkim kieruje p. Ali Ramazan Ampukajew, przedstawiciel Dudajewa w Polsce. Ambasada rosyjska w Warszawie złożyła protest. Poinformowany o tym p. Handzlik oświadczył, że działalność jego i czeczeńskiego ośrodka jest zgodna z prawem.

W czasie lutowej wizyty w Mińsku Jelcyn podpisał umowę o unii celnej, o rosyjskich bazach wojskowych na Białorusi i wspólnej ochronie granic. Prezydent Łukaszenka chce przeprowadzić referendum na temat, czy język rosyjski ma być drugim językiem państwowym oraz w sprawie zmiany symboli państwowych (herbu „Pogoni” i sztandaru biało-czerwono-biały), hymnu państwowego i powrotu do symboli z okresu ZSSR.

Jednocześnie w bieżącym roku filia Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku otworzyła katedrę filologii białoruskiej. Jednak po miesiącu prof. Serczyk postanowił katedrę rozwiązać a studentów wcielić do rusycystyki. Pretekstem jest fakt, że na filologii białoruskiej brakuje ośmiu samodzielnych pracowników naukowych. Gdyby tę regułę wprowadzić

konsekwentnie w życie w całym kraju, trzeba by było zlikwidować wszystkie katedry filologii słowiańskich. Przypominam, że niedawno na KUL zlikwidowano naukę języka rosyjskiego. Ciekaw jestem, gdzie uczą się języka rosyjskiego – na skutek zarządzeń episkopatu – księża polscy wysyłani na Ukrainę i Białoruś.

Polecam uwadze Towarzystwu „Polonia” i orędownikom repatriacji Polaków z Kazachstanu i sąsiednich republik artykuł Andrzeja Stacha „Repatriacja Niemców rosyjskich do Niemiec” zamieszczony w kwietniowym numerze *Kultury*.

Rosnące zainteresowanie w Niemczech Litwą. W Ostsee-Akademie w Travemünde koło Lubeki odbędzie się 21-23 kwietnia konferencja na temat „Stosunki polsko-litewskie”. Z Litwy zaproszono 12 osób a z Polski jedynie p. Mieczysława Jackiewicza z Olsztyna. 13-15 października br. w Institut Norddeutsches Kulturwerk ma odbyć się konferencja *Minderheiten in Litauen. Das Ende 1945 und der Neubeginn 1989*.

3 kwietnia odbyła się naprawdę świetnie zorganizowana i wzruszająca uroczystość w rocznicę zbrodni katyńskiej. Miejmy nadzieję, że będzie to swego rodzaju zamknięciem tak ostatnio nagłośnionej sprawy. Rosja przyznała się do zbrodni i, choć z oporami, ujawniła dokumentację. W Katyniu ma być urządzony cmentarz i postawiony pomnik.

Nie byłby wskazany udział prezydenta w projektowanych obchodach w Katyniu. W uroczystościach powinien tylko wziąć udział bp polowy, przedstawiciele Komitetu Katyńskiego i rodziny pomordowanych. Będzie to godne i poważne zakończenie tej tragicznej sprawy. Eksploatowanie Katynia przez *mass media* będzie tylko zadrażniać nasze niełatwe stosunki z Rosją. Trzeba pamiętać, że ofiarami zbrodni

stalinowskich były także miliony samych Rosjan i dziesiątki tysięcy Ukraińców, Białorusinów i Litwinów.

Dziennikarska nieodpowiedzialność. Niedawno w *Gazecie Wyborczej* ukazał się reportaż o szkole wywiadu MSW w Kiejkutach. Pomijając niebywałą fantazję w opisie szkolenia polskich Jamesów Bondów, tego rodzaju sensacje są niezmierznie szkodliwe i kompromitujące dla państwa. Inna rzecz, że z polskim wywiadem i kontrwywiadem jest naprawdę niedobrze. Poza aferą p. Zacharskiego, dowiedzieliśmy się niedawno, że w Polsce funkcjonował ośrodek terrorystów arabskich, był nawet pod Dęblinem ośrodek szkoleniowy dla terrorystów (pisaliśmy o tym w swoim czasie w *Kulturze*). Na terenie Warszawy odbywały się porachunki między różnymi grupami terrorystycznymi. Trzeba radykalnie uporządkować tę stajnię Augiasza. Służba informacyjna jest sprawą b. ważną, specjalnie dla Polski znajdującej się w niezmiernie trudnym położeniu geopolitycznym. Jesteśmy prawdziwą „różą wiatrów” dla różnych międzynarodowych akcji podziemnych, nie mówiąc o działalności KGB w przeszłości i obecnie. Trzeba tę służbę stworzyć na nowo od podstaw, nawiązując do przecież tak dobrej tradycji i osiągnięć w okresie Drugiej Rzeczypospolitej. W Londynie, w Instytucie im. Sikorskiego są akta II Oddziału. Były również specjalne kursy szkoleniowe robione przez płk. Meyera. Nie wiem, czy zachowały się skrypty. W ogóle do Londynu wyjeżdża masę osób badających archiwa, ale dotyczy to prawie wyłącznie spraw związanych z działalnością kulturalną emigracji, opracowań biograficznych czy pamiętnikarskich. Nie słyszałem, by ktoś ze strony wojska szukał w londyńskich archiwach materiałów, które mogłyby być wykorzystane dla naszej polityki wojskowej.

W wojsku jest niedobrze. Prasa donosi, że sztab generalny uważa, że prezydent Wałęsa, marszałkowie Zych i Struzik, a może nawet gen. Wilecki powinni mieć „własne” jednostki wojskowe. Przed wojną był zwyczaj, że niektóre pułki miały

swoich szefów, jak np. Marszałka Piłsudskiego, gen. Sosnkowskiego, no ale gen. Sosnkowski był jednym z twórców armii polskiej w 20 roku, a o znaczeniu Marszałka nie potrzeba wspominać. Dzisiaj wprowadzenie „szefostw” byłoby nie tylko humorystycznym snobizmem, ale mogłoby grozić dalszym upolitycznianiem wojska. Powstałaby wtedy jakaś prywatna armia p. Wałęsy czy Pawlaka. Tymczasem sztab generalny zajmuje się głupstwami, jak chociażby to, że poważnie dyskutuje się wprowadzenie mundurów wyjściowych, a np. ciekawa inicjatywa prezydenta Litwy, Brazauskasa, stworzenia batalionu polsko-litewskiego nie miała ze strony polskiej żadnego dalszego ciągu.

Coraz bardziej narasta problem uciekinierów z obszaru b. ZSSR. Na samej Białorusi jest ich w tej chwili 25 tys., a oprócz tego ok. 2 tys. z krajów Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. To samo dzieje się na Litwie. Problemem zaczynają być uciekinierzy z Czeczenii. Na Białorusi np. jest ich ok. 70 osób. Są również w Polsce. Wszyscy oni chcą się za wszelką cenę dostać na Zachód. Polska zaczyna być krajem tranzytowym. Jednocześnie są próby działalności politycznej ze strony tych uciekinierów.

REDAKTOR

Ci, co odeszli

Pożegnanie przyjaciela Moskala

Mogę dokładnie ustalić datę i miejsce naszego pierwszego spotkania: wrześniowe popołudnie 1974 na pięterku mojej ulubionej kawiarni paryskiej Cluny. Nasza rozmowa była przeznaczona dla *Kultury*. Władimir Emelianowicz Maksimow wyjechał z Moskwy w lutym tego roku, w dniu banicji Sołżenicyna. „Wyjechałem z jednym gwoździem w głowie: założyć pismo. Napisałem do Sołżenicyna. Odpisał listem, w którym było między innymi takie zdanie: *Ja dumaju, Wam objazatielno nada swiazatsia s Poliakami iz „Kultury”*. Powstał więc *Kontynent*, do międzynarodowego komitetu redakcyjnego weszli trzej Polacy: Józef Czapski, Jerzy Giedroyc i niżej podpisany. Podczas każdego „miesiąca lafickiego” odwiedzałem Maksimowa w jego mieszkaniu lub w redakcji na Lauriston, parę kroków od Etoile i Łuku Triumfalnego. Niekiedy odwiedzaliśmy go w dwójkę, z Jerzym Giedroyciem. A raz, pamiętam, przyszliśmy „w komplecie”, w trójkę, na zaproszenie mieszkającej u Maksimowa żony Sacharowa, Eleny Bonner.

Moim rozmówcą w Cluny był Rosjanin z gruba ciosany, otwarty, prosty, chwilami szorstki, bez żadnych „rafinacji intelektualnych”, rzeczywiście „z jednym gwoździem w głowie”, nasycony gniewem wobec „ojczyzny proletariatu światowego”, on – syn robotniczej rodziny. Jako młody chłopiec był w Komsomole, redagował tam jakieś pisemko pod nadzorem Gorbaczowa. Mówił o nim zawsze, z cichym chichotem, *chitrij* albo *chitreńkij Miszka*. Kiedy myślę o jego wczesnym i radykalnym zerwaniu z komunizmem, przypomina mi

się wyznanie pisarza amerykańskiego (Murzyna) Richarda Wrighta: za młodu przyjąłem komunizm jak komunię, zaraz potem wypłułem opłatek obrzydzonego jego smakiem.

Podana mi na powitanie prawa dłoń Maksimowa, trudna do uściśnięcia z braku trzech palców, mówiła coś o jego życiu. On sam milczał o przeszłości, ale od wspólnych znajomych, Rosjan, wiedziałem że był współczesnym wcieleniem Gorkiego, samoukiem i „bosiakiem”, wędrującym po Rosji i chwytającym się wciąż nowych zajęć. Te wędrówki pozwoliły mu napisać jedną z najlepszych porewolucyjnych powieści rosyjskich *Siedem dni Stworzenia*, która odstąpiła nieznanej Rosję „głęboką”, Rosję mnożących się sekt religijnych.

W naszej rozmowie, drukowanej w październikowym numerze *Kultury*, uderza mnie dziś zakończenie, odpowiedź na moje pytanie o pierwsze doświadczenia na Zachodzie: „Widzi pan, to jest tak. Rozmawiam z kimś i mimochodem wtrącam, że zbliżyłem się do pewnego środowiska. Rzadka mina, grymas niesmaku: za mało na lewo. I nie wie biedaczek, że w tym środowisku tak samo wybrzydza się na niego. Z początku znośłem to cierpliwie, ale ostatnio wybuchnąłem: zdecydujcie się nareszcie *kto iz was lewieje*. Cała ta licytacja lewicowości odbywa się pod znakiem antyfaszyzmu, pomijając na ogół równanie proste dla mnie, pisarza rosyjskiego świeżo przybyłego z Moskwy: komunizm to faszizm”.

Z takimi poglądami nie mógł być w Paryżu nawet primadonną jednego sezonu. I w rzeczy samej stronili od niego luminarze francuscy, których wykarmiły sartroidalne idiotyzmy i filozofijki w rodzaju *Humanizmu i terroru* Merleau-Ponty. Do końca mógł tylko liczyć przy każdej okazji na Ionesco. Swój pamflet, który pogrążył go ostatecznie w oczach paryskich „postępowców”, zatytułował *Saga o Nosorożcach*.

Z rodakami było różnie. Unikał marksistowskiej parafii Miedwiediew-Czalidze, poróżnił się szybko z Siniawskim (mając stuprocentową rację), związał się z Niekrasowem, Brodskim, Hellerem i Nataszą Gorbaniewską, uwielbiał Sacharowa i jego żonę. A przede wszystkim, na początku zwłaszcza, Sołżenicyna. Jak Sołżenicyn – pracując nad powieściami soliterami – mógł pisać ogromne listy do Maksimowa, pozostanie tajemnicą prywatnego izolatora w Vermont. Widywałem czasem te listy, kiedyśmy trochę popijali na

Lauriston. W jednym była zwariowana nieco polemika z moim szkicem *Jegor i Iwan Denisowicz*, ogłoszonym po rosyjsku w *Kontynencie*. Jak mogłem – pieklił się wielki pisarz – porównać Sachalin Czechowa z sowieckim Gułagiem? „Wyszedł z niego Polak”, brzmiała konkluzja. Przypomniało mi się, że po sołżenicynowskim *Liście do przywódców sowieckich* jeden z warszawskich literatów oznajmił triumfalnie w kawiarni: „A nie mówiłem? Wyszedł z niego w końcu Rosjanin!” Na co obecny przy stoliku Słonimski: „A kto miał wyjść? Holender?”

Kontynent był dobrym, bogatym i ciekawym pismem, redagowanym pewną ręką przez swego założyciela. Według mnie odegrał dużą rolę wśród emigrantów rosyjskich i w Rosji, gdzie jednak kapaniną docierał. Nie można go porównywać z *Kulturą*, ale z *Kulturą* nie można też porównywać *Svedectvi* Tigrida, a przecież każdy inteligentny Czech powie, że paryski periodyk Tigrida był ważniejszy od rzymskich *Listów Pelikana*.

Po raz ostatni widziałem Maksimowa na zorganizowanym przez niego sympozjone rosyjsko-francuskim w Paryżu. Na pożegnalnym drinku trącił się ze mną kielichem i pokonując przyrodzoną powściągliwość, szepnął mi prawie na ucho: „Nawet nie wiecie, wy z *Kultury*, ile wam zawdzięczamy”.

Przeskoczę do listopada 1992. Maksimow ma już za sobą kilka podróży do Moskwy, tam przeniósł z Paryża *Kontynent*, oddawszy go w ręce swego przyjaciela Winogradowa. Na zaproszenie Jerzego Giedroycia daje Nataszy Gorbaniewskiej wywiad dla *Kultury*. Czysta, stężona czerń, albo „czarno na czarnym” (że zapożyczę ten zwrot od pisarza sycylijskiego Leonardo Sciascia). Rosję pod wodzą Jelcyna opanowała szajka żulików, ignorantów, oszustów; jest nawet nie na kolanach, lecz leży powalona i sparaliżowana. Biedna Natasza, tak z nim zaprzyjaźniona, tak mu wierna, próbuje łagodzić jego sądy. Ze skutkiem odwrotnym od zamierzonego. Na prośbę Jerzego napisałem krótki wstęp redakcyjny, dystansujący się w jakimś stopniu od wywiadu, podkreślający naszą rezerwę wobec tak ponurego, pesymistycznego obrazu.

W trzy lata później widać ile miał racji, chociaż z rosyjskim „nadrywem”, rozjuszony Maksimow, pełen rozpa-

czy i goryczy. I widać też, jak ciężki popełnił błąd przenosząc pismo do Moskwy i oddając je moskiewskiemu zespołowi. Gdyby mogło dalej bez żadnych zahamowań przemawiać z Paryża, jak to robi *Kultura*, jego głos brzmiałby inaczej; i byłby lepiej dosłyszany przez czytelników rosyjskich.

Jeżeli jest prawda, jak twierdzą onkolodzy, że w procesie rozwoju raka zapaści psychiczne pogłębiają i przyspieszają chorobę nowotworową, to w jakiś sposób Maksimow umarł także w 62 roku życia na udrękę przedwczesnego rozstania ze swoim dziełem.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Pożegnanie z Kedrynem

W Nowym Jorku odszedł w wieczność senior ukraińskiego dziennikarstwa Iwan Kedryn. Był to pseudonim Iwana Rudnyckiego, który tak się zróślił z jego życiem i pracą, że prawdziwe nazwisko mistrza trafnych i zawsze racjonalnych analiz politycznych odeszło w niepamięć. Kedryn to była marka przedniej jakości, która stała się w historii naszej prasy najdłuższym fenomenem. Kedryn bowiem dożył patriarchalnego wieku, do prawie okrągłych dziewięćdziesięciu dziewięciu lat. Zabrakło mu dla zaokrąglenia daty jednego miesiąca. Kiedy go widziałem w listopadzie ubiegłego roku podczas wizyty prezydenta Leonida Kuczmy w Stanach Zjednoczonych spodziewałem się, że za rok będziemy razem z nim obchodzić stulecie urodzin. Ale i bez tego jednego roku i miesiąca – to też dosyć długo, zwłaszcza kiedy zważyć, że dziennikarze w ogromnej większości umierają młodo. Szybciej się spalają w emocjach polityki i tempa zawodu. Kedryn stał się samotnym wyjątkiem w tej regule. Był człowiekiem nieprzeciętnym nie tylko pod względem wieku, ale i zachowania świeżości umysłu i stylu. Pisał artykuły wstępne do najstarszego dziennika emigracji, nowojorskiej *Swobody* i do organu weteranów *Wisti Kombatanta* aż do ostatniej

chwili. Może mu pomagał stały dystans intelektualny, chłód do wydarzeń, wrodzona niechęć do traktowania spraw politycznych i społecznych emocjonalnie.

Był członkiem ongiś potężnego w życiu politycznym i towarzyskim Galicji klanu Rudnyckich. Siostra Kedryna, Milena Rudnycka była posłanką czołowej partii politycznej UNDO do Sejmu w latach 30-tych, przywódczynią ukraińskiego ruchu feministycznego, działaczką na polu międzynarodowym w dziedzinie obrony praw mniejszościowych na forum Ligi Narodów w Genewie. Brat Mychajło Rudnyckij był krytykiem literackim, wydawcą czasopisma *Nazustricz*, profesorem romanistyki i anglistyki. A jeszcze jeden z rodzeństwa Antin Rudnyckij poświęcił się muzyce jako teoretyk, ale i jako kompozytor i dyrygent. Ostatnim z klanu oprócz Kedryna był przedwcześnie zmarły mój przyjaciel i kolega uniwersytecki, syn Mileny, historyk Iwan Łysiak-Rudnyckij. Podwójne nazwisko pochodziło stąd, że Milena miała męża adwokata Łysiaka, który niezbyt dobrze czuł się w towarzystwie przytłaczającej go sławą i chwałą połowicy.

Zmarły patriarcha ukraińskiego dziennikarstwa po studiach we Lwowie i Wiedniu poszedł na pierwszą wojnę światową w ukraińskich legionach po stronie austriackiej, tj. w Siczowych Strilciach. Po przegranej wojnie z bolszewikami i katastrofie Zachodnioukraińskiej Republiki udał się z jej rządem na emigrację do Wiednia. Tam zabłysnął po raz pierwszy talentem analitycznym na łamach wiedeńskiego niezależnego tygodnika *Wola* wydawanego przez niestrudzonego redaktora pism ukraińskich w Petersburgu, Kijowie i Odessie, z zawodu pierwotnie i na końcu – lekarza, Wiktora Pisniaczewskiego. W 1922 roku Kedryn wrócił do Lwowa i wstąpił do redakcji gazety UNDO *Dilo* czyli *Czyn* albo *Sprawa*. Był to w historii prasy ukraińskiej poprzez wszystkie lata najlepszy i najpoważniejszy dziennik, wzorujący się trochę na wiedeńskiej *Neue Freie Presse* i na szwajcarskiej *Neue Zürcher Zeitung*. Tylko kijowska *Rada* mogła się w swym najlepszym okresie równać z tym lwowskim dziennikiem. Kiedy się dzisiaj czyta prasę ukraińską w Kijowie i Lwowie i porównuje z poziomem i ładunkiem intelektualnym zespołu *Dila*, regres w następstwie niwelacji komunistycznej i imperialnej jest po prostu groźny.

Iwan Kedryn miał lekki styl przedstawiania skomplikowanych problemów w sposób przejrzysty, konkretny i zrozumiały. Są to obok rzetelności przekonań i przywiązania do zasady swobody słowa najważniejsze wartości w tym zawo-

dzie. Miałem okazję jako adept pracować – niestety bardzo krótko – pod jego kierownictwem. Imponował mi sposobem pracy, umiejętnością szybkiej reakcji, ale nie banalnej, i nieubłaganą walką z wszelkiego rodzaju nacjonalistyczną mitologią. Był europejskim dziennikarzem w pełni tego słowa. Musiał jednak swój talent i swoje możliwości przymierzać do naszych nie zawsze najlepszych warunków.

Kedryn był zwolennikiem porozumienia polsko-ukraińskiego. Dawał temu wyraz w okresie kiedy był warszawskim korespondentem *Diła* w latach 1925-31, a potem jako szef działu polityki. Jego postawa w stosunku do normalizacji stosunków między Warszawą i Lwowem była postawą ukraińskiego patrioty-demokraty. Popierał pozycję wojewody wołyńskiego Józewskiego. Współpracował z postem z ziemi wołyńskiej Stepanem Skrypnykiem, potem metropolitą a ostatnio przed śmiercią patriarchą, Mstysławem. Był doradcą a nawet inspiratorem dla głównych rzeczników polityki UNDO. Wyrazem jego poglądów w tych sprawach były liczne artykuły w wydawanym przez Włodzimierza Bączkowskiego *Biuletynie Polsko-Ukraińskim*. Na emigracji, w Nowym Jorku kontynuował tę linię. Był szczerym przyjacielem i zwolennikiem koncepcji *Kultury*.

Bohdan OSADCZUK

Wspomnienie o Adamie Heymowskim

W tym roku mija 50 lat od przyjazdu do Szwecji Adama Heymowskiego. Syn słynnego poznańskiego adwokata, Stanisława Heymowskiego, obrońcy robotników w procesie 1956 r., rozpoczął swoją bogatą i barwną karierę w Szwecji od studiów w Uppsali, gdzie dał się poznać jako energiczny i popularny działacz polskiego ruchu studenckiego. Po latach pracy w Bibliotece Królewskiej (szwedzka Biblioteka Narodowa) łączonej z pracą naukową, uzyskał doktorat i tytuł do-

centa w dziedzinie antropologii społecznej. Przez 9 lat piastował funkcję szefa Biblioteki Uniwersyteckiej w Sztokholmie, a od 1979 r. do dnia śmierci był kustoszem Biblioteki Bernadotte'ów na Zamku Królewskim w Sztokholmie.

W międzyczasie prowadził szereg misji, głównie z ramienia UNESCO, w Afryce i na Bliskim Wschodzie; stworzył Bibliotekę Narodową w Mauretanii, sieć bibliotek w Kenii, Centrum Dokumentacyjne Ligi Arabskiej w Tunezji, a także zorganizował Bibliotekę Uniwersytecką w Banja Luce.

Adam Heymowski był bardzo ceniony w międzynarodowych kołach naukowych za swoje prace i udział w seminariach i konferencjach dotyczących głównie heraldyki i bibliotekoznawstwa. Jest autorem ponad stu publikacji, m.in. w serii *Materiały do biografii, genealogii i heraldyki polskiej*. Jest również znany jako pierwszy badacz polskiej emigracji w Szwecji.

Adam Heymowski był członkiem szeregu polskich, szwedzkich i międzynarodowych organizacji i towarzystw naukowych historycznych, heraldycznych i bibliofilskich, w których pracach brał udział z wielkim zaangażowaniem.

Dla nas najlepszym dowodem jego talentu organizacyjnego oraz głębokiego zainteresowania sprawami polskimi było stworzenie w 1976 r. Szwedzkiego Oddziału Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswilu. Towarzystwo, skupiające polską emigrację w Szwecji, zajmuje się nie tylko wyszukiwaniem poloników na terenie Skandynawii i przekazywaniem ich do zbiorów Muzeum w Rapperswilu, ale również szerzeniem znajomości polsko-szwedzkich związków historycznych wśród swoich członków.

Adam Heymowski był niezastąpionym ambasadorem polskiej kultury w Szwecji. Zawsze z dumą podkreślał swoją polskość. Na łamach prasy zabierał głos w obronie prawd historycznych dotyczących Polski.

Zarząd Szwedzkiego Oddziału Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswilu:
Krzysztof Laufersweiler, Aleksandra Josephson,
Magdalena Pramfelt, Andrzej Uggl, Elżbieta
Gieysztor-Ingvarsson, Elżbieta Szwejkowska-
Olsson, Grzegorz Wierusz

Książki

Dwa pióra Pelikana

Dwadzieścia siedem lat temu w majowym numerze *Kultury* (5/247, 1968) ukazał się szkic o ówczesnej sytuacji i nastrojach w Polsce zatytułowany „Koniec małej stabilizacji” i podpisany pseudonimem „Pelikan”. Czytałem go w Teheranie (! – *habent sua fata libelli hominesque*) z wypiekami na twarzy. Nie tylko treść była fascynująca (opis sławnego „dzia-dowskiego” zebrania Związku Literatów, wyraźnie z pierwszej ręki), ale i forma tej prozy wykraczała daleko poza zwykłe sprawozdanie. Był to wyrafinowany esej zajmujący się obydwoma stronami rzeczywistości czyli zarówno tym *co* się dzieje, jak i tym *jak* to jest odbierane przez bezpośrednio zainteresowanych, tzn. ogół Polaków. Cel swej wypowiedzi określił Pelikan w ostatnim zdaniu następująco: „Moja korespondencyjna publicystyka jest [...] substytutem opozycji, której w kraju nie ma w formach legalnych i która przede wszystkim nie ma żadnej możliwości wypowiedzania się”. W następnym numerze *Kultury* pojawił się nowy Pelikan, również subtelny i ciekawy, potem mała przerwa, znów Pelikan, rok przerwy, znów, i tak dalej aż po rok 1975. Nastąpiło dwunastoletnie milczenie trwające aż po okres późnej jaruzelszczyzny (1987-89), kiedy to ukazały się w rocznych mniej więcej odstępach trzy ostatnie „pelikany”. We wrześniowej *Kulturze* 1990 r. ukazał się artykuł pt. „Osmoza” podpisany nazwiskiem Zbigniew Florczak, w którym autor m.in. wspominał, że to on właśnie był Pelikanem. (Tu od razu uwaga techniczna: p. Florczak zawsze pisze swój pseudonim majuskułą, przypuszczalnie żeby odróżnić go od nazwiska czeskiego eks-dysydenta Jiřego Pelikana, ja jednak nie mogę na to przystać – graficzna forma PELIKAN zanadto przypomina nazwę agencji turystycznej czy sklepu z przyborami szkolnymi).

Tak więc Pelikan okazał się Florczakiem czy też Florczak Pelikanem, co mnie mile zaskoczyło, jako że już od kilku lat wymienialiśmy z Panem Zbigniewem listy na tematy książkowo-nieobowiązujące, ale naturalnie nie znałem jego sekretu. Sekret był zresztą tak głęboko utajony, że sam Redaktor *Kultury* bardzo długo nie wiedział kto zacz – przesyłki przychodziły różnymi drogami, a jako ich nadawca figurował włoski kanonik Luca Bernardo Duppa świątobliwie nieżyjący od kilkuset lat. Napisałem zaraz do ujawnionego „kanonika” list ze spóźnionymi gratulacjami i wyraziłem nadzieję, że teksty te zostaną kiedyś wydane w formie książkowej. I rzeczywiście: kilka tygodni temu ukazała się zgrabna książeczka pt. „Grypsy i reminiscencje”*, zawierająca wszystkie „pelikany” jakie dotarły do *Kultury* (w sumie czternaście – kilka zginęło po drodze, szkoda), przy czym każdy opatrzony został rodzajem posłowie-reminiscencji precyzującej okoliczności powstania danego szkicu, rozszyfrowującej jego kamuflaż onomastyczny i lokalizacyjny, a także – czy raczej zwłaszcza – określającej dzisiejsze stanowisko autora wobec swych opinii i ocen sprzed lat. Te reminiscencje to właśnie owo „drugie pióro” z tytułu niniejszej recenzji. Tekst główny obramowany jest fragmentem „Dziennika pisanego nocą” Herlinga-Grudzińskiego z 1994 poświęconym szkicom Pelikana oraz epilogiem autora pt. „Koszty własne odzyskiwania ojczyzny”. Całość jest nie tylko interesującym fragmentem historii oporu intelektualnego w Polsce zawłaszczanej przez komunizm, ale i częścią szerszego tematu: nie kończącej się i nie-dokończenia (bo jak?!) refleksji na temat *all things Polish*.

Jak z każdą refleksją bywa, jej jakość i ukierunkowanie stanowią funkcje osoby autora, toteż nie od rzeczy, będzie wymienić tu kilka danych biograficznych Zbigniewa Florczaka. Jest wilnianinem, walczył w Powstaniu jako żołnierz pułku „Baszta”, cztery powojenne lata spędził w Belgii (dyplomy *Ecole des Beaux Arts* i Wyższej Szkoły Dziennikarskiej w Brukseli – w tymże czasie publikował też pod własnym nazwiskiem w *Wiadomościach* i *Kulturze*), a po powrocie do Polski poświęcił się pisarstwu o tematyce artystycznej. To Wilno, Powstanie i sztuka/literatura w tle są nader istotne dla omawianej tu książki, składają się bowiem na klasyczną sylwetkę polskiego inteligenta z generacji „rozkutej w powiciu”, przejechanej walcem wojny i zagipsowanej na czter-

* Zbigniew Florczak, „Grypsy i reminiscencje (1968-1993)”, „Aneks”, Londyn 1995, 250 str., ISBN 1 897962 08 8.

dzieści lat PRL-em, czyli niedopolską i niedosowiecką hybrydą uragającą marzeniom i aspiracjom całego tego pokolenia. Mówiąc nieco brutalnie pojęcie „Polska” od ostatniego rozbioru *jest* głównie marzeniem i aspiracją, żyjącymi raczej w literaturze niż w konkretnie – ćwierć wieku „łącznej” niepodległości na okres dwustu lat to trochę skąpo – ale akurat pokolenie Florczaka o tę wyśnioną Polskę otarło się najbliżej i ich frustracja była największa. Zamiast okrojonych (ale zawsze) kresów pobrzmiwających echem Mickiewicza, Słowackiego i wielonarodowej *Res Publica* – ziemie „odzyskane” z dwuznaczonej łaski Stalina i ziejące dziurą po wygnanych z nich dawnych mieszkańców; zamiast „szablą odebranej” niezależności – obca przemoc przebrana za swojszczyznę najgorszego gatunku; zamiast Wyspiańskiego i Żeromskiego – Putrament i Sokorski. Siąść i płakać... Pelikan siadywał nocami i pisał.

Nie jest moim zamiarem – ani nie jest to w krótkim omówieniu możliwe – streszczanie tego palimpsestu refleksji, opisu i osądu składającego się na syntetyczne charakterystyki trzech różnych lic PRL-u: tępej gomółkowyszczyny na wylocie, triumfalizmu Gierka i puszczającej już w swach normalizacji spod znaku Jaruzelski-Rakowski-Urban. Notatki Pelikana nie są inkantacjami wypędzającymi demony. Są próbami uchwycenia formuły określającej destruktywny charakter tych usiłowań instalowania komunistycznego *perpetuum mobile* i produktów ubocznych: partyjnego ceszaropapizmu, tandety, „pokazuchy” i klimatu sprzyjającego rozkwitaniu *pysznym cwiutom* miąłkiego cynizmu u jednych i jałowej rezygnacji u innych.

„Grypsy” pisane są z pozycji człowieka nie wierzącego, że zobaczy koniec epoki kłamstwa i partactwa – dwa grzechy główne tego systemu wg Pelikana – na własne oczy. „Reminiscencje” natomiast są pełne skruchy za tę pozorną (albo bo i ktoś w to naprawdę wierzył?) „małoduszność” i wdzięczności losowi za tę odmianę. W tym nastroju ulgi i zachwycenia autor stosunkowo łagodnie traktuje negatywne strony nowej rzeczywistości – „szarpanie postawu” Rzeczypospolitej i dość powszechną obojętność na *cud* odzyskanej niepodległości. Przypisuje je odmiennej mentalności młodszych pokoleń, dla których „jest, jak jest dzisiaj”, a ponadto – jak podejrzewam – obawia się powrotu do postawy z jakiej pisana była większość „grypsów”, którą samooskarżycielsko nazywa „*perspektywą pogardy*”. Jako czytelnikowi trudno mi zgo-

dzić się z tym określeniem. Co najwyżej można mówić o „perspektywie niesmaku” w podobnym sensie, jaki słowo „smak” miało w słynnym wierszu Herberta. W ogóle „Grypsy i reminiscencje” mają w zakresie reakcji uczuciowych dużo wspólnego z powstałym w tym samym czasie i klimacie „Panem Cogito”, podobnie jak w dziedzinie opisu realiów nieobca im jest dialektyka Kisielowych „Stalińskich” z powracającym wciąż pytaniem, czy i na ile PRL-owska pseudorzeczywistość polityczna zawiera też elementy realne i wartościowe. Pytanie uzasadnione i znów, jak cała „kwestia polska” nie do natychmiastowego rozstrzygnięcia, bo z jednej strony – ewidentnie wiadomo – jaki ustrój, z drugiej zaś – czterdzieści milionów prawdziwych, niepowtarzalnych ludzkich istnień w nim przeżytych i nie dających się hurtem spisać na straty z historyzoficznych czy innych abstrakcyjnych racji. Ta ambiwalencja stale obecna w omawianej tu książce jest jedną z jej fort.

Inną fortą jest optymizm, z jakim autor podsumowuje swą bynajmniej nie beztroską refleksję końcową na temat młodej polskiej demokracji bez przymiotników: „Demokracja jest jak drewniana świątynna architektura japońska, zwana *shinto*. Odbudowuje się ją stale, w rytmie dwudziestopięcioletnim. Łatwo sobie wyobrazić, ile to wymaga pieczołowitości i mozół. Ale też ile w tym jest zawarte nadziei: wiara w swoje dzieło. Zgoda człowieka na demokrację to zgoda na rzeczywistość amorficzną. [...] Wyrażając przyzwolenie na tę formę ustroju trzeba być gotowym na przygodę. Pospoliciej mówiąc – licząc się z przypadkiem i zbiegiem okoliczności. Wierzę w siłę rzeczy”.

Słowa „siła rzeczy” nasuwają refleksję, którą chcę zakończyć tę recenzję. Najistotniejszą cechą tych niedobrych 45 lat powojennych wydaje się to, że społeczeństwo polskie poddane było „siłom ludzi”, która – w przeciwieństwie do siły rzeczy będącej wyzwaniem – uczyniła je przedmiotem upokarzającego zniewolenia i upokorzenia to zatruwało wszystko, włącznie ze sztuką. Andrzejewski w „Miazdze” marzył wprawdzie o „racjach ludzi przygarbionych”, z których kiedyś-jakoś miała powstać wielka literatura oddająca sprawiedliwość swej epoce. Ale nie powstała – przypuszczalnie dlatego, że epoka za nadto przesiąknięta była upokorzeniem, tak jak dom ciężko chorego jest przesiąknięty ciężką chorobą, która źle poddaje się ufikcyjnieniu, a nie znosi tematów zastępczych. Większe szanse w tych warunkach uzyskały

relacje bezpośrednie – dzienniki i formy dziennikopodobne, takie jak omówiona tu książka. Chcę przez to powiedzieć, że przekazuje ona dużo prawdy o owym czasie „chleba smutku i wody strachu” (*leitmotiv* jednego z „pelikanów”) i z tej choćby racji rokuje jej trwałe miejsce w literaturze tego osobliwego przedmiotu.

M. BROŃSKI

Określona epoka

W roku 1976 w warszawskim oddziale ówczesnego Związku Literatów Polskich odbyła się impreza poetycka, która wywołała sporo wrzawy. Był nią „Mityng poetycki” zorganizowany przez Krzysztofa Karaska – zgromadził sporą publiczność: kilkadziesiąt osób, co na owe czasy wcale tak mało nie było – ludzie nie mieścili się w sali, tłoczyli nawet na związkowych schodach. Byłoby ich zapewne więcej, gdyby nie fakt, że ręka cenzora zdołała w nieomal wszystkich pismach usunąć zapowiedź owego spotkania. Ostatniego w gruncie rzeczy, które zgromadziło poetów Nowej Fali zwanej inaczej „pokoleniem 68”. Wcześniej podobne spotkania organizowane były – głównie staraniem Jerzego Kronholda, obecnego polskiego konsula na Morawach, w polskim Cieszynie: odbywały się pod hasłem „spotkań młodych poetów i krytyków” i bez wątpienia przyczyniły się do uformowania owej formacji pokoleniowej. Po trzech bodajże latach – rzecz działa się w początkach lat siedemdziesiątych – spotkania te zostały przez władze uniemożliwione, co, oczywiście, przyczyniło się do skonsolidowania środowiska. Podobnie skonsolidowały je – choć nieco na innych zasadach – reakcje władz partyjnych po warszawskim mityngu: swego czasu sprawozdanie z owego wieczoru – jedyne bodaj – opublikował w *Kulturze* Wiktor Woroszyński. Kolejne numery kierowanej przez Drozdowskiego *Poezji* przynosiły oskarżenia „pokolenia 68” o jakieś nieczne tendencje: celował w nich zwłaszcza Jan Witan, któremu warto ową komunistyczną czujność zapamiętać.

Potem drogi Nowej Fali zaczęły się rozchodzić. Końcem formacyjnej wspólnoty stała się dyskusja wywołana artykułem Barańczaka „Zmieniony głos Settembriniego”, w której dwa główne głosy to szkice Karaska i Zagajewskiego – ten ostatni podkreślał wówczas, iż dla sztuki najbardziej niebezpieczny jest „artysta bez właściwości”. Kształtować się zaczęły – lub po prostu wyraźnie wyodrębnić – indywidualne poetyki. Następcy Nowej Fali borykali się z kłopotami niemalymi: ponieważ większość uczestników ruchu (w którego obszar włączyć należy także i ówczesny teatr studencki, grafikę, malarstwo, także później kino obdarzone przez krytykę mianem „kina moralnego niepokoju”, wreszcie kształtującą się powoli niezależną publicystykę) zaangażowała się w opozycyjnym ruchu obywatelskim, polemika z nimi – choćby tylko podejmowana w wymiarze estetycznym – była nieomal niemożliwa: nie wypadało po prostu na oficjalnych łamach polemizować z „nieobecnymi”, skazanymi przez cenzurę na nieistnienie. Kształtujący się wówczas program „Nowej Prywatności” z tych właśnie względów ani nie został nigdy do końca wyartykułowany, ani też nie mógł zostać poddany dyskusji, wypalił się w kilku wystąpieniach.

Wszystko to teraz należy już do historii, która stanowi także kawałek mego własnego życiorysu. Piszę o tym wszystkim z okazji opublikowania ostatnio antologii „Określona epoka” zawierającej wiersze „pokolenia 68” z lat 1968-1993, sumującej więc niejako 25-lecie działania owej formacji poetyckiej, a ułożonej przez Tadeusza Nyczka*. Antologia jest tomem solidnym, pokaznym, w dodatku ułożonym wedle najlepszych zasad – skojarzenia z fundamentalną antologią ekspresjonizmu niemieckiego, „Menscheitsdaemmerung”, ułożoną w 1919 roku przez Pintusa, są tu nieuniknione.

Nyczek zgromadził w swym tomie wiersze 20 autorów, z których dwoje – Ewa Lipska i Rafał Wojaczek – występują na prawach „osób stowarzyszonych”, lecz nie do końca z samym ruchem związanych. Jeśli chodzi o Wojaczka, nie ma tu żadnych wątpliwości: jego przedwczesna śmierć sprawiła, że poeta ów nie mógł (gdyby chciał, lecz czy naprawdę chciałby?) do ruchu się przyłączyć, jego wiersze jednak z pewnością stanowiły istotny punkt odniesienia dla poszukiwań rówieśników (w czasie wieczoru promocyjnego antologii interesują-

* „Określona epoka. Nowa Fala 1968-1993. Antologia poezji, wiersze i komentarze”. Wybrał, ułożył i skomentował Tadeusz Nyczek, Oficyna Literacka, Kraków 1994, s. 480.

ce i pouczające wspomnienie o Wojaczku wygłosił Jerzy Kronhold, który wraz z nim był mieszkańcem tego samego pokoju w domu akademickim). Co do Lipskiej, sprawa jest bardziej skomplikowana – to ona jednak jest autorką jednego z ważnych pokoleniowych manifestów poetyckich mówiących o tym, że dźwiga ono „pamięć przestrzeloną”.

Jak każda antologia, również i ta musi budzić spory i wątpliwości. Można się upominać o autorów w niej nieobecnych, jak choćby Witolda Sułkowskiego, autora jednego co prawda tomu („Szkółka zdobywców” wydana przez Instytut Literacki – jedna z pierwszych książek „krajowców” opublikowanych w oficynie emigracyjnej pod nazwiskiem), ale przecież obecnego jako poeta na łamach najważniejszego badającego pisma formacji, jakim był dodatek do *Studenta* zatytułowany *Młoda Kultura*, później zaś współredaktora niezależnego *Pulsu*, wreszcie pokoleniowego emigranta, obecnie pracownika Głosu Ameryki. Można się spierać o to czy Marianna Bocian, poetka bez wątplenia interesująca, do Nowej Fali da się zaliczyć, podobnie ma się rzecz z Leszkiem A. Moczulskim.

Tego rodzaju pytania są nieuniknione – zapewne po latach historycy literatury dokładniej rzecz ustalą, poszufladkując rzecz wedle jakichś solidnych kryteriów. Lista obecności w książce Nyczka zasadniczo się różni od listy obecności warszawskiego „Mityngu poetyckiego” z roku 1976, główny jej korpus jednak pozostaje taki sam. Nyczek zresztą zdaje sobie sprawę z istniejących trudności. We wprowadzeniu do tomu pisze: „formacja Nowej Fali jawi się jako coś rzeczywiście bardzo nieostrego, trudno uchwytne w precyzyjne kategorie. Ale też trzeba powiedzieć – dodaje – że nie była to żadna grupa programowa; raczej luźne ‘pospolite ruszenie’ wielu poetów dzielących ogólne przekonania o wyższości pewnych rzeczy nad innymi. Jedyne rzeczywiste, ukonstytuowanym stowarzyszeniem, jakiś czas ‘pełniącym obowiązki’ jednego z głównych ośrodków myśli Nowofalowej, była krakowska grupa ‘Teraz’, zawiązana jesienią 1968 roku”. Lecz i jej spójność niebawem poddana została próbie – Kornhauser i Zagajewski (po latach i ten tandem wyraźnie się rozpadnie, choć wspólnie wydali programową, głośną książkę „Świat nie przedstawiony”) będą poruszać się w innych obszarach życia publicznego niż ich kolega Wit Jaworski, współredaktor krakowskiego *Zdania*, później innych oficjalnych czasopism, obecnie redagujący periodyk *Koniec wieku*. Bez wątpienia już

po roku 1976 można mówić o rozpadzie formacyjnej wspólnoty nie tylko jako grupy poetów dążących do nazywania rzeczywistości po imieniu, walczących z ograniczeniami cenzury, stawiających wyżej etykę niż poetykę, lecz także jako zwartej formacji występującej publicznie w obronie podstawowych praw obywatelskich. Jedni odpadli od ruchu, dołączyli inni, będący nieco młodszymi braćmi, lub po prostu później debiutujący – tu wspomnieć wypada o Konradzie W. Tatarowskim czy Antonim Pawlaku – spośród takich „spóźnionych” uwzględnił Nyczek jedynie Zdzisława Jaskułę.

Tom Nyczka grupuje tę poezję w 14 rozdziałów – np. tytułowa „Określona epoka”, „Autobiografia”, „Czym jest poezja” czy „Jest wojna” – i jest to zabieg świetny, ukazujący główne zespoły problemowe tej twórczości. Z tego też względu jest ta książka czymś więcej niż jedynie rejestrem określonej grupy twórców i ich dorobku: jest próbą interpretacji całości zjawiska, które bez wątpienia ma już ustalone, choć może nie do końca stabilne miejsce w dziejach powojennej literatury polskiej. Tu uwaga na marginesie: mierzyć jego znaczenie można jednak jeszcze na inny sposób – poprzez obecność nowofalowych twórców w antologiach poezji polskiej za granicą; okaże się, że jest to najsilniej reprezentowana w nich generacja, przynajmniej w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Wątpliwości może budzić ranga artystyczna zjawiska, jego rzeczywisty dorobek poetycki. Z drugiej jednak strony nie sposób już dziś zaprzeczyć temu, iż odegrało ono sporą rolę społeczną, także – choć nie jedynie – polityczną. Nyczek skupia się na ukazaniu raczej owego drugiego wymiaru: stąd obecność autorów i wierszy o dość różnej randze, których łączy raczej poczucie odpowiedzialności za wartości społeczne niż estetyczne. Właśnie w ich wierszach epoka została najprecyzyjniej określona, co nie znaczy wszakże, że nie potrafili wskazywać na te zjawiska, które w owej epoce uważali za najbardziej artystycznie doniosłe: dość przypomnieć wynik ankiety pasującej najwybitniejszego w ich mniemaniu poetę współczesnego, której wyniki opublikowane zostały w 12 numerze *Poezji* z roku 1970, a więc z tego okresu, gdy Nowa Fala nabierała rozpędu – tytuł przyznano wówczas Tadeuszowi Różewiczowi.

Piszę ten artykuł nie jako recenzję tomu Nyczka – nie mam po temu, jako jeden z cytowanych autorów, żadnych praw. Chciałbym jedynie przypomnieć pewne okoliczności stanowiące o osobliwości tego, co krytyka nazywa „pokole-

niem 68", uzupełnić świetne komentarze autora antologii. Nowa Fala nie istnieje – jej twórcy, choć nie wszyscy, tworzą nadal; ubył z listy obecności Jacek Bierezin. Być może też nie jest przypadkiem, że właśnie ostatnio ukazał się „wysyp” nowych tomików tej formacji – „Ziemia ognista” Adama Zagajewskiego, „Podróż zimowa” Stanisława Barańczaka, „Stypendyści czasu” Ewy Lipskiej, „Czerwone jabłuszko” Krzysztofa Karaska, by wspomnieć tylko najbardziej reprezentatywnych twórców tego kręgu. Z kolei od lat nie publikowali wierszy Lech Dymarski i Zdzisław Jaskuła: może poezja była tylko jedną z przyczyn ich życia?

Leszek SZARUGA

„Wenecja ma gondole...”

„...Warszawa słynie z ciast – Zgadnijcie, które wolę z tych najpiękniejszych miast!” Zawsze lubiłem tę niemądrą piosenkę, bo po wielomównie rozciągniętym „*Tooo...*” wybuchu w niej nieoczekiwanie a prowokująco „...*Oo-strów, kochany Ostrów!*” (lub „*Raa-dom...*” czy też nazwa jakiejś innej miejscowości określanej w Warszawie-Krakowie jako prowincjonalna). *Nota bene* szkoda, że piosenka ze względów rytmicznych ogranicza te manifestacje lokalnego patriotyzmu jedynie do toponimów dwusylabowych (*Szczębrzeszyn* wykluczony!), ale w naszym wypadku tzn. recenzowanej tu powieści p. Latawiec* (a także rodzinnego miasta recenzenta) wszystko w porządku, bo chodzi o *Poo-znań*, w którym usytuowana jest akcja „*Ciemni*”. Recenzja będzie więc może trochę kumoterska, bo gmach szkolny przy ul. Różanej („*kamienny kolos leżący na wzgórzu, tuż obok ponemieckiego cmentarza*”) oraz sklepik papierniczy w suterenie naprzeciwko (oba opisane na str. 201-2) pamiętam z dokładnością fotografii, jako że w pierwszym powojennym roku szkolnym w tymże gmachu mieściło się moje gimnazjum (Marcinkow-

skiego, poznańskie Harrow; Eton – to było Gimnazjum św. Marii Magdaleny, za wysokie progi).

Wspominam ten mało interesujący dla czytelnika recenzji szczegół osobisty po to, żeby podkreślić moją dość dobrą znajomość poznańskiej atmosfery. Jakość ta gra istotną rolę w tej książce, gdyż autorka posłużyła się specyfiką poznańskiej codzienności jako spoiwem dla związania akcji głównej (okres 1981-83) i *flash-back*ów biograficznych kilku powieściowych postaci – włącznie z osobą narratorki – w zwartą całość. „*Ciemnia*” jest pisana w pierwszej osobie i ma charakter wy-czuwalnie autobiograficzny. Potwierdza to zresztą porównanie z poprzednią książką tejże autorki pt. „*Pusta szkoła*” (W-wa 1987), którą recenzowałem na tym miejscu przed laty (*Kultura*, 6/489, 1988) – wiele szczegółów domowych i „szkolnych” jest identycznych. W pewnej mierze jest to więc dalszy ciąg (dużo bardziej udany, dodam od razu) tamtej książki, gdyż i tu główny wątek dotyczy dużego gimnazjum w Poznaniu, w którym autorka/narrator pracowała jako „pani od polskiego” i wraz z kilkoma równie serio traktującymi swój zawód kolegami (ściślej: koleżankami, bo panie dominują) usiłowała sprawić, żeby szkoła była szkołą tak, jak – w piosence Pietrzaka przynajmniej – Polska miała być Polską.

„*Ciemnia*” należy wyraźnie do kategorii epiki codzienności, nie do klasy czytań, czyli przebieg akcji ma w tej powieści mniejsze znaczenie niż koloryt i atmosfera całości. Tu właśnie wkracza Poznań jako „jakość” – podobna opowieść usytuowana np. w Warszawie miałaby zapewne więcej sławnej stołecznej barwności (wódeczka, *bon mo'y*, przepyszny humor na tle gorzko-cynicznej wiedzy o całości bytu, te rzeczy), podczas gdy tu wszystko ma wymiar spokojniejszy i, rzekłbym, bardziej przez to wiarygodny. Jest to przede wszystkim opis stanu wojennego (opowieść „bieżąca” zaczyna się opisem poranka 14 grudnia 1981) w normalnym środowisku inteligenckim, tzn. ani straceńczo bohaterskim ani przesadnie tchórzliwym, oraz normalnych w tych warunkach reakcji osób należących do tego grona, czyli narratorki i jej otoczenia. Reakcje te to na krótką metę: oczyszczenie mieszkania z niebezpiecznej bibuły, przygotowanie do ewentualnego aresztowania i narady z przyjaciółmi co robić dalej, a na dłuższą – kontynuowanie prac domowych i publicznych w sposób możliwie sensowny. Na pierwsze miejsce wybija się wątek szkoły. W okresie „pierwszej ‘Solidarności’” bardziej zdecydowanej części jej grona nauczycielskiego udało

* Bogusława Latawiec, „*Ciemnia*” (powieść); Zysk i S-ka Wydawnictwo, Poznań 1995, str. 231, ISBN 83-86211-79-2.

się było zastąpić nader PRL-owskiego dyrektora osobą odpowiedniejszą, teraz naturalnie partia bierze odwet i po szeregu potyczek narratorka i jej akolici/-tki przegrywają, czyli tracą pracę, która znaczyła dla nich dużo więcej niż tylko źródło utrzymania. Wszystko opowiedziane jest rzeczowo, z masą szczegółów, a więc stanowi swoisty materiał historyczny ilustrujący codzienność tamtego okresu. Co więcej, dzieje się to bez przywoływania terminów „etos” i „podstawowe wartości”. Tak, to wyraźnie Poznań...

Tytułowa „ciemnia” pełni w powieści funkcję podwójnie symboliczną. Pierwsze, bardziej dosłowne znaczenie odnosi się do mało używanej pracowni fotograficznej na terenie szkoły – narratorka odkrywa przypadkiem, iż pomieszczenie to stało się swego rodzaju meliną konspiracyjną uczniów, walczących po swojemu (zdjęcia kapusiów wędzających po szkole, itp.) z „normalizacją”; jest to więc symbol oporu i nadziei, zwłaszcza że dotyczy nowego pokolenia. Drugi symboliczny sens można odnieść do warstwy książki sięgającej w przeszłość. Jest to jakby archiwum zdjęć z różnych okresów życia narratorki (okupacja, okres stalinowski, sławny czerwiec 1956) i kilku bliskich jej osób – męża, ojca, a szczególnie jej ciotki „Bachy” (poznane spieszczanie [!] imienia Barbara). To najbardziej udana postać całej książki i warto ją przeczytać dla samej „Bachy”, jako że rzadko trafia się literacka (czy też: literacko przetworzona) postać *pozytywna* ukazana tak przekonująco, bogato a równocześnie bez sentymentalizmu („senty – panie – męty”, zwyczaj był mawiać mój mistrz, prof. Jerzy Kuryłowicz). „Bacha” (rocznik, jak oceniam, ca. 1915-20) jest bardzo poznańską odmianą nonkonformistki: mimo wrodzonej inteligencji i talentów (muzyka, języki) nie wyszła za mąż ani nie zrobiła wymarzonej przez rodzinę kariery, tylko z własnego wyboru została... no, czym? – wzorową urzędniczką pocztową! Sympatia a ściślej podziw autorki dla samodzielności „Bachy” w dysponowaniu swym losem, dla jej perfekcjonizmu w pracy i zaradności w codziennych sprawach, a szczególnie dla jej spokojnej radości życia udziela się też czytelnikowi, choć tu znów może poznańskość przeze mnie przemawia. Jest taki sławny aforyzm Wieniawy-Długoszowskiego (z jego szczęśliwego okresu): „Człowiek już się rodzi urzędnikiem na pocztę albo generałem kawalerii – wszystko inne jest prostą konsekwencją”. Bardzo to zabawne, ale w Poznaniu zawsze wyżej ceniono pocztę niż kawalerię.

Nie chciałbym, żeby moja prezentacja tej książki została odebrana jako zaszerzeganie „Ciemni” do tzw. literatury regionalnej czy też „małego realizmu”. Istotnie jest w niej dużo realizmu w sensie dobrej obserwacji i respektu dla szczegółu, ale jej styl ma więcej wspólnego z prozą Pawła Huelle (i to z jego „Opowiadaniem na czas przeprowadzki”, które wyżej cenię niż sławnego „Dawidka”) niż z utworami Gojawiczyńskiej. Pierwsze wydanie „Ciemni” (odrzuconej rzecz prosta przez PRL-owską cenzurę) miało charakter „nielegalny” (Oficyna PoMOST, W-wa 1989) co bardzo ograniczyło cyrkulację. Dobrze więc, że ta relacja umiejętnie łącząca trzeźwość z wrażliwością ukazuje się obecnie w formie bardziej – jak się to mówi w Poznaniu – „noblej”.

M. BROŃSKI

Nadestane nowości wydawnicze

ALBERT (Andrzej). *Najnowsza historia Polski 1914-1993*. Tom I – str. 638 i 18 nlb.; tom II – str. 1044 i 12 nlb. Książka zakwalifikowana do użytku szkolnego. (Wyd. PULS, Londyn 1994).

KRAJKA (Wiesław). *Joseph Conrad konteksty kulturowe*. Str. 190 i 2 nlb. (Wyd. Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1995).

Humor europejski. Praca zbiorowa pod redakcją Macieja Abramowicza, Denisa Bertranda i Tomasza Stróżyńskiego. Str. 440 i 2 nlb. (Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1994).

HART (Michael). *100 postaci, które miały największy wpływ na dzieje ludzkości – Ranking*. Tłumaczył z angielskiego Piotr Amsterdamski. Str. 794 i 4 nlb. (Wydawnictwo PULS, Londyn 1994).

KENNEDY (Paul). *U progu XXI*

wieku (przemiarka do przyszłości). Tłumaczył z angielskiego Piotr Konczewski. Str. 466 i 2 nlb. (Wyd. PULS, Londyn 1994).

MORELEWSKI (J.F.). *Pokolenie akowskie*. Str. 352. (Wyd. Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Oddział w Bydgoszczy 1995).

GOMBROWICZ (Witold). *Kosmos*. Posłowie Lektury „Kosmosu” Kazimierz Bartoszyński. Str. 164 i 4 nlb. (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1994).

GOMBROWICZ (Witold). *Pornografia*. Posłowie i komentarze Michał Głowiński. Str. 172. (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1994).

GOMBROWICZ (Witold). *Opetani*. Powieść. Redakcja naukowa tekstu Jan Błoński. Tom XI „Dzieł” W. Gombrowicza. Str. 360. (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1994).

- TOMKOWSKI (Zbigniew). *General Maczek. Najstarszy żołnierz Rzeczypospolitej*. Str. 128, fot. (Wyd. YPSYLO, Warszawa 1994).
- GRYDZEWSKI (Mieczysław). *Szkiece*. Str. 168. (Wyd. Oficyna Wydawnicza INTERIM, Warszawa 1994).
- LEWANDOWSKI (Józef). *Bibliografia 1954-1993*. (Nadbitka z *Acta Sueco-Polonica*, Nr 2 (1994), str. 177-188, Uppsala Uniwersitet, Uppsala 1994).
- ADAMOWSKI (Hubert). *Podróż do ostatniej strony*. Str. 252 i 4 nlb. (Wyd. GOLD, Gdańsk 1995).
- SŁOWES (Mira). *Moje trzy życia*. Str. 234 i 2 nlb. (Wyd. Kontury, Tel-Aviv 1994).
- AMIEL (Irit). *Egzamin z zagłady*. Str. 30 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Bibliofilów, Łódź 1994).
- ŁÓW (Ryszard). *Znaki obecności*. O polsko-hebrajskich i polsko-żydowskich związkach literackich. Str. 138 i 4 nlb. (Wyd. T-wo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 1995).
- RADZYMIŃSKA (Józefa). *Przychoďte z Historii*. Str. 100 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Patria, Warszawa 1995).
- Mój Ojciec*. Nagrodzone prace konkursowe Instytutu Katyńskiego w Polsce. Str. 200 i 8 nlb. (Wydawnictwo Zakonu Pijarów, Kraków 1994).
- MOSZKOWICZ (Michał). *Psi paszport*. Str. 86. (Wyd. Polonica Förlag, Sztokholm 1994).
- Polcul Foundation. *Sylwetki laureatów... szukamy małych bohaterów*. Str. 114. (Sydney, Australia 1994).
- BIENIECKI (Kajetan). *Lotnicze wsparcie Armii Krajowej*. Str. 610 i 2 nlb., plus mapy. (Wyd. ARCANA, Kraków 1994).
- WANKOWICZOWIE (Melchior i Krystyna). *Korespondencja*. Opracowanie i przypisy Aleksandra Ziółkowska. Str. 116. (Wyd. „Twój

styl”, Warszawa 1993).

PAWELEC (Krzysztof Jacek). *Kulisy Sejmu I kadencji*. Str. 336. (Wyd. ANTYK Marcin Dybowski, Warszawa 1994-95).

ADAMCZYK-GARBOWSKA (Monika). *Polska Isaaca Bashevisa Singera. Rozstanie i powrót*. Str. 198 i 2 nlb. (Wyd. UMCS, Lublin 1994).

DZWONKOWSKI (Roman, SAC). *Polacy na dawnych Kresach Wschodnich*. Z problematyki narodowościowej i religijnej. Str. 150 i 2 nlb. (Wyd. Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, Oddział w Lublinie, Lublin 1994).

WYSPIAŃSKI (Stanisław). *Listy zebrane*. Tom I: Listy do Józefa Mehoffera, Henryka Opieńskiego i Tadeusza Stryjeńskiego. Opracowanie Maria Rydlowa. Cz. 1: str. 330, 6 nlb. oraz 207 ilustracji; Cz. 2: str. 496. (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1994).

WINKŁOWA (Barbara). *Karol Irzykowski – życie i twórczość*. Tom 1 – str. 612, 8 nlb. oraz 65 ilustracji; tom 2 – str. 634 i 48 ilustracji; tom 3 – str. 530 i 42 ilustracje. (Wyd. Literackie, Kraków 1987-1994).

WASILEWSKI (Piotr). *Śladami Marka Hłaski*. Str. 150 i 12 nlb. (fotografie). (Oficyna Wydawnicza PAROL, Kraków 1994).

MARCINIAK (Janusz). *Paradoks artystów*. Str. 200 i 4 nlb. (Wyd. Dialog, Poznań 1994).

Samotność słowa. Z listów do Wacława Iwaniuka: Józef Wirtlin, Kazimierz Wierzyński, Aleksander Janta-Polczyński. Opracował i wstępem opatrzył Leszek M. Koźmiński. Str. 188 i 4 nlb. (Wyd. Stowarzyszenie Literackie KRESY, Lublin 1995).

Rosja a Katyń. Str. 110 i 2 nlb. (Wyd. KARTA, Warszawa 1994).

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

20.3.95

Wybrano na czteroletnią kadencję nowe władze Polskiego PEN-Clubu. Prezesem został ponownie Artur Międzyrzeczki.

25.3.95

Minister Spraw Wewnętrznych, Andrzej Milczanowski, podjął decyzję o otwarciu archiwów b. UB i SB dla prokuratur, sądów, historyków. Nie będą udostępniane jedynie akta tajnych współpracowników komunistycznych służb specjalnych.

28.3.95

Na Uniwersytecie Wrocławskim miała miejsce sesja jubileuszowa z okazji 70-lecia prof. Floriana Śmieji.

5.4.95

Nagrody Polskiego PEN-Clubu otrzymali: Stanisław Lem za całokształt twórczości, Maria Wiernikowska za reportaże, Irena Sławińska za eseistykę teatralną, Piotr Matywiecki za książkę o warszawskim getcie pt. „Kamień graniczny”. ■ Michał Komar został redaktorem naczelnym *Sztandaru Młodych*. ■ Juliusz Żuławski, poeta, krytyk, honorowy prezes Polskiego PEN-Clubu, został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

1.5.95.

W Muzeum Okręgowym w Suwałkach została otwarta wystawa „Świat Gustawa Herlinga-Grudzińskiego” przygotowana przez D. Józwicką i Z. Kudelskiego. Ekspozycję w muzeum suwalskim zaaranżowali: Zbigniew Fałtynowicz i Stanisław Woś.

ZACHÓD – EMIGRACJA

23.2.95

Zmarł w Buenos Aires w wieku 100 lat gen. Jerzy Zawisza. W 1939 r. szef sztabu Armii „Lublin”, później na emigracji w Argentynie. Prezes tamtejszego Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, dożyłotni honorowy prezes Związku Polaków w Argentynie.

8.3.95

Zmarł w Stanach Zjednoczonych w wieku 98 lat Marian Helm-Pirgo, inżynier-architekt, kartograf i malarz.

19.3.95

Zmarł w Londynie w wieku 93 lat ppłk Alfred Franciszek Kolar, uczestnik walk w 1920 r., w czasie ostatniej wojny żołnierz KDP, po wojnie na emigracji. Napisał wspomnienia „Żagaryści” zamieszczone w 57 numerze *Zeszytów Historycznych* w 1981 r. W archiwach *Kultury* są jego wspomnienia „Na wojnie i po wojnie”.

23.3.95

Pani Magdalena Dubanowiczowa, z domu Cieńska, obchodzi 100-lecie swoich urodzin. P. Dubanowiczowa, wdowa po Edwardzie Dubanowiczu, wybitnym polityku i prawniku, jest działaczką społeczną i katolicką. Opracowała i przygotowała do druku wspomnienia gen. J. Hallera, wydała szereg książek, w tym „Na mongolskich bezdrożach” (wspomnienia z Kazachstanu).

24.3.95.

Zmarł w Londynie w wieku 97 lat Józef Poniatowski, uczestnik walk obu wojen światowych, trzykrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych, poseł na sejm Drugiej Rzeczypospolitej, dyrektor Biura Ekonomicznego przy Prezydium Rady Ministrów, naczelny redaktor *Orla Białego* w czasie wojny, minister Spraw Krajowych Rządu na Uchodźstwie.

1.4.95

Wiadomości P.O.S.K. (Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Wielkiej Brytanii) w numerze 43 zamieszczają sprawozdanie z działalności Biblioteki Polskiej w Londynie za rok 1994. Stan posiadania biblioteki obejmuje 117.995 książek i broszur, 1.042 rękopisy, 657 map, 38.833 fotografie; zbiór czasopism zawiera 3.743 tytuły polskie i obce. Budżet biblioteki w roku 1994 wynosił: dochody £ 37.933, rozchody £ 129.662 (nie wliczając w to pokrywanych przez POSK kosztów utrzymania lokalu). Trzeba stwierdzić, że ofiarność społeczna na cele biblioteki ogromnie spadła w porównaniu z rokiem 1993 i była najniższa w latach powojennych jej istnienia.

3.4.95

Instytut Polski na Uniwersytecie w Nancy zorganizował coroczny tydzień kultury polskiej tym razem poświęcony muzyce polskiej. *Clou* tygodnia stanowiły dwa koncerty pianistyczne w wykonaniu Ewy Osińskiej (Chopin, Szymanowski, Lutosławski). Oprócz tego dwie wystawy – jedna poświęcona Lutosławskiemu, druga to „Portrety polskie” Jean-Vincent Lefeuve’a; oraz projekcje filmów: „Podwójne życie Weroniki” Kieślowskiego (muzyka Preisnera), „Stanisław i Anna” Konrada i Stefaniaka (muzyka Karłowicza) i „Brzezina” Wajdy (muz. Korzyńskiego).

8.4.95

W Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie w Londynie odbyło się sympozjum na temat „Postęp czy manowce w szkolnictwie”.

M.in. prof. Leszek Mazepa z Akademii Muzycznej we Lwowie wygłosił odczyt „Stan szkolnictwa na Ukrainie” (z uwzględnieniem polskiego szkolnictwa). Prof. Jerzy Chłopecki z Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie mówił o szansach i zagrożeniach szkolnictwa wyższego w Trzeciej Rzeczypospolitej.

12.4.95

W Instytucie Polskim w Paryżu odbył się odczyt Jacquesa de Chalendar, prezesa Fundacji „Francja-Polska” z okazji ukazania się jego książki „France-Pologne: une nouvelle aventure” (Editions Cana).

26.4.95

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbył się odczyt prof. Andrzeja Kłossowskiego z Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu na temat „O instytucjach książki polskiej i księgozbiorach polskich na obczyźnie: początki – cele – perspektywy”.

28.4.95

W Centre du Dialogue w Paryżu Elisabeth Walle, kierownik wydziału polskiego w Bibliothèque Nationale de France wygłosił odczyt na temat „Biblioteka Narodowa Francji i jej polonika”. Poprzednio, 21 kwietnia miał miejsce wieczór autorski Krzysztofa Rutkowskiego w związku z ukazaniem się jego książki „Paryskie pasaży”. ■ Staraniem Polskiego Stowarzyszenia w Genewie odbył się odczyt Krzysztofa Wolickiego pt. „Polska po pięciu latach”.

4.5.95

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu odbył się odczyt M. Narimskiego, prof. Instytutu Historii Rosyjskiej Akademii Nauk na temat „Palmiro Togliatti, Włochy i Stalin 1943-1945”.

10.5.95

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu odbyła się dyskusja na temat „Współczesnej historii Polski w podręcznikach szkolnych”. Dyskusję zagał p. Andrzej Chrzanowski, dyrektor Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych. Zebranie było połączone z wystawą książek.

11.5.95

Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu zorganizowało w paryskim Instytucie Katolickim odczyt prof. Michała Masłowskiego „La Pologne et l'idée de l'Europe Centrale”. Poprzednio 4.4. br. miał miejsce odczyt prof. Edmunda Marka pt. „Une vision de la Pologne et de l'Europe selon Zygmunt Krasiński”. ■ W Instytucie Katolickim w Paryżu prof. Michał Masłowski z Université Nancy II wygłosił odczyt „La Pologne et l'idée de l'Europe Centrale”.

Kronika australijska i nowozelandzka

■ Na konferencji szefów osiemnastu państw, należących do Asia Pacific Economic Cooperation, w skrócie APEC (Forum Współpracy Ekonomicznej Azji i Pacyfiku), jaka odbyła się w Indonezji, postanowiono utworzyć największą na świecie strefę wolnego handlu. Australia otrzymała wielką szansę dalszego wiązania się z rynkiem Azji i Pacyfiku oraz uczestniczenia w potężnym bloku gospodarczym, pogłębiając przy tym bardzo istotną współpracę gospodarczą z Japonią i Stanami Zjednoczonymi. Według wypowiedzi australijskiego federalnego premiera Paula Keatinga – wprowadzenie wolnego handlu wśród państw APEC podniesie wartość wymiany handlowej dla Australii w tym rejonie do siedmiu miliardów dolarów w skali rocznej, znacznie ożywiając australijską ekonomię i redukując bezrobocie. O ważności gospodarczych powiązań Australii z tym rejonem świadczy, że obecnie blisko 75% australijskiego eksportu odbierają kraje APEC. Do APEC należą zarówno ekonomiczne mocarstwa: Stany Zjednoczone, Japonia, Chiny, Australia, Korea Południowa, jak również – Indonezja (około 200 milionów ludności), Tajwan, Tajlandia. W najbliższych pięciu latach inwestycje gospodarcze na tym obszarze mają przekroczyć trzysta miliardów dolarów amerykańskich. Na 18 państw APEC przypada obecnie 41% światowego handlu. Ludność tego rejonu liczy 2,2 miliarda ludzi. APEC ma powiązania z północnoamerykańską strefą wolnego handlu NAFTA, do której należą Stany Zjednoczone, Kanada i Meksyk i do której prawdopodobnie przyłączy się kraje Południowej Ameryki. Jest to więc największy rynek na naszym globie. ■ Głównym celem styczniowej wizyty Papieża w Australii było wyniesienie na ołtarze założycielki Zgromadzenia Sióstr św. Józefa (popularnie zwanym zakonem józefitek) – Mary McKillop, zmarłej w roku 1909. Warte jest przypomnienia, że w polskim zwartym osiedlu w Australii, pod nazwą *Polish Hill River*, utrzymującym przez 60 lat polski charakter (1854-1914), w szkole im. św. Stanisława, przy polskim kościele,

nauczały siostry józefitki. ■ W roku 2001 przypada stulecie Związku Australijskiego. W roku 1901 poszczególne stany Australii, pozostające jeszcze w systemie kolonialnym, utworzyły istniejący do dzisiaj Związek Australijski. Z utworzeniem Związku Australijskiego wiąże się data powstania narodu australijskiego. W związku ze zbliżającą się rocznicą Związku Australijskiego, premier Australii, Paul Keating, w wywiadzie dla *Tygodnika Polskiego* w Melbourne powiedział, że „jeśli sloganem dla roku 1901 był – jeden naród, jeden los, to hasłem dla roku 2001 jest – wiele kultur, jedna Australia... Zbudowaliśmy sprawiedliwy kraj, który obejmuje i łączy wiele różnych kultur w jeden naród”. W wywiadzie tym premier Keating podkreślił, że „wielokulturowość jest udaną linią polityczną, którą popierają rząd i opozycja. Polityka wielokulturowości rządu australijskiego jest jedną z najbardziej nowatorskich i twórczych na kuli ziemskiej. Na przeżywającym napięcia etniczne i kulturowe, często połączone z rozlewem krwi, świecie – Australia (z całą mozaiką różnych narodowości) jest jednym z nielicznych krajów, które uniknęły tego rodzaju konfliktów”. ■ Liczba emigrantów, urodzonych w Azji, potroiła się w ostatnich 13 latach i zbliża się do miliona osób (na około 18 milionów ludności Australii). Największe do niedawna nieanglojęzyczne grupy etniczne w Australii – włoska i grecka, są przewyższane obecnie w liczbach przez emigrantów z Azji (głównie z Wietnamu, Chin i Hongkongu). W kontraście do zwiększającej się liczby emigrantów z Azji, zmniejsza się coraz bardziej napływ emigrantów z Europy, m.in. z Wielkiej Brytanii i Irlandii oraz z bliskiej geograficznie Australii – Nowej Zelandii. ■ W tym roku stronnictwo polityczne australijskich farmerów, występujące obecnie pod nazwą Narodowej Partii (*The National Party*), obchodziło 75-lecie swojego istnienia. Partia ta, w poprzednich latach odgrywała dość ważną a nawet decydującą rolę w życiu politycznym Australii. Narodowa Partia jest przede wszystkim rzecznikiem interesów australijskiego rolnictwa a społeczny program ma charakter konserwatywny. ■ Największa impreza australijskiej Polonii, Festiwal Kultury i Sztuki (w popularnym skrócie POL-ART), pod egidą Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, miała miejsce w tym roku w Adelaide, stolicy stanu Południowa Australia. Jest to już szósty z kolei festiwal, będący szerokim przekrojem działalności artystycznej i kulturalnej australijskiej Polonii, przy dużym udziale polonijnej

młodzieży. Festiwale te odbywają się obecnie co trzy lata i uczestniczą w nich setki osób z całej Australii a także ostatnio i z Nowej Zelandii. W festiwalu w Adelaide wzięli udział również zaproszeni spoza Australii – z Polski, pianista Janusz Olejniczak oraz z Londynu, historyk Adam Zamoyski. ■ W Melbourne powstało Centrum Badań i Dokumentacji Poloników (*Polonica Research and Documentation Centre*); obejmuje ono zasięgiem swojej działalności obszar całej Australii. Centrum ma także wydawać dwujęzyczny katalog poloników w Australii. Prezesem jest Daniel Tworek. ■ Ambasador RP w Australii dr Agnieszka Morawińska przekazała Żydowskiemu Muzeum Holocaust w Melbourne, podczas specjalnej uroczystości, symboliczną cegłę z muru warszawskiego getta oraz zbiór książek i publikacji. ■ W akcji sprzątania Polski, jaka po raz pierwszy odbyła się 17 i 18 września ub.r., wzięło udział *ponad dwa miliony osób* w całym kraju, w tym dużo młodzieży. „Sprzątanie Polski” ma być kontynuowane i również w tym roku koordynatorem tej akcji będzie Mira Stanisławska-Meysztowicz, pracująca honorowo. Na pomysł czyszczenia krajów w akcji społecznej wpadł australijski biznesmen i żeglarz Ian Kiernan. Zaczął od Australii, gdzie pomagała mu w tej działalności właśnie Stanisławska-Meysztowicz. Wkrótce, na apel Iana Kiernana, do akcji sprzątania dołączył cały świat. W roku 1993 organizacja czyszczenia Australii przekształciła się na skalę światową, przy współpracy Ochrony Środowiska Naturalnego ONZ. W roku 1994 w sprzątaniu globu wzięło udział osiemdziesiąt państw. Na tegoroczne sprzątanie Polski jedzie z Australii Stanisławska-Meysztowicz z inicjatorem sprzątania świata Ianem Kiernanem; w planie są także dodatkowe wizyty na Litwie, Łotwie, Estonii a także Białorusi i Ukrainie – dla zainicjowania i tam dni sprzątania tych krajów. ■ Według podanych zapowiedzi, przygotowywane są do wydania trzy książki polonijnych autorów w Australii. Lech Paszkowski kończy pisanie książki w języku angielskim o Pawle Edmundzie Strzeleckim, podróżniku, geologu i badaczu australijskiego kontynentu. Nad biografią najbardziej znanego prozaika i poety australijskiej Polonii – Andrzeja Chciuka pracuje Bogumiła Żongołłowicz, dziennikarka i filolog, przybyła na stałe do Australii w roku 1991. Badacz kultury tubylców w Australii, aborygenów, Małgorzata Stanisławska wraz z polskim dziennikarzem i filmowcem Januszem Krecmańskim mają na ukończeniu pisanie książki o Austra-

lii, z szerokim uwzględnieniem tubylców – aborygenów; autorzy zaplanowanej książki zostali przyjęci do szczepu aborygenów Warligi i przyjęli nawet imiona plemienne. Ta książka będzie bogato ilustrowana (290 fotogramów), dwujęzyczna (polski i angielski) i ma ukazać się w formie albumowej. ■ Zmarł w Hobart, w wieku 81 lat, działacz i dziennikarz polonijny Tadeusz Kempa, wieloletni współpracownik *Tygodnika Polskiego* (Melbourne). ■ W Nowej Zelandii bardzo uroczysto obchodzono 50-letnią rocznicę przybycia polskich dzieci, głównie z kresów, deportowanych do ZSSR w latach 1939-1942. Obecna nowozelandzka Polonia, licząca około czterech tysięcy osób ma swój początek w przyjeździe polskich dzieci. Uroczystości 50-lecia odbyły się z udziałem generalnego gubernatora Nowej Zelandii Dame Catherine Tizard, premiera Jima Bolgera oraz ambasadora w Australii i Nowej Zelandii dr Agnieszki Morawińskiej. Ambasador Morawińska podkreśliła w swoim przemówieniu, że „ten głęboki humanitarny epizod drugiej wojny światowej został opisany w książce Haliny Ogonowskiej-Coates „Krystyna's Story” i stał się tematem filmu „Exiles” w reżyserii Johna Andersona”.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

Kronika kanadyjska

Polityka imigracyjna rządu liberalnego, wbrew wszelkim zapowiedziom, staje się coraz bardziej selektywna i zmierza po prostu do ograniczenia przyływu emigrantów. Rząd głosi oficjalnie iż zmiany niektórych postanowień, jak przyspieszenie procedury rozpatrywania wniosków o prawo pozostania czy statutu uchodźcy, służą usprawnieniu polityki. Ale rzeczywistość jest inna. I tak, z nowym rokiem budżetowym, tj. od 1 kwietnia wchodzi w życie przepisy nie pozostawiające już żadnej wątpliwości iż mają spowodować spadek imigracji. Składając wniosek o wizę imigracyjną w konsulacie kana-

dyjskim należy wnieść opłatę \$ 500 na koszt proceduralne, a przy przekroczeniu granicy kanadyjskiej imigrant musi uiścić \$ 975, a za każdego członka rodziny – po \$ 100. Minister skarbu przewiduje, iż z tytułu tych opłat i innych dodatkowych związanych z uzyskaniem obywatelstwa wpłynię w bieżącym roku budżetowym \$ 100 mln. Rzecznicy grup etnicznych twierdzą, że opłaty zamykają Kanadę dla ludzi biednych. ■ Zbiórka pieniędzy na utworzenie katedry historii Polski na uniwersytecie w Toronto przyniosła – jak głosi komunikat – \$ 535.411. Nie znana jest jeszcze wysokość zapisu testamentowego oficera marynarki wojennej, Konstantego Reynert-Śmigileńskiego. Jest to poważna suma i stwarza możliwość rozszerzenia istniejącej już katedry historii na katedrę studiów Polski. Komitet zbiórki prowadzi już na ten temat rozmowy z władzami uniwersytetu. ■ Urząd Statystyczny ogłosił pierwsze dane z Powszechnego Spisu Ludności z czerwca 1991 r. Stan ludności : 27.296.860, w tym z językiem ojczystym angielskim – 16.516.180, francuskim – 6.505.565, włoskim – 449.660, chińskim – 444.945, niemieckim – 424.640, portugalskim – 186.990, polskim – 171.975, ukraińskim – 166.830. Grupa polska znalazła się na siódmym miejscu przed ukraińską. W metropolii Toronto grupa polska wzrosła o 54% i liczyła 58.540 osób, podczas gdy grupa ukraińska zmniejszyła się o 15%, liczyła 24.605. Emigracja z Polski do Kanady zmniejsza się od 1992 r. zarówno na skutek sytuacji gospodarczej jak i ściślejszej selektywności. W bieżącym 10-leciu przyrwył imigrantów z Polski kształtował się następująco : 1990 r. – 13.431, 1991 r. – 15.479, 1992 r. – 8.279, 1993 r. – 6.877, 1994 r. – 3.345. ■ Czesław Czajkowski, pułkownik, emigrant powojenny, zamieszkały w London (Ontario), działacz polonijny, obchodził w kwietniu setną rocznicę urodzin.

Toronto, 1 marca 1995

B.H.

Listy do Redakcji

Warszawa 14 marca 1995 r.

Wielce Szanowny Panie,

W *Kulturze*, nr 12/1994 (teraz dopiero dotarła do mnie) znalazłem w tekście p. Ewy Berberyusz pt. „Kartki ze skażonej strefy” akapit dotyczący odwołanych członków Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji – to znaczy Marka Markiewicza i Macieja Howieckiego.

Na ogół nie reaguję na pomówienia i fałszywe świadectwa. Przyzwyczaiłem się od dawna do wyjątkowo stronnich, niesprawiedliwych i co gorsza – niekompetentnych tekstów p. Krzysztofa Wolickiego w *Kulturze* na temat Krajowej Rady i w ogóle sytuacji mediów w Polsce (ciekawe czy ujrzy kiedy światło dzienne opinia odmienna?). Nie mogę jednak tolerować oszczerstwa, które godzi w moje dobre imię i szkodzi w mojej pracy.

Otóż, jest nieprawdą, że odwołani członkowie Rady, tj. Markiewicz i Howiecki „wchodzą do budynku (Rady – przyp. M.I.) tylnymi drzwiami”. Wchodziliśmy przez miesiąc normalnym wejściem, a do wchodzenia byliśmy zobowiązani i uprawnieni choćby dlatego, że musieliśmy przekazać dokumenty i uporządkować papiery. Po skończeniu tego z ulgą przestaliśmy chodzić. Nawet, jeśli „tylne wejście” ma być subtelną przenośnią, jest to nieprawda. Skoro zresztą p. Berberyusz przyznaje, że odwołano nas BEZPRAWNIE, to dlaczego reakcją na bezprawie miałyby być potulne odejście? Bez walki? Nie mieści się to wśród moich zasad, choć owa potulność jest dziś chętnie społeczeństwu wmawiana jako wartość sprzyjająca porządkowi. Pani Ewa dobrze brzmi w tym chórze.

Drugie kłamstwo jest gorsze (a łatwe do sprawdzenia!).

Cytuję: „...a jednocześnie (chodząc do Rady – M.I.) przyjmują z kasy TV nową pracę, płatną po 20 mln zł miesięcznie...”

Moja płaca w Radzie skończyła się całkowicie z dniem odwołania, odmówiono nam nawet normalnej w takich razach odprawy 3-miesięcznej (o tym już się zresztą zapomina jakoś zawsze napisać). Przez trzy miesiące byłem bezrobotny i w tym czasie za recenzje zarobiłem nie 60 mln a 10 mln zł (drobna różnica!). Obecnie pracuję „na etacie” w TV od 1.1.1995 r. z pensją 3 mln zł.

Zatem uwaga p. Berberyusz – takie niby nic, mimochodem – a jakie miłe rzuca na nas światło – prawda?

Pani Berberyusz nie zadała sobie nigdy trudu na informację o tym, co rzeczywiście było przyczyną (nieformalną) rozbijania

KRRiTV. Natomiast wyrabianie nam opinii u Czytelników *Kultury* przychodzi *łatwo* – może dlatego że również w ten sposób uprawia się pewną politykę.

Będę zobowiązany za zamieszczenie tego listu, mimo że jest opóźniony i że napisałem go ręcznie – za co przepraszam. Jest to dla mnie ważne, bo opluwany jestem z wielu stron, choć nie ze wszystkich na szczęście. Ale bronić muszę się sam.

Łączę wyrazy szczerzego szacunku

Maciej IŁOWIECKI

Malmö, 27.03.1995

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule „Notatki rosyjskie”, *Kultura* nr 570, zakradł się błąd. Otóż, generał rosyjski Aczałow, który podaje się za fachowca i ostro gromi amatorów, którzy dowodzą armią rosyjską, sam nie jest zbyt dokładny.

Ulica Marszałkowska w Warszawie biegnie z południa na północ i z tego to prostego powodu dzieli miasto na część wschodnią i zachodnią, a nie na południową i północną, jak to twierdzi generał. Pomylił on ulicę Marszałkowską z Alejami Jerozolimskimi, które to dzielią stolicę na część północną i południową, gdyż biegną ze wschodu na zachód.

Dom byłej partii komunistycznej stoi kilkadziesiąt metrów na południe od Alei Jerozolimskich.

A może generał nie udawał pijanego tylko rzeczywiście był wstawiony. No i proszę, znów na froncie powstałby bałagan.

Łączę wyrazy szacunku

Jerzy JÓŹWICKI

21 marca 1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

List dr. Z. Stankiewicza „Na marginesie obchodów 50 rocznicy wyzwolenia obozu oświęcimskiego”, oraz reportaż z tych obchodów w angielskiej telewizji wzmocniły moje wieloletnie już przekonanie, że gdyby Polska oddała Oświęcim na wieczny czas międzynarodowej żydowskiej organizacji, jako ich święte miejsce, to Żydzi lepiej zadbaliby o zachowanie należytej pamięci mniejszości polskich ofiar w tym obozie, niż Polacy robią to w stosunku do większości żydowskich ofiar.

Pewien mądry rabin westchnął przed śmiercią – „Niemcy nigdy nam nie wybaczą Oświęcimia”. Rejestr wydarzeń odnośnie tego

obozu zaszczytu nam nie przynosi, ale mam nadzieję, że Polacy nie zasłużą sobie aby to westchnienie pasowało również do nas.

Z poważaniem

F. KORNICKI

Calgary, 7 marca 1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule Piotra Daszkiewicza pt. „Polscy badacze ukraińskiej przyrody” (*Kultura* nr 1/2, 1995), autor wspomina głównie przyrodników zajmujących się naukami biologicznymi. Badacze przyrody nieożywionej są nieomal całkowicie pominięci, a było ich wielu. Warto przypomnieć choćby kilku:

– Jan Samsonowicz – odkrywca złóż węgla na Wołyniu, które przedłużają się na teren województwa lubelskiego.

– Kazimierz Smulikowski – petrograf, którego praca pt. „Studia petrologiczne obszarów granitowych na północnym Wołyniu” po raz pierwszy wprowadzała genetyczną klasyfikację magm na obszarach masywów krystalicznych Europy Środkowej. Inna jego praca pt. „Notatki petrologiczne z okolic Korca i doliny Słuczy na Wołyniu” była próbą stratygraficznej paralelizacji Płyty Ukraińsko-Wołyńskiej z Tarczą Skandynawską.

– Henryk Świdziński – tektonik i kartograf geologiczny, twórca świetnych map i przekrojów geologicznych przez Wschodnie Karpaty.

– W. Teisseyre (1860-1939). Miał on chyba na imię Wawrzyniec, ale nie jestem pewny. Był polskim geologiem zajmującym się strukturą głębokiego podłoża Ukrainy. Określił on zachodni zasięg fundamentu prekambryjskiego Ukrainy. Podobną tematyką w Skandynawii zajmował się w tym czasie A. Tornquist. Od nich obu linia tektoniczna ograniczająca zachodnią krawędź tarczy ukraińskiej i bałtyckiej nosi nazwę „Linii Teisseyre’a – Tornquista” lub w skrócie „Linii T-T”.

Szkoda, że autor nie zaczerpnął informacji choćby w Muzeum Ziemi w Warszawie. Są tam materiały i ludzie, od których mógłby się wiele dowiedzieć na ten temat.

Przesyłam wyrazy poważania

Andrzej SKUPIŃSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec natętu pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

H.W., Polska – Ostatni, nie dokończony wywiad ze Zbigniewem Bieńkowskim jest popisem arbitralności i dowolności. Miłośz na dziewiątym miejscu listy poetów współczesnych? Wolne żarty. Jedyna rzecz słuszna to podkreślenie wielkości Leśmiana. Ale to dziś już banał.

Z.D., Polska – Z wysokiego konia pisze Pan o Bierezinie: Freud, Jung, Derrida, Ricoeur, Rimbaud. Bierezin był dość utalentowanym, „samorodnym” poetą średniego lotu.

W.J., Floryda – Trzy przysłane wiersze, wydobyte z zakamarków czulej pamięci, przeznaczamy do druku.

S.L., Polska – Oba Pana opowiadania, *Pretty woman* i *Kryzys małżeński*, nie zachęcają do czytania dalszych, gotowych już do wysyłki. Ma Pan mało do powiedzenia, zresztą w dziedzinie „łożkowej” trudno w ogóle dziś powiedzieć coś nowego.

M.D., Polska – Nie bardzo chce się wierzyć, że Pana wiersze podobały się Miłoszowi, Venclovie, Zagajewskiemu. W każdym razie tylko jeden, z kilkunastu przysłanych, jest pewną skromną zapowiedzią: *Zesłanie Ducha Świętego w Andrychowie*.

P.Ch., Kanada – Wiersze Lagerkvista nie są w Pana przekładzie uderzające.

T.K.-Z., Anglia – Pani wiersze – poprawne, ale dość retoryczne – nie zostały zakwalifikowane do druku.

T.B., Polska – Dwa opowiadania o niczym, dosłownie o niczym.

Z.Z., Polska – Zainaugurował Pan nowy gatunek „poety kasetowego”, poety który postanowił przedstawić redakcji w kasie swoje (i innych, m.in. „głos astralny” Iwaszkiewicza) wiersze. Sęk w tym, że lektor *Kultury* nie posiada aparatu do ich przesłuchania.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69 – Telefon: (39 81) 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 2^{ème} trimestre 1995.

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon (33-1) 39-62-19-04

Fax: (33-1) 39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-roczna

roczna

Ceny na rok 1995

AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, Postfach 340108, D 80328 München, tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszkowski, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618, tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA Brytania: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F 600.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 485 — WACŁAW IWANIUK

MOJE STRONY ŚWIATA

Poezje

Str. 76

Cena F. 20,00



TOM 488 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO JEDENASTY

zawiera opracowania: A. Paczkowski: „*Wielki historyczny eksperyment*” czyli koniec realnego socjalizmu (w Polsce); A. Grzywacz, G. Mazur: *Raport o pracach Oddziału II Sztabu Głównego w zakresie dyplomacji wojskowej*; Wł. Zajewski: *Tradycja i współczesność w sporach o model ustrojowy*; J. P. Horzelski: *Notatki z 1939 r.*; J. Rakowski: *Kulawa analogia i zaniedbane doświadczenie*; G. Mazur: *O wileńskiej Armii Krajowej. Na marginesie artykułu Z.A. Siemaszki*; P. Wandycz: *Nowa wersja „Kroniki Życia” Piłsudskiego*; T. Wyrwa: *Wojna 1920 roku z perspektywy lat*; E. Halicz: *Armia ze skazą*; K. A. Kuczyński: *Uchodźstwo polskie w Rumunii 1939-1940*; Kat-suyoshi Watanabe: *Historia Polski w Finlandii*; OKRUCHY HISTORII I LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 90,00.

Cena 55 F